



W stuletnią rocznicę ogłoszenia
niepodległości
Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki.

Benjamin Franklin. Jerzy Wasyngton.

Ż y w o t y

opracowane przez

Zygmunta Sawczyńskiego.

Dochód czysty na bursy w Krakowie, Lwowie i Tarnopolu dla synów
nauczycieli szkół ludowych.

Lwów. 1876.

Nakładem Towarzystwa pedagogicznego.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie, Hotel Żorża.

W sprawie ogłoszenia

niepodległości

Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki

170912

II

Benjamin Franklin Jerzy Waszyngton

WYWOŁ

Województwo

Łęczyński

H. Gucielu

K-10. 50-000000 47.

25.3.67.

10 - 5

Łęczyński, 25.3.67.



Do czytelnika!

Żywoty Franklina i Wasyngtóna, które w książce téj podaje czytelnikowi, nie są pracą moją oryginalną. Tłómaczyłem je po największej części z życiorysów, napisanych po niemiecku przez Ferdynanda Schmidta, zasłużonego na polu piśmiennictwa dla młodzieży pisarza. Wszelako nie poprzestałem na samym przekładzie, lecz uzupełniłem bądź własnymi uwagami, bądź wiadomościami zaczerpniętymi z innych dzieł i pism, zajmujących się tak życiem obu tych wielkich zeszłego stulecia mężów, jakoteż walką Stanów zjednoczonych o niepodległość. Osobliwie w żywocie Wasyngtóna obszerniej niż Schmidt opracowałem spór kolonii amerykańskich z rządem Wielkiej Brytanii i wynikłą ze sporu tego walkę. Zasługiwał na to już sam ważny w dziejach nowożytnych fakt, jako przykład tak jasnej świadomości i poszanowania prawa, jakoteż wielkiej rozwagi i powagi w postępowaniu, i niczém nie zrażonej w obronie praw tych wytrwałości, a zasługiwał on tém bardziej wobec stuletniej, na 4y Lipca r. b. przypadającej, rocznicy ogłoszenia niepodległości Stanów zjednoczonych.

Wielki to, a w czasach naszych pokrzepiający, obraz tych usiłowań narodu, podjętych w obronie praw własnych, naruszanych i deptanych przez rząd zapamiętały i niesprawiedliwy; a w obrazie tym na pierwszym planie występują właśnie mężowie, których żywoty zawiera niniejsza książka. Żywoty te wykazują także, zwłaszcza młodemu czytelnikom, dla których przedewszystkiém przeznaczam tę książkę, jakimi to drogami obaj ci mężowie doszli i dobili się stanowisk, z których tyle dobrego zdziałać mogli dla sprawy

swój ojczyzny. Toż rozpatrywanie się w wieku ich młodocianym, w pracy ich około własnego kształcenia się i umoralnienia podjętej, tudzież w środkach na ten cel użytych, niech posłuży młodzi czytającej za pobudkę i zachętę do podobnej pracy, a przez nią do przyszłego jej szczęścia i pomyślności. Niech pomni, że dobro i przyszłość narodu w znacznej części polega na jej pracy, już za młodu podjętej; niech pamięta, że tylko w szkole rzetelnej pracy przygotowana, rozwinąć będzie mogła w wieku dojrzałym ze stanowisk, w społeczeństwie zajętych, działanie, tak celu jak środków do niego wiodących świadome, działanie wytrwałe i stateczne, które zazwyczaj pomyślny wieńczy skutek.

We Lwowie d. 4go Lipca 1876.

Zygmunt Sawczyński.

BENJAMIN FRANKLIN.

„Wydarł niebu grom, tyranom berło.“
d' Alembert.

„Nie masz geniuszu bez usilnej pracy.“
Kalendarz ubogiego Ryszarda.

I. Drukarczyk.

Ameryka północna otrzymała ludność swą dzisiejszą z Europy. Wychodźcy angielscy, uchodząc prześladowań religijnych i politycznych, za morzem, na przeciwną półkulę ziemską, szukali schronienia; z czasem liczne zakładali osady, które razem zwały się Nową Anglią, bo też z Angli europejskiej, jako swą macierzy, wyszły i pod jej zostawały rządem. W miarę wzrostu tych osad pierwotna Nowego świata ludność czerwonoskóra, coraz więcej wypierana, cofała się w odludniejsze okolice, pozostawiając przybyszom wolne do działania i coraz większego sił rozwoju pole. Dziś z téj pierwotnej indyjskiej ludności stosunkowo mała tylko pozostała resztką, a i téj prawie z roku na rok jeszcze ubywa.

Byłoto w r. 1721ym. W małej drukarni w mieście Bostonie, w owych zamorskich osadach, zaszło zdarzenie następujące. Kilku tamtejszych literatów odczytywało właśnie artykuły, nadesłane do dziennika, którego wydawcą odpowiedzialnym był właściciel drukarni, o której mowa. W drukarni téj siedział szesnastoletni drukarczyk, oczekując z niepokojem chwili, w której z kolei odczytać i osądzić miano artykuł dobrze mu znany. I on bowiem nie mógł się oprzeć pokusie; napisał także artykuł do dziennika swego pryncypała i rzucił go do skrzynki redakcyjnej. Ale nie chcąc się narażać na śmiech i drwiny, artykułu nie podpisał, a nawet pismo swe do niepoznania odmienił.

Właśnie w téj chwili, bo już tytuł przeczytano, następuje z kolei ów artykuł. Według zwyczaju jeden z redaktorów na głos go czyta. Drukarczykowi serce mocniej uderza. Zaden z redaktorów nawet nie przeczuwa, co to się dzieje w młodzieńcu, nad czcionkami pochylonym! Oto właśnie przeczytano artykuł; nastąpiła mała przerwa, bladeść trupia pokryła twarz drukarczyka. Był on bowiem nie raz już świadkiem, jak artykuły, redakcyi nadesłane, po przeczytaniu,

tonęły w zapomnienia fali, czyli ginęły w wielkiej skrzyni, na ten cel umieszczonej w drukarni; poczem i wszelka pamięć o nich ginęła. Zdawało mu się już nawet, jakoby słyszał szelest, który zwykle powstawał, kiedy nieudały plód literacki pomnożyć miał zasób onęj złowrogięj skrzyni. Ale nagle krew mu do głowy uderzyła i czoło i policzki rumieńcem oblała. Czy dobrze tylko słyszy, czy go przypadkiem słuch własny nie zwodzi? Jeden z redaktorów chwali artykuł i to nawet z niezwykłą żywością. Drugi zgadza się z nim w zdaniu, a trzeci obudwa zdania potwierdza. Ktobyto mógł być autorem téj niepospolitéj pracy? każdy zadaje pytanie. Na różne wpadając domysły, redaktorowie wymieniają nazwiska osób, znanych w mieście ze zdolności i nauki.

Gdyby drukarczyk zwrócił był twarz ku mówiącym, a uczeni redaktorowie byli się z uwagą przypatrzyli téj twarzy młodzieńczej, radością rozpromienionęj: natenczas, zdziwiwszy się zapewne nie mało, byliby niezawodnie wpadli na trop autora. Ale uszczęśliwiony nasz autor młodziutki tém skwapliwiej chwycił i układał czcionki, a robota tak mu szła szybko, jak żeby jakaś ukryta sprężyna ruch jego rękoma nadawała.

Któżto był tym uczniem drukarskim, którego właśnie tak błoga ożywiała radość?

To Benjamin Franklin; ten sam, który później zasłynął z wielkiej sławy jako obywatel, uczony i mąż stanu; Franklin znany i powszechnie czczony na obu półkulach świata; ten sam, o którym powiedziano, iż

„Wydarł grom niebu, a berło tyranom.“

Ale nie wyprzedzajmy toku zdarzeń; gdyż i tak już jakitaki z czytelników zdziwiony zawoła: Jakto prosty drukarczyk mógł, ni stąd ni zowąd, tak świetnie popisać się na polu dziennikarskiem? Otóż, mój czytelniku, może więcej jeszcze się zdziwisz, skoro się dowiesz, że i drugi artykuł, który tenże sam Franklin napisał zaraz następnęj nocy, takiego samego doznał powodzenia; ba co więcej, że wiele jeszcze zeszło podobnych poranków w onęj drukarni, gdzie ci sami redaktorowie, czytając nadsyłane bezimienne jego pióra prace, nie szczędzili pochwał zasłużonych niepospolitemu współpracownikowi nieznanemu, a chwalony w oczy autor przecież tyle miał nad sobą mocy, że wcale nie zdradził swojego „incognito.“ Wstrze-
mieźliwość i moc nad sobą zaprawdę niezwykła, zwłaszcza w mło-

dzieńcu, kiedy i ludzie dojrzałsi niezawsze łatwo zdobyliby się na nią w podobnych przypadkach.

Ale zapewne czytelnik dowiedzieć się zechce, jakim to przyczynom przypisać skutki tak znakomite. Geniusz, wykształcenie naukowe w szkołach odebrane, doskonały kierunek — jedno albo wszystko razem, niejednemu stanie na myśli, skoro zechce rozwiązać tę zagadkę.

Przypatrzmy się pierwszej, naszego Benjamina młodości. Niech ona sama poda nam wskazówkę do rozwiązania tego pytania.

Ojciec Benjamina. Jozyasz Franklin, dla wiary swęj opuścił Anglią i w Bostonie się osiedlił. W Anglii trudnił się farbowaniem jedwabiu; praca ta w nowęj ojczyźnie nie popłacała; toż, aby wyżywić rodzinę, chwycić się musiał innego zarobku. Byłto człowiek przezorny, rozgarniony, miał, jakto mówią, głowę na karku, a przytem pracowity. Założył więc mydlarnią i fabrykę świec łożowych. W nowém przedsiębiorstwie poszczęściło się zapobiegliwemu pracownikowi; zarobek wystarczał na przyzwoite, ale tylko w samraz dostateczne, utrzymanie licznęj rodziny; bo Benjamin nasz zasiadał z trzynastciorgiem rodzeństwa do stołu rodziców, on najmłodszy z braci.

Z lat swych dziecięcych Benjamin opowiada następujące zdarzenie: „Kiedym miał lat siedm, przyjaciele moi napełnili mi w jakieś święto kieszenie miedzakami. Poszedłem zaraz do sklepu, w którym sprzedawano zabawki. Ale po drodze podobala mi się bardzo piszczałka, na której wygrywał sobie jakiś chłopczyzna. Ofiarowałem mu za nią wszystkie swoje pieniądze i uradowany nabytkiem, pobiegłem do domu, gdzie pełno mnie było wszędzie z piskiem mojęj piszczałki. Bracia moi, siostry i krewni dowiedziawszy się, za jakąto cenę ją nabyłem, powiedzieli mi, że zapłaciłem w czwórnasób więćej aniżeli warta, a dodawszy uwagę, że za te pieniądze mógłbym być wiele daleko piękniejszych kupić sobie rzeczy, śmiali się z mego nierozsądku. Tknęło mię to do żywego, toż na dobre się rozplakałem; śmiech ich bowiem bolał mnie bardzićj, aniżeli piszczałka radowała. Ale zająście to utkwilo mi dobrze w pamięci i stało się na przyszłość nauką; nieraz bowiem, gdy mnie brała chętka kupić sobie coś niekoniecznie potrzebnego, przywoływałem sobie do pamięci ono zająście jako upomnienie: „Nie wydawaj za wiele za piszczałkę!“, którego też zawsze słuchałem.“

W tém też nasz Benjamin wcześniej już różnił się od swych rówieśników; a to, że z zajęć i zdarzeń życia umiał wyciągać naukę, a oraz posiadał potrzebną moc woli, aby nią według tych nauk pokierować.

W piśmie, które nasz Franklin spisał był później dla syna swego, wspomina z wdzięcznością o rodzicach, a nakreśliwszy kilkoma wybitniejszymi rysami ich obraz, wskazuje zarazem, że znaczną część swego charakteru bądź po nich odziedziczył, bądź ich zawdzięczał wpływowi. „Ojciec mój, Jozjasz Franklin — powiada — był tegiej konstytucyi, wzrostu średniego, dobrze zbudowany i silny, a we wszystkiem, czego się jał, okazywał nadzwyczajną zręczność i dzielność. Nie źle rysował, i znał nieco muzykę. Głos miał pełny i przyjemny; a kiedy, towarzysząc sobie na skrzypcach, spiewał psalm albo pieśń, co zazwyczaj czynił wieczorem, pracę ukończywszy, wtedy słuchało się go z prawdziwą przyjemnością. Również biegłym był w pracach ręcznych; a gdy tego była potrzeba, umiał użyć narzędzi rzemieślników różnego rodzaju. Ale najznakomitszym przymiotem jego był zdrowy rozum i dojrzały, bystry sąd o sprawach życia tak publicznego jak prywatnego. Wprawdzie nigdy się nie zajmował sprawami publicznymi, gdyż liczna rodzina, a skromne tylko mienie, zniewalały go do nieustannej w zawodzie pracy. Wszelako przypominam sobie, że znakomite osoby miasta często go odwiedzały, zasięgając zdania i rady tak w sprawach miasta jakoteż kościoła, do którego należał, wielką do jego zdania wagę przywiązując. Również i osoby prywatne zazwyczaj udawały się do niego po radę w swych sprawach, a często obierano go rozjemcą między stronami, w sporze będącemi. U stołu swego rad widział, i to dość często, kilku przyjaciół, albo wykształconych, światłych sąsiadów, z którymi toczyć się mogła rozumna rozmowa; toż zazwyczaj kierował ją na przedmioty pożyteczne i pouczające, pilnie na to bacząc, aby nas mogła zająć, a tém samém przyczynić do naszego wykształcenia. Przez to zawczasu zwracał uwagę naszą na wszystko, co w życiu ludzkim jest sprawiedliwem, rozsądnem i dobroczynnem. O potrawach, które na stół dawano, nigdy nie mówił; nigdy też nie rozprawiał o ich przyrządzeniu i przyprawie, czy były smaczne, czy nie, ani też która potrawa lepiej mu smakowała. Tym sposobem już od lat dzieciennych nie przyzwyczaiłem się do zwracania bacności na sprawy tego rodzaju; toż potrawy, które spożywałem, były dla mnie zawsze rzeczą obojętną; a i dziś na to zważam tak mało,

że w kilka godzin po obiedzie nie zdołam przypomnieć sobie potraw, które mi podawano. Wartość takiego przyzwyczajenia dopiero w podróży nauczyłem się należycie oceniać; często bowiem znajdowałem się w towarzystwie osób, które nauczysz się zawczasu przywiązywać zbyt wiele wagi i uwagi do tego, co jedzą, nieraz nie małej doznawać musiały przykrości, kiedy ja w tém samym położeniu niczego nie pragnąłem. — Matka moja była także bardzo zdrowa; sama wszystkie dzieci wykarmiła, i nigdy nie słyszałem, aby rodzice uskarżali się na jaką słabość lub chorobę, te wyjąwszy, na które pomarli.“

Grób rodziców Benjamin ozdobił później płytą marmurową, z napisem, który się kończył temi słowy:

„On był pobożny i mądry,

Ona skromna i cnotliwa.“

Zdaje się, że Benjamin wcześniej już wydał się rodzicom dzieckiem szczególniejszych zdolności, bo kiedy bracia jego, odbywszy zwykłą szkołę początkową, poszli na naukę do rzemieślników, jego w ósmym roku życia oddano do szkoły łacińskiej w Bostonie. Życzyli sobie rodzice, aby się poświęcił stanowi duchownemu. Benjamin czynił dobre postępy; ale ojciec rozpatrzywszy się później w swych majątkowych stosunkach i mając koszt, z takim naukowém kształceniem syna połączony, na oku, spostrzegł się, że nie stać go na taki wydatek. Oddał więc chłopca na rok do szkoły elementarnej, a w roku dziesiątym życia Benjamin rozpoczął naukę w zawodzie ojca. Ale mydlarstwo i to co się z niém łączyło, nie podobало się chłopcu; a nie mogąc pobierać nauk szkolnych, prosił ojca, aby mu pozwolił oddać się służbie morskiej; tym bowiem sposobem, a mianowicie za pomocą podróży w różne strony świata, ciekawy Benjamin chciał zadość uczynić gorącej chęci nabycia wiadomości. Wzrastając na wybrzeżach oceanu, w którego wodach niezaznał już doświadczać, czyto pływając czy goniąc się w lekkiej łodzi, chłopiec polubił żywioł ten ruchliwy i tak ponętny; toż pragnął na falach jego puścić się w świat daleki. Ale życzeniu temu ojciec stanowczo się oparł; oddać chłopca między majtków, Franklin ojciec uważał za jedno, co wydać dziecko na niebezpieczeństwo zdziczenia. Nie myślał jednak ojciec rozumny zmuszać syna do jakiegokolwiek zawodu, a to już z obawy, aby Benjamin, gdyby mu coś skłonności jego przeciwnego narzucono, nie poszedł torem jednego ze starszych braci, który potajemnie umknął był na morze.

Wodził więc ojciec Benjamina po warsztatach stolarzy, bednarzy, kotlarzy i innych rzemieślników, a to, aby mu ułatwić wybór zawodu. Wycieczki te do warsztatów pożądanego nie odniosły skutku; wszelako na przyszłość chłopca bardzo korzystnie wpłynęły. Sam on później napisał, że „nabył przez nie dostatecznych wiadomości, tak że i sobie i drugim, skoro się okazała potrzeba, mógł to lub owo sporządzić; później zaś, zwłaszcza, kiedy nieraz właściwego rzemieślnika nie było pod ręką, Franklin sam sporządzał sobie przyrządy i małe maszyny do doświadczeń naukowych, a to kiedy pomysł, który go zajmował, świeżo jeszcze tkwił mu w umyśle.

Jedną stronę w naturze syna nie spostrzegł był do tego czasu ojciec: Benjamin od samej wczesnej młodości namiętnie i nade wszystko lubił książki. Małą bibliotekę ojcowską w krótkim przeczytał czasie. Osobliwszą przyjemność sprawiało mu czytanie książki Matera „O środkach cynienia dobrze“ i pisma Doefego, słynnego autora „Robinsona“, „O pomysłach“; Plutarch zaś, kreślący czyny wielkich starożytnego świata mężów, wprowadzał go wprawdzie w zachwycenie, tak, że nie mógł się oderwać od czytania; więc kilkakrotnie go całego odczytał. Tak gorąca ta chęć czytania, jak i to, że Benjamin każdy grosz, jaki tylko otrzymał, na kupowanie książek obracał, otworzyło oczy ojcu i wskazało mu najwłaściwszy dla syna zawód. Przyczyniła się do tego osobna jeszcze okoliczność. Właśnie niedawno powrócił był z Anglii jeden ze starszych Benjamina braci i w Bostonie drukarnią otworzył. Ojciec więc powiedział sobie: Kiedy Benjamin tak lubi czytać, tedy zatrudnienie drukarskie da mu najlepszą sposobność zaspakajania chęci do nauki; drogę przez szkoły wyższe zamknął mu brak dostatecznych funduszy; któż wie, czy zamiłowany w czytaniu przy zdolnościach wrodzonych i na tej drodze z czasem nie stanie się uczonym?

Benjamin od razu przystał na pomysł ojca; czuł w sobie chęć uczenia się drukarstwa; to tylko, że miał do brata pójść na naukę, niepokoiło go, a to nie bez słusznego powodu. Był bowiem brat ten, Jakób Franklin, mający drukarnią, wielkim samolubem, serca nieużytego a przytem bardzo popędliwy. Na dowód tego dość przytoczyć, że umawiając się z ojcem o przyjęcie Benjamina, zażądał spisania urzędowego kontraktu, w którym dziewięć lat nauki za warunek położył. Mimo to idąc za wolą ojca Benjamin zgodził się na ten niemiły stosunek, a mając niespełna lat trzynaście, rozpoczął u brata naukę drukarską.

Zawód nowy upodobał się bardzo młody towarzysz sztuki drukarskiej; a ponieważ był zręczny, powodujący się i jak mrówka pracowity, przeto w krótkim czasie okazał się bratu bardzo pożytecznym. Mimoto brat, jak się już rzekło, człowiek nieużytego serca, ani pomyślał o pochwaleniu tego, w czém Benjamin zasługiwał na pochwałę, lecz tylko miał oko bystre na wyszukiwanie niedostatków, usta zaś, a czasami i rękę zbyt skora do karcenia bądź rzeczywistych, bądź tylko upatrzonych uchybień, i to w sposób nieraz nawet brutalny. Przy mniejszej mocy woli Benjamin byłby i tygodnia nie wytrzymał w domu tak miłego brata. Ale inna jeszcze okoliczność skłoniła go do wytrwania. W drukarni nastreczyła mu się większa, niż się mógł spodziewać, ilość środków do zaspokojenia chęci nauki. Zapoznał się bowiem młody Franklin z księgarczykami, którzy mu niejedną pożyteczną dostarczali książki. Nieraz więc nasz drukarczyk siedział przy cienkiej łożówce późno po północy i pokrzepiał spragnionego ducha i serce czytaniem pięknej książki; a podobnie i wcześniej rano zrywał się do książki, puszczaając wodze duchowi na pole myśli pod kierunkiem doświadczonego przewodnika. Tak spełniały się jego gorące życzenia; duch młodzieńca przemieniał się i potężniał pod wpływem duchów potężnych, a to, co najwięcej znaczyło, za przyczynieniem się własnej swój gorliwej pracy; zęglował on po ocenia życia duchowego, i „piers swą w porannąj orzeźwiał jutrzence.“ Radość, jakiej w pracy tej doznawał, nie pozwalała mu myśleć o przykrościach zewnętrznego położenia i stosunku. Duchy pokrewne znajdują się i nawzajem poznają. Wykształcony przemysłowiec, Mateusz Adams, którego interes sprowadził był do drukarni, poznawszy tam drukarczyka o bystrych oczach i serdecznej twarzy, rozumnie i skromnie rozmawiającego, polubił go, często szukał, rad z nim rozmawiał, a w dodatku do korzystania z bogatej biblioteki zaprosił.

Ale czytanie samo, czytanie ustawiczne, a do tego na przemian pism i książek treści różnorodnej, czytanie nie połączone z przetrawieniem należytem rzeczy czytanych, niejednemu już młodzieńcowi zamiast pożytku niemałą przyniosło szkodę. Nasz Benjamin sam sobie radził; nie mając żywego przewodnika, sam siebie wziął w karby szkolne. Mówi on później sam o tém w piśmie, które dla syna napisał. „Był naówczas w mieście — powiada — pewien młodzieniec, także wielki miłośnik książek i czytania, niejaki Jan Kollins, dobry mój znajomy. Czasami rozprawialiśmy ze sobą, a walka

taka na słowa wiele nam sprawiała przyjemności. Mimochodem dodam, że chęć dysputowania łatwo stać się może złą przywarą, czyniącą często towarzystwo człowieka niezdolnym, jeżeli zdania swego inaczej wyrazić nie umie, jeno uporczywie przy swoim obstając i bezwzględnie sprzeciwiając się zdaniu drugich. Razu pewnego powstał między mną a Kollinsem spór o wychowanie kobiet; rozbieraliśmy kwestyą, azali to rzecz stosowna, kształcić kobiety w umiejętnościach, i czy są one uzdolnione do nauk poważnych i wyższych. Kollins zaprzeczał temu, twiedząc, że zadanie takie przewyższa uzdolnienie płci żeńskiej. Ja broniłem zdania przeciwnego, może głównie z chęci dysputowania. Przeciwnik mój był z natury odemnie wymowniejszy; słowa strumieniem pełnym z ust mu płynęły; często więc uważałem się za przekonanego raczej biegłością jego języka, aniżeli siłą przytaczanych dowodów. Rozeszliśmy się, nie zgodziwszy się co do sprawy spornej; a ponieważ jakiś czas nie nadarzyła się sposobność rozmowy, spisałem swe myśli i przepisane na czysto, posłałem Kollinsowi. On odpisał, a ja także nie zostałem dłużen odpowiedzi. Obadwaj zamieniliśmy już po kilka takich rozpraw, kiedy ojciec mój przeglądając przypadkiem moje papiery, znalazł i przeczytał i tę naszą korespondencyą. Nie zapuszczając się w rzecz samą i jej wartość, ojciec korzystał ze sposobności, aby mi poczynić niektóre o stylu moim uwagi. Otóż powiedział mi, że, dzięki memu zatrudnieniu, w pisowni i używaniu znaków pisarskich wyżej stoję od mego przeciwnika, ale że on mnie o wiele przewyższa poprawnością i jasnością wyrażenia. Okazał mi to na kilku przykładach. Uznałem słuszność uwag ojcowskich, i od tego czasu więcej baczości zwracałem na język, postanowiwszy sobie, wszelkić dołożyć pracy i starania około poprawienia stylu mojego.“

Poznanie wad i stały zamiar ich usunięcia poprowadził młodego Franklina na drogę właściwą: szukał sposobu, jakimby najwłaściwiej dopiął swego celu. „Kto szuka, znajdzie.“ I nasz Franklin znalazł swój sposób. „W tym czasie“ — opowiada dalej — wpadł mi do rąk tom pisma „Dostrzegacz“, który kilkakrotnie przeczytałem. Zachwycił mnie język jego; styl wydał mi się wyborym; móżdż go naśladować, stało się mojem gorącym życzeniem. W tym celu wybrałem sobie kilka artykułów; spisałem treść każdego zdania i wypisy swoje na jakiś czas na bok odłożyłem. Późem, do książki wcale nie zaglądając, usiłowałem ułożyć artykuły we właściwą im formę i myśl każdą wyrazić w tych samych, co w oryginale roz-

miarach, używając słów najwłaściwszych, na jakie się zdobyć mogłem. Tak dokonaną pracę porównując z oryginałem, spostrzegałem swoje pomyłki i natychmiast poprawiałem; przyczém przekonywałem się także, że brak mi tak należytego zasobu słów, jakoteż łatwości mienia ich na każde zawołanie w pogotowiu. Zdawało mi się, że byłbym nabył i téj i tamtego, gdybym nie był zaniechał ćwiczenia mego w wierszowaniu. Potrzeba bowiem, mieć zawsze w pogotowiu słowa jednakowego znaczenia, a różnój długości dla miary wiersza, albo brzmienia podobnego dla rymu, byłaby mnie zniewoliła do szukania i nagromadzenia na zapas mnóstwa słów równoznacznych. Tém przekonaniem przejęty kilka powiastek „Dostrzegacza“ na wiersz zamieniłem; później zaś, kiedy mi wiersze uleciały z pamięci, znów przerobiłem je na prozę. Czasem pomieszałem wszystkie moje wyciągi, a po kilku tygodniach układałem je znów w porządek należyty, nim wziąłem się do ułożenia okresów i całych artykułów. A czyniłem to wszystko dla przyswojenia sobie dobrego ładu i szyku myśli moich. Porównując później pracę swą z oryginałem, znów dostrzeżone pilnie poprawiałem błędy; czasem jednak miałem i to zadowolenie, że w niektórych drobniejszych szczegółach mój szyk myśli lub zwrot stylistyczny wydawał mi się od oryginału właściwszym; co utwierdzało mnie w nadziei i otuchy dodawało, że z czasem nabędę w języku angielskim dobrego stylu, do czego nie małą przywiązywałem ambicję.“

Z ćwiczeniami w wierszowaniu, o którym tu wspomina Franklin, rzecz tak się miała. Brat, u którego zostawał, dowiedział się był, że Benjamin ułożył wiersze do jakiejś okoliczności zastosowane. Wezwał go więc, aby napisał dwie balady. Benjamin uczynił zadość woli brata. Balada pierwsza, pod tytułem: „Tragedya latarni morskiej“ opiewała rozbicie okrętu kapitana Wortylaka i śmierć dwu jego córek, druga „schwytaenie słynnego z rozbójów herszta Teaka, zwanego Czarnobrodym.“ Benjamin nietylko sam je drukować, lecz nadto, jako przekupień księgarski, wędrujący po ulicach gonić musiał, aby je rozprzedać. Balada pierwsza znalazła znaczny pokup, a brat dobry, jakto mówią, zrobił na niej interes. Ale Benjamin, wspominając w późniejszym życiu o tych utworach swój Muzy, sam je mizernemi wierszydłami, pieśniami dziadowskiemi nazywa. Wówczas jednak brakło mu jeszcze miary do ocenienia ich wartości i wydania sądu właściwego, a powodzenie chwilowe mogło go nawet narażić na niebezpieczeństwo uwierzenia w zdolność swą poetycką.

Na szczęście ojciec umiał skierować rzecz na właściwą drogę. Wykazał on z całą rozważą wielkie tych utworów wady, a przez to ocalił Benjamina od „wielkiego nieszczęścia partactwa poetyckiego.“ Nie poezya, ale mądrość w życiu praktyczném, była polem, na którém Opatrzność przysłała Benjaminowi wyznaczyć pracę; toteż za szczęście i prawdziwe błogosławieństwo poczytać należy, że rozumne uwagi ojca na zawsze zwróciły go z drogi mu niewłaściwej.

W początkach szesnastego roku życia wpadła do rąk Benjaminowi książka Tryona, który wystąpiwszy z twierdzeniem, że dla człowieka najwłaściwszém pożywieniem są pokarmy roślinne, twierdzenia tego z niemałym bronił dowcipem. Wykład rzeczy sprawił na Franklinie wrażenie głębokie. Jeżeli tak się rzecz ma, mówił on sobie, że tyle złych w człowieku skłonności pierwsze źródło ma w barbarzyńskim zwyczaju zabijania zwierząt i ich spożywania, tudzież że pożywienie mięsne zwierzęcą w człowieku żywi i podsyca naturę: tedy godzi się i jest obowiązkiem, poznawszy rzecz, za stosować się i w życiu wedle tego lepszego rzeczy poznania. Pracownicy w drukarni Jakóba Franklina mieli wikt najęty u jednego z sąsiadów. Benjamin zaproponował bratu, aby mu gotówką płacił tylko połowę tego, co wydaje u sąsiada za jego wyżywienie, a on sam pomyśli o sobie. Brat rad przystał na tę propozycyą; a to, jak powiada nasz Benjamin, dostarczyło mu nowych środków na zakupno książek, a prócz tego inne jeszcze z tego dla siebie wyciągnął korzyści. Kiedy brat z ludźmi swymi w południe wyszedł z drukarni, wtedy Benjamin przyrządzał sobie na prędce obiad podług wskazówek książka Tryona. Kawał chleba i trochę owoców, lub polewka z kaszy i kawałek chleba, lub coś podobnego, do tego szklanka wody, i obiad był gotów. Częstoż go spożywał stojąc, a w lewą rękę książkę trzymał. Aczkolwiek teoria Tryona na mylném opierała się założeniu, wszelako zastosowanie tej metody żywienia się wyszło młodzieńcowi, który jakiś czas stale się jęj trzymał, na dobre. Postępy jego, jak powiada, zostawały w stosunku do jasności myśli i szybkiego pojmowania, które są skutkiem mierzności w jedzeniu i picu.

Spostrzegł się Benjamin pewnego razu i to z niemałym strachem, że w rachunkach bardzo mu niedostawało rozumnego pojmowania. Właśnie w tym przedmiocie mało mogła mu dać szkoła, w której, jak wiemy, dwa tylko lata przebywszy, w roku dziesiątym życia przestał pobierać nauki. Ale i temu niedostatkowi zaradził

dzielny Benjamin; sam stał się swoim nauczycielem, a za przewodników wziął książki. Uczył się więc rachunków podług książki Kokera, poczem wziął się do geometrii podług dzieł Selera i Sturma. Oprócz tego studyował dzieło filozofa Lokiego: „O rozumie ludzkim“ i Port-Rojala: „Sztukę myślenia.“ Widzimy więc, że Franklin młody, żywiący ciało tylko roślinnymi pokarmami, na pożywienie ducha zawsze miał stół obficie zastawiony. — Równocześnie nie przestawał w kształceniu stylu swego, przyczem wpadła mu przypadkiem do rąk gramatyka języka angielskiego, w której zawierał się dodatek, podający wskazówki dysputowania podług metody Sokratesa. Wskazówki te opierały się o pismo Ksenofonta: „Pamiętniki Sokratesa.“ Franklin postarał się o to pismo w przekładzie, które, jak powiada, sprawiło mu radość do uniesienia spotegowaną. Metoda rozprawiania, w niém zachowana, na tém polega, że wprost nie zaprzecza się zdaniu drugich, lecz za pomocą pytań, co chwila zadawanych, sprowadza przeciwnika do tego, iż w końcu sam w odpowiedziach swych w sprzeczności się uwikławszy, sam zbijać musi swoje twierdzenia. „Metody téj“ — powiada Franklin — używałem lat kilka; później jęj zaniechawszy, zachowałem tylko zwyczaj wyrażania się w skromnym tonie powątpiewania, nigdy w zdaniach, które wywołać mogły sprzeciwienie się, nie używając wyrażen: „z pewnością, niewątpliwie“ i tym podobnych, które mogłyby były nadać mi pozór, jakobym uporeczywie upierał się przy swoim prostém tylko mniemaniu. Raczej używałem wyrażen: „wystawiam sobie, domyślam się, lub zdaje mi się, że z takich atakich powodów rzecz się ma tak lub owak; albo: „tak a tak ma się rzecz, jeśli się nie mylę.“ Zwyczaj ten, zdaje mi się, wyszedł mi na dobre, kiedy miałem sposobność wyłożenia drugim swojego zdania i nakłonienia ich do zgodzenia się na środki przezemnie podawane. A ponieważ głównym celem wszelkich rozmów i rozpraw jest udzielanie i nabywanie nauki, przyjemne czasu spędzenie lub drugich przekonanie, przeto życzyłbym sobie, ażeby ludzie rozumni i poczciwie myślący zdolności swój, stać się pożytecznymi, nie osłabiali i nie zmniejszali wyrażeniem stanowczém i zbyt w sobie zaufaném, które zawsze źle uprzedza o nas tych, do których mówimy; rodzi to bowiem w nich niezadowolenie, a często niechęć i sprzeciwianie się; nasuwa więc przeszkody, a nawet niweczy cele, dla których dana jest człowiekowi mowa!“ Bez rozczytywania się bacznego w dziełach powyżej wspomnionych, bez wprawiania

się w onę metodę, Franklin może nigdy później nie byłby nabył przedświadczenia, któremu właśnie dał wyraz w ustępie dopiero przytoczonym.

Tak tedy, młody moj czytelniku, masz tu dostateczny zasób danych, które rozważywszy, łatwo znajdziesz odpowiedź na zapytanie, jakie słusznie mogłeś zadać na wstępie tego rozdziału. Widzieliśmy tam bowiem szesnastoletniego drukarczyka, odnoszącego tryumf na polu dziennikarskiem, z jakim prawdopodobnie nie tak łatwo i nie codziennie spotkać się można w świecie. Ludzie uczeni, wytrawni z podziwieniem i wciąż wyrażają się o jego artykułach, bezimiennie do skrzynki redakcyjnej składanych; i pomiędzy mężczyznami, w Bostonie najznakomitszymi, domyślają się autora!

Cóżto więc, jaka to siła i potęga wydała ten znakomity skutek?

Geniusz! — Niedostateczna to odpowiedź. Niejednemu młodzieńcowi Opatrzność szczodra większe jeszcze aniżeli Franklinowi włożyła do kolebki dary ducha jako pasag na drogę żywota; a przecież ileżto razy spełży na niczém wszelkie do nich przywiązywane nadzieje! — Doskonałe wykształcenie szkolne! — Wszak widziałeś, że przed naszym Benjaminem już w dziesiątym życia jego roku zamknęły się na zawsze podwoje szkoły. — Zbawienny wpływ domu rodzicielskiego! Zapewne; tego dobrodziejstwa i wielkiej téj łaski Opatrzności, na szczęście, mu nie brakło; ale czyż nie ma przykładów i to przykładów w znacznej na nieszczęście ilości, że najzbawienniejszy wpływ koła rodzinnego przebrzmiewa jak głos wołającego na puszczy, nie wszechpiwszy w dzieciach zarodków kwiatu i owoców życia?

Cóż więc tu działało tak skutecznie? Jaki najgłówniejszy czynnik w tym tak pięknym iloczynie życia? Oto obok wpływu rodzicielskiego jeden, a bardzo ważny, ba najważniejszy; potężny, ba najpotężniejszy! Tego jednego, gdyby było brakło naszemu Benjaminowi, on pozostał byłby gdzieś tam u dołu, gdzieś nisko na nizinach życia, byłby znikł i zgubił się w tym wielkim tłumie milionów ludzi zwyczajnych, a może i ludzi w poniżeniu zwierzęcém marny wlokących żywot!

A tym jednym a niezbędnym czynnikiem jest: dobra, czysta wola, gorąca chęć i usiłowania uszlachetniania ducha i coraz wyższego jego udoskonalania. Wielka, poważna księga ludzkości, biblia, zowie takie usiłowanie „Szukaniem

królestwa Bożego“; na tego, który mu się odda, spływa zazwyczaj wszystko to, czego mu do życia ziemskiego potrzeba.

Młodzieńcze! pamiętaj o młodym Franklinie; doświadczaj siły twój woli i pilnie bacz na jój kierunek. Królestwo Boże, jest królestwem oczyszczonego duchowego życia i usiłowań. Jaka twa wola i jój kierunki, taką też będzie twa przyszłość.

„Wola czyni człowieka wielkim i małym.“

II. Błędy.

Ale i o błędach młodego Franklina wspomnieć nam przychodzi; a chociaż bardzo go kochamy i z miłości ku niemu radzibyśmy je pominęli, przecież bardziej jeszcze miłujemy prawdę, której uczynić zadość jest naszym obowiązkiem. Prawdzie służąc, łatwo zrozumiemy, że nierozsądnie postąpiłby sobie ten, kto kreśląc obraz takiej jak Franklin osoby, z jednej tylko wystawiłby ją strony. Światłem prawdy opromieniona postać ta wzniosła i szlachetna, mimo wad drobniejszych gdzieniegdzie występujących, pociągnie za sobą oczy wszystkich jój pokrewnych duchów, i w tych, którzy się w nią wpatrzą, zbawienne wzbudzi uczucia. A jeszcze jedną trudność spotykamy, zabierając się do wypełnienia naszego względem prawdy obowiązku, a to trudność, którą stawia nam własne serce, gdyż Franklin sam otwarcie wyznał swe błędy, aby tém wyznaniem także usłużył swym bliźnim.

Współpracownictwo bezimiennie młodego Franklina w dzienniku trwało już czas jakiś, aż wreszcie autor przyznał się bratu do owych bezimiennych artykułów. Okoliczność ta sprawiła, że Jakób zmienił nieco szorstkie swe względem młodszego brata postępowanie; wszelako nie nadługo. Wkrótce bowiem znów przybrał rolę tyrańskiego względem Benjamina pryncypała, i to do tego stopnia, że ten częstokroć u ojca szukać musiał pomocy. Cóż dziwnego, że Benjamin coraz częściej myślał o wyswobodzeniu się z tego, nader przykrego, stosunku. Ale jak się z niego wydobyć? Umowa o naukę zawarta trwała ciągle, a na dobitkę on sam ją także swoim stwierdził podpisem.

W tém zaszedł przypadek, który sprawę o krok przybliżył do rozwiązania. W dzienniku wydawanym przez Jakóba Franklina pojawił się był artykuł, za który Zgromadzenie generalne skazało Jakóba, jako odpowiedzialnego redaktora, na miesiąc więzienia, odmówiwszy mu nadal prawa redagowania dziennika. Jakób Franklin chcąc wyminąć zakaz władzy, postanowił dalej wydawać dziennik tytuł tylko zmieniawszy; a za redaktora w obec władzy odpowiedzialnego uchodzić miał Benjamin Franklin. Ten zgadzał się na to; wszelako do tego trzeba było rozwiązania dotychczasowego między braćmi kontraktu; dopóki bowiem Benjamin był tylko uczniem drukarskim, władza nie mogła mu, jako niewyzwolonemu, przyznać prawa odpowiedzialności za redakcyą. Jakób przystał na zerwanie umowy; nie chciał jednak wyrzec się korzyści, jaką ciągnął z zawisłości niewyzwolonego brata; owszem o zabezpieczeniu ich sobie i nadal pomyślał. W tym celu skłonił Benjamina do podpisania nowój o naukę umowy z zachowaniem jednak wszystkich dawniejszych warunków i obowiązał go do zachowania sprawy téj w tajemnicy. Wobec takich stosunków i okoliczności, Jakób, już ze względu na własną korzyść, powinien był uczynić znośniejszém w domu swym życie Benjaminowi. Tymczasem wcale o tém nie myślał; przeciwnie, z więzienia wróciwszy, znów po dawnemu obchodził się z bratem; a gdy pewnego razu z błahych jakichś powodów w gwałtowności swój aż do brutalnych uniósł się wybuchów, Benjamin opuścił drukarnią, całkiem stanowczo oświadczywszy, że nigdy nie powróci. Moralnie obowiązywał go wprawdzie kontrakt ostatni; ale rozżalony Benjamin nie wiele dbał o niego, na to się przedewszystkiém spuszczając, że brat oszukawszy władzę, nie chcąc sam ściagnąć kary na siebie, nie wytoczy sprawy przed sąd, a zatém niczém go nie zdoła zmusić do dotrzymania umowy. Rozumowanie to w danym tym przypadku nie było bez podstawy; ale pominąwszy już zmartwienie, jakie zajęcie to sprawiło rodzicom, Jakób znalazł sposobność szkodenia bratu. Umiął on użyć różnych do tego środków i to sprawił, że Benjamin w żadnej drukarni w Bostonie nie znalazł zatrudnienia. Obrót ten rzeczy nowe pociągnął za sobą następstwo; Benjamin doprowadzony do ostateczności, powziął rozpaczliwe postanowienie, opuścić Boston bez wiedzy i woli rodziców. W tym celu część swych rzeczy sprzedał i popłynął do Nowego Jorku, gdzie się spodziewał znaleźć zatrudnienie.

O podróży téj opowiada on następujący szczegół charakterystyczny: „Cisza morska zmusiła nas przybić do brzegu powyżej Blok Island; a majtkowie korzystając z przestanku zajęli się połowem sztokfiszów. Ja dotychczas pozostałem wiernym swemu postanowieniu, aby nic nie jeść, co przedtém miało w sobie życie; to téż łowienie ryb uważałem za rodzaj mordu, popełnianego bez wszelkiej przyczyny, gdyż biedne ryby nie czyniły człowiekowi żadnej szkody, a nawet żadnej uczynić nie były w stanie. Dawniej jednak bardzo lubiłem ryby; kiedy więc zaleciał mnie zapach świeżo usmażonego sztokfisza, wówczas mój zmysł smaku w niemałej z mojemu zasadam był wojnie. Mimo to jednak jakiś czas mężnie broniłem się pokusie. Dopiero kiedy ujrzałem, że z rozplatanego sztokfisza małą wydobyto rybkę, wtedy powiedziałem sobie: Jeżeli ty możesz jeść drugie ryby, tedy nie widzę powodu, dlaczegoby ciebie jeść się nie godziło!“ Franklin opowiada potem, z jakim upodobaniem jadł sztokfisza; i że od téj chwili na sprawę żywienia się pokarmami zwierzęcymi zapatrywał się tak, jak inni rozumni ludzie. Poczém dodaje: „Widzisz z tego, jak to jest dobrze, być rozumném zwierzęciem, które na wszystko umie znaleźć powód dostateczny!

Puściwszy się w dalszą podróż, szczęśliwie dopłynął do Nowego Jorku, odległego o trzysta mil angielskich od jego rodzinnego miasta. Ale u jedyne go drukarza, który tam był osiadł, nie znalazł zajęcia. Drukarz ten poradził mu, aby się udał do Filadelfii, gdzie u syna jego, także drukarza, zapewne będzie się mógł pomieścić. Trzeba więc było nową odbyć podróż; i to niebezpieczną; przyszło przebyć burze i gwałtowne ulewę, a do tego na statku starym i bardzo zużytym.

Pierwszy swój występ w Filadelfii Franklin opisuje w sposób następujący: „Przybyłem w odzieży méj robotniczej, bo lepsza dopiero nadejść miała. Była to odzież zużyta, brudna; kieszenie wypakowane koszulami i pończochami. W całym mieście nikogo nie znałem, a także nie wiedziałem gdzie i jak szukać przytułku. Przybyliśmy do miasta na łodzi, na której pomagałem przez całą noc do robienia wiosłami; nie spałem więc i nic nie jadłem; potem szedłem dobry kawał piechotą ku miastu; co wszystko sprawiło, że czułem się bardzo znużonym i głodnym. Talar holenderski i szyling miedziany, to cała moja była gotówka. Szyling zapłaciłem za łódź; z razu nie chciano brać odemnie pieniędzy, gdyż pomagałem do wiosłowania; ale kiedym tego żądał stanowczo, przyjęto. Nieraz

jest się hojniejszym, kiedy się ma mało w kieszeni, aniżeli kiedy się posiada wiele pieniędzy, a to prawdopodobnie dla tego, że chcielibyśmy w takim razie ukryć przedewszystkiém nasze ubóstwo. Udałem się ulicą, bądź jednej bądź drugiej stronie ciekawie się przeglądając, i tak zbliżyłem się ku targowisku, gdzie spotkałem chłopca z bochenkiem chleba. Zapytałem się, gdzie go kupić, i poszedłem wprost do piekarza, którego mi wskazał. Chleba takiego już nie było. Zażądałem chleba białego za trzy pensy; ale po téj cenie tego pieczywa nie pieczono; nareszcie prosiłem, aby mi za trzy pensy dano jakiegokolwiek pieczywa. Dano mi trzy duże strucle z mąki mieszanéj. Zadziwiłem się niemało, otrzymawszy taką ilość pieczywa. Zabrałem je, ale nie mając miejsca w kieszeniach, wziąłem jedną strucle pod jedną, drugą pod drugą pachę, a trzecią zając, szedłem sobie przez miasto. Powróciłem do łodzi; napiłem się wody rzecznej. Strucla i woda pokrzepiły mnie dostatecznie; dwie strucle darowałem jakiejś kobiecie z dzieckiem, która tą samą przybyła łodzią, i dalej nią płynąć miała. Poczém znów zwróciłem się ku miastu; ulicą szło teraz mnóstwo ludzi porządnie ubranych, i to w tym samym kierunku. Przyłączyłem się do nich i zaszedłem do zboru Kwaków, położonego w pobliżu rynku. Usiadłem wraz z drugimi, a rozglądając się czas jakiś na wszystkie strony, czy też kto nie zabiera się do mówienia, nie spostrzegłszy nikogo, z nudów i znużenia zasnąłem sobie w najlepsze, tak że nawet ruch w czasie, kiedy zgromadzenie się rozchodziło, nie zdołał mnie zbudzić. Dopiero jakiś jegomość osobno się mną zajął, i ze snu obudził. Ten zbor kwakerski był pierwszém zabudowaniem, do którego wszedłem i w którym spałem w Filadelfii.“

Drukarz, którego Franklinowi wskazano w Nowym Jorku, ubolewał, że nie miał dla niego roboty, ale odesłał go do drugiego, niejakiego Kajmera. Tu Franklin znalazł robotę za lichą zapłatę. Tymczasem nadszedł i kufer z jego rzeczami; przebrał się więc nasz podróżnik i z satysfakcją się przechadzał w sukniach porządných. Poznał się z kilkoma młodzieńcami, którzy radzi rozmawiali o książkach; toż w towarzystwie ich przepędzał nieraz przyjemnie wieczory. Również poznał w tym czasie przyzwoitą i skromną panienkę, nazwiskiem Read, i począł nosić się z myślą starania się o jój rękę. Ponieważ Franklin, podług swego dotychczasowego zwyczaju, i tu żył bardzo skromnie i oszczędnie, a przytém nadzwyczajnie pilnie pracował, przeto w krótkce już mógł mieć w zapasie pewną kwotę,

co znacznie się przyczyniło do jego pogodnego i wesołego usposobienia. O Bostonie czasem tylko, i to jakby mimochodem, sobie przypominał, a nawet i to mu na myśl nie wpadło, że przecież rodzicom o sobie donieść należało. Przypadkiem dowiedział się szwagier jego, Robert Holmes, że Benjamin bawi w Filadelfii i że znalazł zatrudnienie. Napisał więc do Benjamin, którego bardzo lubił list, w którym zwracał mu uwagę na krzywdę rodzicom i bratu wyrządzoną, i upominał, aby uznał swój błąd i wrócił do swoich. Na ten list Franklin niezwłocznie i serdecznie odpisał, wyrażając żal, że niepodobna usłuchać udzielonej mu rady; przyczem ze swego stanowiska opisał szwagrowi cały tok swój z bratem sprawy. List ten doszedł Holmesa w Niukas'lu i to właśnie, kiedy tam bawił w towarzystwie gubernatora prowincyi Wilhelma Kajta. Chociaż list Benjamin nie był po myśli Holmesa, wszelako zajął go bardzo, gdyż tak pod względem formy, jakoteż wyłożenia i uzasadnienia rzeczy był małym arcydziełem; Holmes więc nie mógł wytrzymać, aby go nie pokazał życzliwemu gubernatorowi, na którym list ten sprawił takie samo wrażenie. Gubernator bardziej się jeszcze zdziwił, kiedy się dowiedział, że Benjamin nie skończył jeszcze lat ośmnastu; oświadczył więc, że jest obowiązkiem, dopomódz tak zdolnemu młodzieńcowi radą i czynem. W dalszym toku rozmowy gubernator dał się z tém słyszeć, że chciałby pomódz Benjaminowi do założenia drukarni, i że nadal wszystko dla niego uczyni, co tylko będzie w jego mocy.

Franklin niczego nawet się nie domyślał, bo szwagier dopiero później doniósł mu o całej téj sprawie; w krótkce jednak doznał pewnego jój skutku. Kiedy bowiem w kilka dni potem pracował przy oknie w towarzystwie Kajmera, swego chlebodawcy, spostrzegł gubernatora i pułkownika Frencha, zmierzających wprost do domu, w którym właśnie znajdowała się drukarnia. Kajmer będąc przekonany, że ci panowie do niego idą, prawdopodobnie dla jakiegoś znacznego zamówienia, zbiegł czym prędzej na dół i sam gościom bramę otworzył. Gubernator zapytał o Franklina, poszedł do niego do pracowni, mówił z nim bardzo uprzejmie i zaprosił ze sobą na szklankę wina. Zdumiony takiem uprzejmym zniżeniem się gubernatora, Franklin przywdział lepsze suknie i całe to małe grono udało się do winiarni. Przy szklance wybornéj madery gubernator zaproponował młodemu Franklinowi, aby w mieście, w którym dotychczas nie było ani jednego drukarza, dobrze swój zawód roz-

miejącego, założył drukarnią, dodając, że mu przyrzeka druki wszelkie rządowe. A kiedy Franklin wyraził obawę, że ojciec zapewne odmówi mu środków na założenie drukarni potrzebnych, i to tém pewniej, że zmartwił go i obraził, Boston bez jego wiedzy opuściwszy: gubernator dodawał otuchy, oświadczając, że mu da do ojca list polecający, w którym wyłoży oczywiste tego planu korzyści.

W skutek téj rozmowy Franklin w krótcie pojechał do rodziców. Przyjęto go tam serdecznie, ale pomocy na założenie drukarni ojciec odmówił. Napisał on sam do gubernatora, wyrażając radość swą i wdzięczność za życzliwość synowi okazaną: ale zarazem oświadczył, iż mając na względzie liczną swą rodzinę, nie może dać do rozporządzenia tak znacznej kwoty, jakiej wymaga założenie drukarni zwłaszcza synowi, który dopiero rok ósmnasty życia licząc, zanadto mało ma jeszcze doświadczenia. Benjamin nie chciał odjechać z Bostonu, nie odwiedzwszy brata Jakóba. Poszedł więc do niego do drukarni, „Byłem natenczas“ — opowiada on — „daleko lepiej ubrany, aniżeli kiedykolwiek w czasie méj u niego służby; miałem suknie całkiem nowe i przyzwoite, miałem zegarek, a sakiewka zawierała prawie pięć funtów szterlingów w brzmiaćej monecie. Brat przyjął mnie nie bardzo grzecznie, a obejrzawszy od stóp do głowy, spokojnie zajmował się dalej swą pracą. Zatrudnieni u niego drukarze wypytywali się mnie, gdzie bywałem, dowiadywali ciekawie o miejscach mego pobytu i jak mi się tam podobało. Wychwalałem aż do przesady Filadelfią, opisywałem szczęśliwe tamtejsze życie i oświadczyłem, że zamierzam tam powrócić. Jeden zapytał, jakie tam mają pieniądze. Sięgnąłem do kieszeni i wydobyłem garść srebra na pokaz. Byłoto dla nich niezwykłą rzadkością, gdyż w Bostonie tylko papierowe pieniądze były w obiegu. Nie zaniechałem potem popisać się i swym zegarkiem, a ponieważ brat mój jak mruc ciągle był w złym humorze, więc pożegnałem ich, dając im szyling na przepicie. Odwiedziny te moje dotknęły do żywego mojego brata; albowiem, gdy w krótcie potem matka nasza wspomniała mu o pojednaniu się ze mną i objawiła życzenie, że radaby nas w zgodzie widziała, Jakób jéj oświadczył, że mój go w obecności jego ludzi obraził do tego stopnia, iż nie będzie mógł nigdy mi tego ani zapomnieć, ani przebaczyć.“

Przyjaciele rodziny nadarmo usiłowali nakłonić ojca do zmiany postanowienia w sprawie założenia drukarni. Na wszelkie uwagi stary Franklin wręcz odpowiadał, że to istna nedoręczność czynić

nakład na przedsiębiorstwo, którego prowadzenie ma się powierzyć wyrostkowi; po trzech latach, które ma jeszcze przed sobą, można będzie mówić na seryo o téj sprawie. Cieszył się jednak, że Benjamin tak przyzwoicie i statecznie wyglądał, a bardziej jeszcze z tego, że umiał pozyskać sobie życzliwość osoby takiego znaczenia i wpływu, jaką był gubernator. W końcu radził synowi, aby, będąc na drodze pilnej pracy i oszczędności, i nadal nią postępował, przez co po jakimś czasie może o własnych siłach zdobyć sobie stanowisko.

Tak więc przyszło Franklinowi z niczém powracać do Filadelfii. Ale jedno go przecież bardzo cieszyło, a to, że tym razem odjeżdżał z błogosławieństwem rodziców. Po drodze wstąpił do Nowego Jorku, aby odwiedzić jednego z braci, który się tam był osiedlił; ten go przyjął bardzo serdecznie. Przyjaciel brata, niejaki Weron, poznawszy Benjaminą, zaszczylił go zaufaniem prosząc, aby kwotę trzydziestu sześciu funtów, która mu się od jakiegoś dłużnika w Pensylwanii należała, a na co wręczył Benjaminowi potrzebne dowody, w jego imieniu odebrał i zachował u siebie, dopóki jęj nie zażąda. Franklin podjął się załatwienia téj sprawy.

W Nowym Jorku spotkał Kollinsa, tego samego, z którym, jak sobie czytelnik przypomnie, dawniej częste toczył dysputy, i który wtenczas górował nad nim zasobem wiedzy i biegłością języka. Kollins także zamierzał udać się do Filadelfii, aby tam spróbować szczęścia; przyczepił się więc do Franklina, który dla przyjaciela lat młodszych zachował gorętsze uczucie. W drodze dowiedział się od towarzysza, że wcale nie ma pieniędzy i że tylko przyjaźni jego ufając, puścił się w dalszą podróż. Franklin natychmiast pomoc mu ofiarował; ale na nieszczęście pieniądze, które przyszło płacić za towarzysza, trzeba było wziąć z kwoty, którą jedynie Weron miał wyłączne prawo rozporządzać. Jedną rzecz bardzo się nie podobała Franklinowi w towarzyszczu. Kollins, jako agent handlowy, odbywając ostatnimi czasy częste podróże, w krótkim stosunkowo czasie nauczył się zaglądać zbyt często do kieliszka. Toż w Filadelfii nie znalazł miejsca, i to prawdopodobnie dla tego, że twarz jego zbyt zaczerwieniona i oddech wskazywały nader wyraźnie i jasno, z kim się ma do czynienia. Tym sposobem więc upływały dni i tygodnie, a przyjaciel żył z kieszeni Franklina. Ale nie na tém koniec. Sprytny przyjaciel umiał tak zażyć pocziwego Franklina, że ten kilka razy pożyczył mu kwot bądź mniejszych bądź

większych, a zawsze na uroczyste przyrzeczenie i zobowiązanie jak najrychlejszego zwrotu, czego jednak Kollins nie dotrzymał. A tymczasem i owo życie z kieszeni Franklina i one pożyczki szły właściwie z kieszeni Werona, czyli z owęj kwoty z polecenia tegoż w Pensylwanii odebranęj; kwoty, która zmniejszała się coraz bardziej tak, że Franklin z przerażeniem się ocknął pomyślawszy, co by począł, gdyby nagle Weron zażądał swoich pieniędzy.

Kiedy Franklin zdał gubernatorowi sprawę o przyjęciu, jakiego doznał u ojca zamiar założenia drukarni, gubernator rzekł na to: „Skoro ojciec odmawia pomocy do przedsiębiorstwa, tedy ja Panu pomogę. — Dam panu pieniądze i listy polecające, a potem udasz się do Anglii dla sprowadzenia wszystkiego, czego do urządzenia drukarni potrzeba. Zakupisz pan bądź za gotówkę, bądź za okazaniem moich listów, na kredyt, co potem powoli wypłacisz.“

Gubernator miał rzeczywiście dobre i rzetelne chęci; ale na nieszczęście należał do rzędu tych ludzi, którzy będąc życzliwego serca, często dają mu się porywać do czynienia obietnic, nie zastanowiwszy się zarazem, czy będą w stanie uczynić tym chęciom załość, a tém samém, dotrzymać przyrzeczenia.

Ale Franklin nie mógł patrzeć w przyszłość; wystarczało mu więc oświadczenie osoby, tak znakomite zajmującej stanowisko, — gotował się więc do podróży. Przed nią jednak zamierzył zaślubić pannę Read. Na szczęście matka panny myślała podobnie jak ojciec Franklina: młodzieńca ośmnastoletniego uważała jeszcze na wpół za wyrostka; dlategoż oświadczyła, że dość będzie czasu pomyśleć o małżeństwie po powrocie Franklina z Anglii i załatwieniu tak ważnego interesu, jakim jest urządzenie drukarni, która ma być podstawą całego jego bytu. Rad nierad Franklin musiał się zgodzić z wolą praktycznej matki, a dawszy, jak sam powiada, pannie przyrzeczenie, popłynął do Anglii.

Przybywszy do Londynu, Franklin przed innemi widział się zniewolonym do czynienia studyów nad charakterami ludzkimi, a na sam początek przyszło mu dobrze się zastanowić nad ludźmi tego kroju, do jakich należał gubernator. Miał on od niego listy polecające, a list z pieniędzmi miał nadejść; tymczasem list ten wcale nie nadszedł, a tamte nie miały żadnej wartości. Zamiast więc zakupować przybory do drukarni, Franklin szukać musiał roboty, aby nie zginąć z głodu. W tym celu zgłosił się do drukarni Palmera, jednéj ze znaczniejszych w Londynie, i został przyjęty.

Po niejakiem czasie lepsze jeszcze otrzymał miejsce w drukarni Watsa, w której około pięćdziesięciu robotników było zajętych. Wszyscy pili nadto wiele piwa; Franklina zaś, który tylko pijał wodę, amerykańskim wodnikiem przewali utrzymując, że brak mu siły muskularnej. Ale niemało się zadziwili, ujrawszy go raz niosącego po schodach z dołu na piętro w każdéj ręce po formie z czcionkami, kiedy każdy z nich obudwu rąk potrzebował do uniesienia jednéj tylko formy. „Towarzysz mój, z którym przy prasie byłem zajęty“ — opowiada Franklin — „wypijał codziennie dzbanek piwa na śniadanie, drugi między śniadaniem a obiadem, trzeci podczas obiadu, czwarty około godziny szóstéj po południu, a wreszcie siódmy wieczorem robotę ukończywszy. Zwyczaj ten wydał mi się obrzydliwym; on zaś twierdził, że bez téj ilości piwa nie miałby sił do roboty. Starałem się przekonać go, że siła fizyczna, którójby dostarczało piwo, mogłaby być skutkiem tylko stałych części jęczmienia, w wodzie rozpuszczonych, z których się składa piwo; a zatem, że w chlebie za fenik zawiera się daleko większa ilość mąki, z którój zjadłszy chleb i szklanek wody wypijwszy, więcéj nabędzie siły, niż z dzbanka piwa. Ale to rozumowanie moje nie powstrzymało go od dalszego picia téj saméj ilości piwa i od przepijania co sobota czterech do pięciu szylingów (dwa do półtrzecia złotego), które płacił za porter. Tym sposobem ci biedacy pozostają przez całe życie w samowolném ubóstwie i niedostatku.“

W poniedziałek — tak zwany u naszych robotników *blau-montag* — Franklin nigdy nie świętował; toż wkrótce pracą i pilnością pozyskał sobie względy i szacunek u pryncypała, który mu, jako bardzo biegłemu i zręcznemu składaczowi, powierzał najpilniejsze, a przeto i najlepiej opłacane roboty. Jak niegdys Kollins, tak teraz niejaki Ralf, który się zaliczał do jego przyjaciół i razem z nim udał się był do Londynu, był jego plagą. Ralf ciągle pożyczał u Franklina, o zwrocie wcale nie myśląc; suma tych pożyczek urosła do wysokości dwudziestu siedmiu funtów. Nareszcie Ralf wyjechał z Londynu, aby na prowincyi znaleźć sobie miejsce, pozostawiwszy w Londynie narzeczoną, którą Franklin gorliwiej się zajmował, aniżeli się godziło. Ralf powróciwszy, uznał postępowanie Franklina naganném i oświadczył mu, że uważa się przez to uwolnionym od wszelkiej względem niego wdzięczności, co tyle miało znaczyć, że nie zwróci długu, u niego zaciągniętego. I rzeczywiście

na tém się rzecz skończyła, bo Franklin ani grosza od Ralfa nie otrzymał.

Podczas pobytu swego w Londynie, Franklin całkiem zapomniał był o pannie Read, którą, nim Amerykę opuścił, za swą narzeczoną uważał. Toż i ona, oczekując napróżno jego powrotu, a nadto przez cały rok ani listu od niego nie otrzymawszy, była pewną, że ją sobie wybił z pamięci. A kiedy jeszcze nadarzył się garniarz, który prosił o jej rękę, tedy idąc za radą matki, dała mu słowo i wkrótce za męża poszła.

Franklin bawił już półtora roku w Londynie i w zawodzie swym bardzo się wydoskonalił. Wieczorami po robocie najmilszym dlań odpoczynkiem było czytanie dobrych książek i towarzystwo młodych, naukę i pracę lubiących, ludzi. W tym czasie poznał niejakiego Denhama, kupca, który tak bardzo go sobie był upodobał, że mu ofiarował u siebie miejsce komisanta. Denham, człowiek prawego charakteru i wielkiej w swym zawodzie znajomości rzeczy i obrotności, zamierzał ze znacznym zasobem towarów udać się do Filadelfii, dawał Franklinowi znaczną płacę i prócz tego przyrzekł mu na później pomoc do urządzenia się samoistnego. Dobre widoki i tęsknota za krajem rodzinnym skłoniły Franklina do przyjęcia propozycji. Pożegnał więc zawód drukarski i z nowym swym pryncypałem zajął się skupowaniem towarów.

Ale o tym samym czasie odbył on w sobie i ze sobą pożegnanie innego rodzaju. Niejedno, co dotychczas robił, coraz mniej zgadzało się z jego sumieniem. Przez ten czas poznał był dość ludzi, a zastanawiając się nad ich postępowaniem, jednych pomimo woli dla ich zasad szanował, zasadami drugich, a często brakiem zasad, brzydzić się musiał. Toż coraz mocniejsze wyrabiał sobie postanowienie postępowania drogą świętej prawości i rzetelności; i zaprawdę, jak to okaże dalszy jego żywot, odtąd, jak mało kto, pozostał wiernym temu postanowieniu.

Czas nierozwagi i błędów od tego czasu na zawsze przeminął.

III. Zwrot pomysłny.

Francuz Mignet charakteryzuje zwrot ten, jaki wówczas dokonywał się w duszy Franklina, w słowach następujących: „Wszechświat“ — powiada Mignet — „jest harmonią praw. Od gwiazd,

które przez miliony lat podług prawa ciężkości poruszają się w niezmiernym przestrzeni, ulegając tak ruchowi potężnemu, jakotóż nieodmienną sile przyciągającej, których im Stwórca najwyższy udzielił, aż do owadów, które tylko kilka minut ruszają się około listka drzewa — wszystkie ciała, wszystkie jestestwa, pewnych praw słuchają. Prawa te, które mądrość Boża ustanowiła, dobroć urzeczywistniła, a sprawiedliwość utrzymuje; prawa te podziwienia godne, wprowadziły ruch w całej doskonałości, rozpowszechniły życie z całą jego obfitością i bogactwem, i utrzymały w zupełnej harmonii porządek w wszechświecie niezmiernym. Człowiek, stworzenie najwznioślejsze i ze wszystkich najmisterniejszego ustroju, postawiony wśród tych praw, ale nie po za nie i nad nie, zdolen je pojmować, ale odmienić niezdolen, podlegający i materyalnemu prawom ciała i prawom żywych jestestw — człowiek otrzymał wspólny dar rozumu, piękny przywilej wolności, boskie sprawiedliwości uczucie. Rozum mając, winien znać prawa wszechświata, uczuciem sprawiedliwości obdarzony, poddawać się mu powinien; a będąc wolnym, karę odbiera, jeżeli się z pod nich wyłamuje, gdyż nie wolno mu naruszać ich ani w fizycznym, ani moralnym porządku rzeczy, nie ściągnawszy na się kary bądź to za niewiedzę, bądź za omyłkę swoją. Zdrowie lub choroba, szczęście lub niedola, zależą od bacznego troskliwości, z jaką na nie zwraca uwagę, albo od wytrwałości pełnej niebezpieczeństw, z jaką przeciw nim wykracza. Franklin to rozumiał. Od uważania porządku wszechświata wznosił się do Stwórcy; wyznawał Boga i postawił go w rozumie swym i sumieniu jako pewnik niewzruszony. Z różnej ducha i materyi istoty, z jednolitego ducha a ze znikomiej materyi wnioskował zdrowym zmysłem wszystkich ludów i zasad wiary wszelkich religii, tak najniższych jak najwznioślejszych, o nieśmiertelności duszy. Z konieczności porządku w wszechświecie, z uczucia sprawiedliwości w człowieku wywodził on nagrodę za dobre a karę za złe uczynki, czyto w tém, czy w przyszłym życiu. Istnienie Boga, nieśmiertelność duszy, nagroda lub kara za uczynki, a to w miarę ich zgody lub sprzeczności z moralnymi prawami, nabrały w oczach jego powagi prawdziwych artykułów wiary.

Dotychczas Franklin starał się gorliwie o nabywanie i pomnażanie wiadomości, o przyswojenie sobie największej, ile można było, wprawy i zręczności w swoim zawodzie; teraz zaś z całą powagą i rozważą zwrócił bacność na życie swe moralne, usiłując uwolnić

się od błędów, umocnić w dobrych skłonnościach i nawyknieniach, i w cnoty się uposażyć. Ułożył sobie spis tych przymiotów, które rad był w sobie wyrobić i życiem swém sprawdzić, do każdego kilka słów objaśniających dodając. Spis ten brzmi jak następuje:

1. Wstrzemięźliwość. Nie jédz, żebyś się aż stał zwierzęciem; nie pij, żeby ci aż głowa pałała.

2. Milczenie. Mów tylko to, co tobie lub drugim może być pożyteczném.

3. Porządek. Każda rzecz niech ma swoje stałe miejsce. Każdej ze spraw swoich poświęć część czasu swego.

4. Postanowienie. Postanawiaj wykonać to, co masz uczynić, a wykonaj to, coś postanowił.

5. Oszczędność. Nie czynń niepotrzebnych wydatków ani dla siebie ani dla drugih, t. j. nic nie marnuj.

6. Pilność. Nie trać czasu; zajmij się zawsze czémś pożyteczném. Rób, czego potrzeba.

7. Szczerość. Nie uciekaj się do pokątnych matactw. Niech niewinność i sprawiedliwość kierują twemi myślami i mową.

8. Sprawiedliwość. Nie czynń nikomu krzywdy i wyświadczań drugim przysługi, jakich spodziewać się od ciebie mają prawo.

9. Równowaga. Unikaj ostateczności, za obrazę nie żyw urazy, jeżeli nawet myślisz, że na to zasługuje.

10. Ochędóstwo. Nie cierp niechlujstwa ani na sobie, ani na odzieniu swém, ani w pomieszkaniu.

11. Spokój. Chroń się rozdrażnienia z powodu drobnostek lub zwykłych nieuniknionych zdarzeń życia.

12. Czystość. Strzeż czystości i wstydu, abyś nie naraził swego lub drugih spokoju lub dobrej sławy.

13. Pokora. Naśladuj Chrystusa i Sokratesa.

Franklin objaśnił także krótko następstwo swych trzynastu reguł; widać więc, że z umysłu w tym a nie innym ułożył je porządku. „Na czele“ — powiada on — „umieściłem wstrzemięźliwość, gdyż utrzymuje ona chłód i trzeźwość głowy, a myślom nadaje swobodę, czego niezbędnie potrzeba, jeżeli chcemy być zawsze czyści, zawsze mieć się na ostrożności, aby stawiać opór ponętom dawnych nawyknień i potędze pokus, na nas ustawicznie czyhających. Jeżeliśmy się raz wzmocnili w tój cnotcie, tedy i milczenie staje się łatwém: a ponieważ pragnąłem nabywać wiado-

mości celem utwierdzenia się w praktyce cnót; ponieważ widziałem, że w towarzystwie więcej uczymy się za pomocą słuchu, aniżeli za pomocą języka; ponieważ chciałem pozbyć się zwyczaju, który już mnie był opanował, mówienia o niczym, a przy każdej sposobności rzucania w około siebie igraszką słów i żartami, co towarzystwo moje czyniło przyjemnym tylko ludziom płytkiego umysłu: przeto milczenie na wtórém położyłem miejscu. Tuszyłem sobie, że z porządkiem, który tuż po niém następuje, dostarczy mi więcej czasu do zajęcia się moim planem i naukami. Postanowienie, które stało się we mnie nawykniem, udzieliło mi niezbędnej wytrwałości do nabycia cnót innych; oszczędność i pilność, które mi ulżyły w długu, na mnie ciężącym, i doprowadziły do dobrego bytu i niezależności, ułatwiły mi wykonywanie przepisów szczerości, sprawiedliwości, równowagi, ochędóstwa, spokoju, czystości i pokory.“

Ale postanowienia i zamiary dwojakiego są rodzaju; jedno podobne do pustych kwiatów, drugie do kwiatów, zawierających w sobie zarody owoców. Postanowienia Franklina do drugiego należały rodzaju. Stosownie do słów: „Czuwajcie i módlcie się!“, co wieczór przeglądał wszystkie godziny w dniu przepędzone, i jak surowy sędzia, na siebie samego sprawiedliwy wydawał wyrok. Wówczas leżała przed nim książka z onemi prawidłami życia, do której zapisywał i swe przeciw nim uchybienia i postanowienia spełnione. Poczém w gorącej modlitwie wznosił ducha do Boga i błagał o siłę. Mała ta książka zawiera wiele modlitw, bądź to w słowach, które z własnej płynęły mu duszy, bądź wyjątki z pisma świętego, bądź wypisy z poetów, jego uczuciom odpowiadające. Kilkakrotnie powtarza się tam ustęp z pism angielskiego poety Tomsena treści mniej więcej następującej:

„Źródło życia i światła, wszechmogący Boże!

Ty sam racz mnie nauczyć, co dobrem być może.

Zachowaj mnie od szalu, grzechu i próżności.

Mysli kieruj w świat wyższy, chroń od poziomości.

Daj mi Panie poznanie, spokój duszy, cnotę,

W sercu wzbudzaj natchnienie, do cnoty ochotę!“

Zwrot ten w życiu Franklina w tém piękniejszym występuje świetle, że odbywał się w czasie, kiedy naszemu Benjaminowi świetnie powodzić się zaczęło. Był buchhalterem zamożnego kupca Denhama, który zaszczycił go całym swém zaufaniem, a po którego

prawości mógł się spodziewać na przyszłość poparcia, już nawet przedtém mu przyrzeczonego. W takich razach zazwyczaj człowiek, a zwłaszcza młody, cały tonie w świecie, i jego wrażeniom i wpływowi ulega; dopiero wtedy, kiedy bieda zacznie dokuczać lub nieszczęście dotknie, kiedy ludzie radzić lub pomódz nam nie umieją lub nie chcą, wtedyto dopiero zaczynamy odrywać się od świata, oglądając się i szukając Tego, który nam jedynie pomódz może; jakby na potwierdzenie przysłowia: „Kiedy trwoga, to do Boga“. Otóż inaczej rzecz miała się z Franklinem; on, jak się rzekło, właśnie w czasie świetnego powodzenia zwrócił się myślą ku Temu, o którym nigdy zapominać się nie godzi; wtenczas szukał prawd i praw życia, jako objawów woli Jego świętej i podwalin moralnego porządku; wtenczas wglądał w siebie, począł odbywać rachunek sumienia i przepisał sobie ścisły moralny porządek życia; słowem, zwrócił się do Boga wtedy, kiedy mu dobrze było na świecie. Ileż to młodzieńców w takich właśnie stosunkach schodzi na bezdroża, na ciele i duszy ponosząc szkodę! On za pomocą Bożą utrzymał się na równym gościńcu życia i mimo ciężkich prób, jakie jeszcze miał do przebycia, już z niego nie zboczył.

IV. Droga do niezależności.

Próby te nie długo na się czekać kazały. Denham, pryncypał Franklinowi tak życzliwy, który obchodził się z nim jakby z własnym synem, nagle umarł. Z nim wiele nadziei Franklina zstąpiło do grobu. Nie pozostawało mu teraz nic innego, tylko znowu zacząć od tego, na czém był przestał przed dwoma laty; t. j. ogłądać się za miejscem w której drukarni w Filadelfii. Równocześnie i drukarz Kajmer, u którego Franklin dawniej pracował, zamierzył był ofiarować mu u siebie pierwsze miejsce z dobrą płacą. Franklin nie lubił Kajmera, tak dla niepewności jego charakteru, jak dla małej znajomości interesu; przyjął jednak miejsce ofiarowane, a to dla braku w onę chwilę czego stosowniejszego. Od razu wziął się po dawnemu z całym zapałem do roboty. Prócz niego zajętych było w drukarni pięciu jeszcze robotników; ale robota ich równała się całkiem robocie ich pryncypała t. j. była bardzo niedokładna. Pod

kierownictwem Franklina, który według wyraźnej umowy zastępować miał w drukarni Kajmera jako pryncypała, od dnia pierwszego tok spraw zupełnie inny wziął obrót. Składacze i uczniowie widząc, jak dzielnie we wszystkiém sobie poczyna i codzień od niego się ucząc, okazywali mu uszanowanie. Więcej jeszcze cieszył się tém Kajmer i Franklina pochwałami obsypywał. Ale ten wkrótce odgałł prawdziwe tego postępowania pobudki. Kajmer myślał sobie: Franklin zaprowadzi mi ład w drukarni, i ludzi weźmie w należyte karby, a skoro tego dokona, pójdzie sobie z kwitkiem. Ale Franklin nie odpłacał równą monetą, lecz na to sobie odpowiadał: Niech Kajmer postępuje sobie nieuczciwie; to jednak nie daje mi prawa do podobnego z nim postępowania; owszem całej siły dołożę do wywiązania się z przyjętych na się obowiązków i poprowadzę interes tak, jakby był moim własnym.

Czynił to naprawdę w pocie czoła. Później, kiedy trudniejsze nadarzyły mu się sprawy, w następujący radził sobie sposób. Najpierw sam rozważał jak najściślej sprawę; potem złożwszy na pół papier, spisywał to, co za nią przemawiało, po jednej, co przeciw niej mówiło, po drugiej stronie przedziału. Następnie poczynał sobie z uwagami spisanemi jak ze zrównaniem rachunkowém, przekreślając powody za i przeciw równej wartości, przyczém czasami jeden powód z jednej strony równoważył kilku ze strony przeciwniej. Tym sposobem zmniejszały się pozycye po obu stronach a kwestya, o którą się rozchodziło, okazywała się w końcu w najprostszej, rzekłbym, postaci, tak, że łatwo mógł wyrobić sobie sąd o niej jasny i powziąć ostateczne postanowienie. Postępowanie to Franklin nazywał swą moralną algebrą.

Praca sumienna Franklina była korzystną dla Kajmera, ale więcej korzyści i pożytku przynosiła samemu Franklinowi, gdyż coraz większej wprawy, zręczności i znajomości nabierał w swym zawodzie. Ileżto takich, co przyjąwszy obowiązki w jakimś zawodzie, nie pojmują tego, że, jeżeli niedbałością szkodzą złemu chlebobdawcy, sobie samym większą jeszcze przez to wyrządzają szkodę. Nawet taki, któryby nie słuchał wyrzutów sumienia, zastanowiwszy się zimno i poważnie nad rzeczą, zrozumiałby, jak się ma ona naprawdę. W drukarni Kajmera brakło nieraz czcionek; a ponieważ w Ameryce nie było wówczas ani jednej jeszcze odlewni, przeto, już brak potrzebnych na nie pieniędzy pominąwszy, często ztąd wynikały kłopoty. Franklin, który raz przypatrywał się w Londynie

odlewaniu czcionek, nosił się z myślą przyrządzenia na ten cel formy, a niezdługo rzeczywiście już ją przyrządził. Czcionek, które miała drukarnia, użył za stemple i odlewał nowe czcionki w matrycach z gliny. Przy sposobności rzeźbił na drzewie ozdoby, robił czernidło, słowem, wszystkiemu umiał dać radę. Ale czém zręczniejszymi stawali się składacze i uczniowie, tém chłodniej Kajmer obchodził się z Franklinem.

Trudno go było zadowolić; widocznie szukał przyczyny do sprzeczki, aby się pozbyć niepotrzebnego mu już, jak mniemał, Franklina. W samą rzecz, okoliczność błaha do tego mu wystarczyła. Na ulicy powstał był wielki hałas; Franklin otworzywszy okno, wyjrzał, aby się dowiedzieć, co się dzieje. Kajmer stał właśnie przed domem, a spostrzegłszy Franklina wyglądającego, niebacząc, że na około pełno ludzi, hałasem zwabionych, z okien wyglądało, zawołał na niego w sposób grubiański, aby pilnował swęj roboty; za chwilę zaś wszedł do drukarni, wypowiedział Franklinowi miejsce, z żalem dodając, że wypowiedzenie to dopiero po trzech miesiącach może mieć skutek. Franklin odrzekł mu na to, że go w tym punkcie uwolni od kłopotu, gdyż natychmiast go pożegna; co téż uczynił.

Wieczorem jeden z uczniów drukarskich, nazwiskiem Meredith, przyszedł do Franklina. Był to już mężczyzna trzydziestoletni, wychowywany do rolnictwa; do drukarstwa zaś, którego był się jął tak późno, wcale niezdatny. Meredith ubolewał, że Franklin nie pozostanie nadal w drukarni u Kajmera i zapytał go, co teraz uczynić zamyśla. Ten odrzekł mu, że prawdopodobnie powróci do miasta rodzinnego. „Meredith“ — opowiada Franklin — „odradzał mi tego, przypominając, że Kajmer ma więcej długów, aniżeli wart z całym swém mieniem; że wierzyciele jego już są zaniepokojeni; że sklep, który miał obok drukarni, w opłakanym znajduje się stanie, gdyż często sprzedaje towar po cenie kupna, aby tylko dostał gotówki; przytém ciągle daje na kredyt, nie prowadząc książki i rachunków; słowem, wkrótce zbankrutować musi; nastąpi więc chwila dogodna do założenia nowęj drukarni. Na to uczyniłem uwagę, że mnie o tém myśleć niepodobna dla braku funduszów; Meredith zaś rzekł, że ojciec jego ma o mnie bardzo dobre wyobrażenie, i że z rozmowy, jaką miał z nim, wyrozumiał, iż dostarczyłby wszystkiego na urządzenie drukarni, gdybym go (Mereditha syna) przyjął do spółki. Na wiosnę kończy mu się nauka u Kajmera. Wie on wprawdzie, że nie jest dobrym robotnikiem, ale gdybym

przyjął jego propozycją, tedy mojej znajomości rzeczy równoważyłby kapitał, przezeń wniesiony, a dochód szedłby do równego działu. Propozycja była słuszną i do przyjęcia; więc przystałem. Ojciec jego, który właśnie pod ten czas był w mieście, także się zgodził. Wiedział on, że wywierałem pewien wpływ na syna jego, gdyż powiodło mi się było powstrzymać go na jakiś czas od picia wódki; ojciec więc miał nadzieję, że go całkiem wyleczę od tego nieszczęsnego nałogu, skoro w bliższe wejdę z nim stosunki. Drukarnią zamówiliśmy w Londynie, ale rzecz pozostała jakiś czas w tajemnicy.

Tymczasem Franklin nie myślał wypoczywać; ale na razie nie miał roboty. Przytém tak się złożyły pod ten czas okoliczności, że i Kajmerowi przyszło pożałować stosunku, z Franklinem zerwanego. Okazało się bowiem, że zamyślano powierzyć drukarni jego druk części pieniędzy papierowych dla Nowego Jerseju. Ale tylko Franklin był w stanie przyrzadzić do tego potrzebne typy i ozdoby. Kajmer obawiał się więc, aby się w tym celu nie udano do Bradforda, właściciela drugiej drukarni w mieście, który w takim razie niezawodnie ofiarowałby Franklinowi miejsce u siebie. Aby temu zapobiedz, przebiegły Kajmer napisał natychmiast do Franklina list bardzo grzeczny, w którym przyznawszy się do winy zbytnej popędliwości, wyraził żal z tego powodu i Franklina prosił, aby znów zajął dawniejsze w drukarni jego stanowisko. Ten wahał się z razu, ale wreszcie przyjął propozycją. Niezadługo istotnie nadeszło wspomniane z Nowego Jerseju wezwanie, a Franklin zrozumiał, że niechęć naprawienia wyrządzonej mu krzywdy, lecz przebiegłość i własna korzyść spowodowały Kajmera do zawiązania z nim nowego stosunku. Ale wierny raz powziętej zasadzie, iż pracować należy dla pracy, a nie dla względów osobistych, nie troszczył się o pobudki Kajmera, lecz z całą energią zabrał się do przyrzadzenia miedziorytni i to pierwszej, którą widziano w Ameryce. Własną ręką wyrył on potrzebne ozdoby i winiety. Ale ostateczne jęj wykończenie i przysposobienie do użytku nastąpić mogło dopiero w Burlingtonie pod nadzorem władzy prowincjonalnej, a nadto wyznaczono urzędników do czuwania nad drukiem asygnat papierowych. Kajmer radby był sam udał się do Burlingtonu, gdyby nie to, że dla braku znajomości rzeczy i zręczności, potrzebnej do wykonania ostatecznych robót, nie da sobie rady. Nie mógł się więc obyć bez Franklina; wziął go ze sobą do Burlingtonu, a tam z niemałym utrapieniem

patrzeć musiał i słuchać, jak najznakomitsi członkowie rządu przyznawali słuszność i pochwały zręczności Franklina w wykonaniu pracy poleconej. Niektórzy polubili go bardzo, osobliwie Inspektor generalny Izak Dekow, człowiek już wiekiem poważny i z bystrego rozumu znany. Syn ubogich rodziców, Dekow za młodo zarabiał na chleb, glinę w cegielni podając; dopiero znacznie później nauczył się czytać i pisać; poczem służąc u inżyniera przy pomiarach, miernictwa się nauczył, a wreszcie usilną pracą i rzetelnością dorobił się poważania u ludzi i majątku. Franklin słuchał z zajęciem opowiadania przygód i kolei życia poważnego i powszechnie poważanego starca, zachowując je w pamięci jako skarb, z którego bardzo troskliwie korzystał. Podobnież i zacny starzec z przyjemnością dowiadywał się o dotychczasowych kolejach energicznego i sprytnego młodzieńca; a w kilka miesięcy, kiedy już druk pieniędzy był ukończony, żegnając się z Franklinem, powiedział: „Przewiduję, że wkrótce wyprzesz tego człowieka (Kajmera) z jego stanowiska, a sam dorobisz się w Filadelfii znacznego majątku.“ Franklin nie mu o tém nie wspominał, że w spółce z Mereditem otworzy interes na własną rękę. Pobyt ten w Burlingtonie zjednał mu życzliwość Dekowa i drugih najznakomitszych w prowincyi mężów, co mu później miało wyjść na korzyść. Tak znowu na sobie samym doświadczył Franklin, że praca dla pracy, bez względu na pobudki, z jakich Kajmer mu powtórnie ją u siebie ofiarował, prowadzi do wypadków, których na razie nawet przewidywać nie można. Franklin pracą zjednał sobie przyjaciół, którzy mu kiedyś stać się mieli pomocni, a to, gdy już na własną pracował rękę.

W krótko potem Franklin rozstał się z Kajmerem. Czas nauki Meredita był upłynął, materyały drukarskie w wielkich pakach nadeszły z Londynu; Franklin z Mereditem najęli dom w rynku i otworzyli drukarnią. Właśnie ustawili prasę, gdy pewien znajomy Franklina, sprowadził mu wieśniaka, który pierwszy w nowym zakładzie zrobił zamówienie. Franklin bardzo się tém ucieszył, zwłaszcza że kasa spółki prawie zupełnie była wyczerpana. „Pięć szylingów“ — powiada on — któreśmy otrzymali od wieśniaka, ten pierwszy nasz dochód, właśnie w sam czas wpływając, sprawił mi większą radość, niż jakakolwiek kwota czasów późniejszych; a wdzięczność, jaką miałem dla znajomego, uczyniła mnie jeszcze skłonniejszym do zachęcania młodych początkujących przedsiębiorców.“

Teraz trzeba było zdobyć sobie stanowisko i zapewnić byt obok dwu drukarni Bostońskich. Zadanie to było wcale nie łatwe: trzeba było wydobyć prowizyą od kapitału wyłożonego na zakupienie przyborów i materiałów drukarskich, na najem domu, na pokrycie kosztu utrzymania obudwu spółników. Meredith pracował ile tylko zdołał, ale cały interes spoczywał na barkach Franklina. Toż pojmował on jasno, że cały sekret powodzenia polega na dostarczaniu roboty, ile możliwości, najlepszej i w czasie jak najkrótszym; a zatem: na niezmordowanej i sumiennej pracy. Zatem skoro świt widziano go przy pracy; a godzinę wieczorem, i to raz tylko na tydzień, przepędzał dla odpoczynku w kole przyjaciół równo myślących. Zawiązał on klub, którego członkowie miewali wykłady, nad którymi potem toczyła się rozmowa. Podobnie jak ów znajomy i drudzy przyjaciele i znajomi Franklina korzystali z każdej sposobności, aby mu nastręczyć robotę. Za pośrednictwem jednego z członków klubu sekta Kwaków powierzyła mu druk czterdziestu arkuszy historii swojej. Franklin składał, Meredith odbijał. Pomimo, że dzieło miało format bardzo wielki, a pod tekstem liczne i obszerne mieściły się uwagi, które najdrobniejszym trzeba było wydrukować drukiem, Franklin postanowiwszy, że codzień złoży arkusz druku, postanowienia tego rzeczywiście dokonał. Ale też przed północą nie szedł spać; a kiedy pewnego razu przypadkiem złamała się forma i dwie arkuszowe stronicę składu zupełnie się pomieszały, nie udał się na spoczynek, dopóki czcionek nie uporządkował i tekstu na nowo nie złożył. Pilność taką wytrwała jednała mu uszanowanie i kredyt. W klubie kupieckim wyraził ktoś powątpiewanie, azali interes Franklina i spółki obok dwóch istniejących drukarni zdoła się podnieść, albo przynajmniej utrzymać. Na to rzekł Dr. Bard: „Pilność i wytrwałość Franklina przechodzi wszystko, cokolwiek gdzie w tym zawodzie widziałem. Wracając w nocy z klubu, widzę go jeszcze pracującego, a rano znów jest przy pracy, kiedy sąsiedzi jego jeszcze na dobre chrapiają.“ Słowa te wywarły bardzo dobre wrażenie na członkach klubu; toż jeden z nich zaraz dnia następnego odwiedził Franklina i nieproszony, sam ofiarował mu kredyt, jeżeliby zamierzał założyć handel materiałami do pisania. Franklin odmawiał sobie wszelkiej rozrywki; nie bywał ani na polowaniach, ani przy połowie ryb, ani go też nie widziano w publicznych miejscach rozrywek i zabaw. Przytém żadna robota nie była mu za małą; a błuże robotniczą za suknią honorową uważał. Ze składu wozził sam na

taczkach papier do drukarni. Przyrzekał tylko to, czego mógł dotrzymać; a cò przyrzekł, tego święcie dotrzymał, czyto rozchodziło się o wypłatę pieniędzy, czy o dostarczenie roboty. Jakitaki, kto go nie znając, po raz pierwszy obaczył, zwłaszcza kiedy wioził taczki, miał go za biedaka i ograniczonego wyrobnika; ale skoro z nim pomówił i zajrzał mu w bystre oczy, przypatrzył się jego uprzejmemu obliczu, usłyszał mowę jego rozumną, wnet zdanie swe o nim zmienił.

Meredith czuł coraz bardziej, jak wielki między nim a Franklinem co do pracy zachodził przedział. Podążać za nim, aby mu wyrównać, było mu nader trudno, a być zerem obok swego spółnika, było znów rzeczą przykrą. Osobliwie ciążyła mu na sercu ta okoliczność, że ojciec jego, który za niego i Franklina miał jeszcze spłacić niektóre sumy, właśnie z powodu różnych niepowodzeń znalazł się w takiem położeniu, iż nie mógł zadość uczynić przyjętym na się zobowiązaniom. Toteż pewnego razu Meredith w te słowa odezwał się do Franklina: „Rozumiem to dobrze, żem do zawodu drukarskiego wcale nieprzydatny; chowałem się na rolnika; toteż nierozsądnie sobie postąpiłem, rozpoczynając już dobrze po dwudziestym roku życia naukę, aby nowemu poświęcić się zawodowi. Wielu moich rodaków zamierza osiedlić się w Nowej Karolinie, gdzie doskonała jest ziemia. Mam także ochotę udać się z nimi i do dawnego wrócić zajęcia. Pan znajdziesz zapewne przyjaciół, którzy ci pospieszą z pomocą. Jeżeli pan przyjmiesz na się wspólne nasze długi, zwrócisz ojcu memu zaliczonych sto funtów, zapłacisz moje drobne długi prywatne, dasz mi trzydzieści funtów i sprawisz nowe siodło, tedy zrzeknę się udziału mego w interesie i zupełnie go Panu odstąpię.“

Franklin zgodził się na to. Ale niepodobnem byłoby mu załatwienie sprawy, gdyby przedtém nie było zaszło zdarzenie następujące. Jeden z jego przyjaciół przyszedł raz do niego i radził mu, aby z Meredithem, którego kilkakrotnie i w piwiarniach i na ulicy widziano pianego, przez co szkodzi dobrej sławie firmy, rozwiązał spółkę i na własne imię prowadził interes, na co mu tenże przyjaciel ofiarował kapitał potrzebny. A prawie o tym samym czasie drugi z jego przyjaciół te same czynił mu uwagi i również ofiarował pomoc. A stało się to tak, że obaj życzliwi przyjaciele o radach i pomocy Franklinowi niesionéj nawzajem nic nie wiedzieli. „Byłito dwaj prawdziwi przyjaciele“ — powiada Franklin — „kto-

rych szlachetnego postępku nigdy nie zapomnę, dopóki jenó zdolę będę pamiętania.“

Franklin przyjął pomoc mu ofiarowaną; ale nie chcąc uchybić ani jednemu ani drugiemu zacnemu przyjacielowi, zażądał od każdego tylko połowy sumy, jakiej potrzebował. Poczém podał do publicznej wiadomości o rozwiązaniu spółki i że on sam tylko stał się właścicielem drukarni.

Staął więc Franklin, jakto mówią, na własnych nogach. Drukarczyk ubogi, nie mający żadnych własnych funduszków, stał się panem drukarni; a stał się nim za pomocą pracy niezmordowanej i rzetelności, które mu zjednały u ludzi poważanie i przyjaźń, a ta pospieszyła z pomocą. Otóż rozwiązanie jednéj z ważnych zagadek życia; do rozwiązania, jak przykład Franklina okazuje, nie tak trudnych, a przecież tak często nierozwiązywanych, z braku tak prostego klucza. Tymczasem ludzie biorą się nieraz do rozmaitych sposobów, gdzieś daleko ich szukają głowę sobie łamiąc, nieraz nawet ręce obrudzą, kiedy środki bardzo proste tak bliskie, że prawie tylko po nie schylić się potrzeba. Na cóż wytrychów, kiedy są klucze?

Łatwo można się domyśleć, że Franklin, który na cudzém ręk nie zakładał w kieszenie, na swoim tém mniej jeszcze im folgował. Teraz chodziło o pokazanie, że wart zaufania, którym go zaszczycono. Rosła téż praca jakby na drożdżach, a interes coraz szedł pomyślniej. Franklin otworzył handel przyborów i materyałów do pisania. Ułożył i drukował stosowne na umowy, obligacye, rachunki i t. p. akta, wzory czyli blankiety, których w Ameryce jeszcze nie znano; miał też towar ten nowy wielki pokup. Poruszono także kwestyą nowego wydania pieniędzy papierowych. Posiadacze dawniejszych asygnat obawiali się spadku ich wartości. Sprawa ta stała się przedmiotem gruntownych rozbiorów w klubie, przez Franklina założonym, a on sam wydał o tym przedmiocie pisemko, w którym jasno dowodził, że użycie pieniędzy papierowych ułatwia bardzo ruch i stosunki handlowe, jednak pod warunkiem, że się nie puszczą ich w obieg bez zachowania właściwej miary i stosunku.

W sejmie krajowym większość posłów oświadczyła się za puszczaniem w obieg nowéj seryi asygnat, a przyjaciele Franklina i osoby mu przychylnie nie omieszkali wymienić go jako najzdolniejszego do wykonania dzieła. Tymczasem Franklin zamierzał wydawać dziennik i w tym celu czynił przygotowania; ale ktoś, komu

był się z tém zwierzył, nadużył zaufania i Kajmerowi rzecz zdradził. Ten natychmiast sklecił jakiś prospekt i Franklina z wydaniem dziennika wyprzedził. Wszelako samo drukowanie dziennika nie stanowi jeszcze jego powodzenia i wziętości; na to przedewszystkiém potrzeba należytej redakcyi, do czego Kajmer wcale nie miał potrzebnych przymiotów. Toż zaledwie do dziewięćdziesięciu prenumeratorów doprowadziwszy, niebawem za bezcen sprzedął dziennik Franklinowi. Zaraz téż zmieniła się postać rzeczy; dziennik pod redakcyą Franklina zaledwie się okazał, już zyskał sobie zwolenników i coraz nabierał wziętości. Wbrew zwyczajowi dzienników, po owe czasy w Ameryce wychodzących, które zamieszczały bądź wyciągi z dzienników w Anglii wydawanych, bądź powtarzały za nimi jak pacierz za panią matką, Franklin samodzielnie wziął się do rzeczy, zwracając uwagę na sprawy, potrzeby i stosunki krajowe, amerykańskie i je rozbierał; a ponieważ wywiązywał się z tego w sposób bystry i oryginalny, więc w krótkce i tę miał pociechę, że i zdolni członkowie zgromadzenia narodowego zasilali jego dziennik swemi pracami. Jak wszystko, co dobrze t. j. rozumnie i uczciwie użyte, błogie ma następstwa, podłość lub głupota zamienić może w niemалą dla dobra publicznego szkodę: podobnie ma się rzecz i z dziennikarstwem. W redakcyi dziennika Franklina obok rozsądku uczciwość i rzetelność w radzie zasiadały. Co się sprzeciwiało dobru powszechnemu, temu stanowczo bronił przystępu, chociaż ludzie, którym chodziło o popieranie celów osobistych, ofiarowali mu za przyjęcie artykułów nawet znaczne zapłaty.

Kajmer skończył tak, jak to już dawno przewidywali wszyscy ludzie rozsądni. Niedbalstwo, nieład, niepewność, przy braku znajomości rzeczy i zręczności doprowadziły go do tego, że sprzedał drukarnią i opuścił miasto. Jeden z uczniów jego, niejaki Dawid Hary, nabył ją od niego, i — poszedł w ślady swego pryncypała i mistrza; przeputawszy bowiem znaczniejszą część swego majątku, wybrał się z resztkami także do Borbados, gdzie dawniejszy pryncypał Kajmer wstąpił do niego za pomocnika do założonej drukarni; ale i ta przy takich pracownikach niezadługo upadła.

Powodzenie i wzrost swego interesu Franklin zawdzięczał zasadom ekonomicznym, które raz jako jedynie prawdziwe poznawszy, z żelazną wolą i konsekwencyą w praktyce wykonywał. Ale z czasów swego obłądu pozostało niejedno do naprawienia; lecz i w tém był tak szczęśliwy, że i w tym względzie mógł zadość uczynić ży-

czeniu swoim. Z bratem swym Jakóbem zupełnie się pogodził, wziął mu syna do swęj drukarni, wykształcił go na porządnego w zawodzie pracownika, a wreszcie, kiedy tenże objawił życzenie założenia w inném mieście drukarni, w potrzebne na początek drukarskie przybory go zaopatrzył. Pieniądze, które był dla Werona odebrał, w części, jak wiemy, były się rozeszły, chociaż dla siebie Franklin ani fenika nie użył; przepadły one na pożyczkach u ludzi, którzy zawiedli byli jego zaufanie. Wreszcie i dola panny Read ciężyla mu długo na sercu. Czytelnik przypomni sobie, że ona w mniemaniu, iż Franklin podczas pobytu w Anglii o nięj zupełnie zapomniał, wyszła była za mąż za garncarza. Byłoto nieszczęśliwe małżeństwo. Garncarz napijał; a nadto wyszło na jaw, że za granicą był się ożenił i tam miał żonę jeszcze żyjącą. Narobiwszy mnóstwo długów uciekł on z Filadelfii, a po niejakim czasie nadeszła wiadomość o jego śmierci. Pozostała wdowa z domu Read żyła w biedzie i wielkim smutku; Franklin powiada, że popadła była w melancholią i szukała samotności. Otóż, aby naprawić to, w czém dawniej był chybił, ofiarował jęj rękę i nigdy tego nie żałował. „Była ona mi — powiada Franklin — zawsze dobrą i wierną towarzyszką i głównie przyczyniła się do błogięj życia mego pomysłności. Byliśmy ze sobą szczęśliwi, a wzajemnięśmy się starali o zachowanie i pomnożenie tego szczęścia.“ Teraz dopiero Franklin odzyskał zupełny spokój, a przez to wzniósł się na stanowisko, z którego jeszcze skutecznięj niż dotąd rozrządzać mógł i działać zasobami swego ducha.

V. Dalsza praca i jęj skutki.

Franklin ożenił się w r. 1730, w dwudziestym czwartym roku życia. Postanowiwszy tym sposobem, jak nasz Mikołaj Rej powiada, swój pocziwy staniczek, miał ognisko swe domowe, w którém skupione życie tém jaśnięj rozpromieniać się mogło na wszystkie strony. Totęz od tego czasu jemu, tak pilnemu i energicznemu pracownikowi, jakby przyrosło jeszcze pilności i energii, a rzutnemu przedsiębiorcy, jakby się rzutkości, zapobiegliwości i przezorności pomnożyło. Praca i działanie stały się jedynym żywiołem, rzekłbym

atmosferą i rozkoszą życia jego. Z powodzenia zadowolony, z sumieniem w zgodzie i pokoju, Franklin udawał się na spoczynek, a z pogodnym i orzeźwionym umysłem, o świeżych siłach ciała, skoro świt, do swojej zabierał się roboty. Szczęścia nie szukał w zewnętrznych pozorach, w blichtrze mamiącym, zdolnym chwycić za oczy tylko bezrozumną gawiedź. Wiernym sobie i prawdzie pozostał, chociaż Bóg mu błogosławił i dostatek w dom zawitał; toż, Franklin, właściciel drukarni, tak jak ongi Franklin, czyto drukarczyk, czy starszy pomocnik, przez dzień cały w prostej bluzie robotniczej pracował i paradował. I teraz Franklin, już właściciel drukarni, skoro się tylko okazała potrzeba, nie wstydził się i nie lenił, sam wziąć tacek do rąk i jak ongi, wieść papieru ze składu do drukarni. A rozsądni osadnicy amerykańscy, z których każdy własną pracą dorobił się stanowiska, nie dziwili się wcale i nie krzywili na to nosami; owszem każdy z uszanowaniem i z dumą spoglądał na pracownika, jakby w przeczuciu, że tylko pracą, tylko nateżeniem sił własnych młodzieńca, europejska Ameryka, dorówna matczy, dowiedzie, że nieodzowną jest jej córą, a nawet w krótkim stosunkowo czasie ją przewyższy!

Co za przykład dla nas! Przykład zaprawdę naśladowania godny! I to do tego stopnia, że obraz Franklina, już właściciela drukarni, taczki z papierem wiozącego, znajdowaćby się powinien w każdym domu! Jaki przykład dla nas! Dla czego dla nas? Bo u nas niestety, niejeden wybrałszy zawód — a wielu jest takich, co w żaden zawód nie wstępują, chyba w zawód próżniaków, który naprawdę jest zawodem w najrzetelniejszym słowa znaczeniu, bo i tych, co mu się oddają i społeczność całą zawodzi — chociaż z razu imię się pracy, a przeto dozna powodzenia i do dostatku przychodzić pocznie, właśnie dla tego, że mu się wiedzie, zapomina o tém, czemu winien powodzenie, o tém, co jego rzetelną stanowi wartość, i wstydzić się poczyną swego powodzenia początku i źródła, i zawodu zaniedbuje, a obcą, przybraną zaczyna grać rolę, łudząc siebie marnym pozorem i szukając podziwu u ludzi równie płytkich, równie za blichтром goniących! Jakiż stąd skutek? Oto na czas jakiś trochę fumu i szumu, dopóki do robienia szumu a w ogóle nadymania się starczy tchu, czyli środków! Ale i one z braku doglądania interesu, czyli zawodu, w krótkce się wyczerpują, jak wysycha źródło nie podsycane; dostatku ubywa, a więc zagląda w oczy niedostatek; od pracy się odwykło; trudno więc do niej

powracać. A jakież dalsze tego następstwo? Oto koniec najsmutniejszego! Upadek, z którego trudno się dźwignąć, bo się czas jakiś do-brego i wygodnego używało bytu; koniec najsmutniejszy, bo nędza, a tém przykrzejsza, że nie bndząca politowania, jako na nie nie za-sługująca; nędza, wywołująca śmiech wzgardy, nawet na ustach tych, co schlebiali, kiedyśmy z pełnego czerpali worka; nędza, bu-dząca wstręt u każdego rozumnego; wstręt, jaki budzić musi lekko-myślność, nierozwaga i próżność!

Ale wróćmy do obrazu, który nie smutkiem lecz uczuciem ży-wój radości napełnia serce, do obrazu, w którym człowiek na ka-żdym kroku okazuje się człowiekiem w prawdziwém słowa zna-czeniu; przypatrzmy się dalszemu naszego Franklina życiu, kiedy już miał własne domowe ognisko i własną, dobrze się wypłacającą, drukarnią z handlem przyborów do pisania. Wspomnieliśmy właśnie, że i teraz często sam jeszcze woził papier taczka-mi, a do tego do-damy, że i teraz jeszcze naczynie, z którego jadał śniadanie: mleko lub herbatę, stanowił garnuszek gliniany za sześć feników z łyżką cynową. Pewnego poranku żona podała mu mleko w filiżance por-celanowej, z której wyglądała srebrna łyżeczka. Franklin z zadzi-wieniem spojrzał na żonę; zroszciała ona to spojrzenie i rzekła: „Mój drogi! wszak zasługujesz na porcelanę i srebro równém pra-wem, jak nasz sąsiad.“ — „Byłoto po raz pierwszy“ — powiada Franklin — „że w domu moim zjawiła się porcelana i srebro.“ Ale téż wprzód nim była porcelana i srebro w własnym domu, Fran-klín długi wszystkie pospłacał. synowi brata, od którego tyle doznał przykrości, drukarnią założył! Toż zaprawdę wart był porcelany i srebra, a nawet i złoto małąby było dla takich zasług nagrodą!

Gete raz wypowiedział myśl treści mniéj więcéj następującej: „Ognisko domowe uważaj zawsze za punkt wyjścia, a od niego na świat się rozposcieraj!“ Ktoby myśli téj nie rozumiał, ten niech się przypatrzy życiu Franklina, a prawda w niéj zawarta jasną mu się stanie. Franklin przeznaczył sobie teraz godzinę codziennie na czytanie celem dalszego kształcenia ducha. W tymtéż celu sprawił sobie niejedną dobrą książkę za pieniądze, które wielu w tém sa-mém, co on, położeniu, obraca na cele materyalne, a częstokroć i szkodliwe. A ileżto wspaniałych skarbów literatury posiadał świat, dla niego niedostępnych! Toż Franklin nietylko o sobie lecz i o drú-gich myślał, dla których tak jak dla niego tyle ich było zamknię-tych. To bowiem jest znamieniem dusz szlachetnych, że nigdy dla

siebie samych nie żądają dobra i szczęścia, lecz pragną i bliźnim podać sposobność z nich korzystania. Myślał więc często o tém, jakbyto ogółowi ułatwić dobrych książek czytanie; a po dłuższém nad tą sprawą zastanowieniu powziął w r. 1731ym zamiar założenia publicznej biblioteki. Myśl ta znalazła odgłos; pięćdziesiąt osób złożyło po 40 szylingów, obowiązując się zarazem do składania na ten cel po 10 szylingów rocznie. Liczba zwolenników z roku na rok rosła a „Towarzystwo biblioteczne w Filadelfii“ w dziesięć lat później otrzymało prawa stowarzyszenia publicznego. Biblioteka tym sposobem założona już w roku 1790 składała się z 8.000 tomów; w r. 1830 liczba ta urosła na 32.000; dziś doszła do 50.000. Nie potrzeba się wcale rozwodzić nad ważnością takiego zakładu publicznego, tego dla całego kraju dobrodziejstwa; myśl pierwsza, początek wypłynął z głowy Franklina; a myśl ta szlachetna i pożyteczna w Filadelfii stawszy się ciałem, działała i w dal. Za przykładem Filadelfii poszły i miasta innych prowincyi; dobro więc sięgło poza granice miasta i prowincyi.

Pilność mrówcza Franklina nie tylko się nie wyczerpywała, lecz coraz nowe dla pracy odkrywała pole. Dotychczas Ameryka z Anglii sprowadzała papier; toż drogo zań płacić musiała. Franklin powziął myśl wyrabiania go w kraju; myśl ta w krótcie w czyn się zamieniwszy, Amerykę o nową gałąź przemysłu wzbogaciła, gdyż za przykładem Franklina pozakładano w różnych miastach papiernie. Jego drukarnia najrzęczniejszych kształciła składaczów; a skoro który z nich własną chciał założyć drukarnią, Franklin wnet mu pospieszał z pomocą, dostarczając materiałów drukarskich i sam przez jakiś czas, dopóki nowy zakład nie wyrobił sobie stanowiska, do spółki należał. Tym sposobem w różnych miastach powstawały drukarnie, a Franklin, który do ich wznoszenia się pomagał, i tę jeszcze miał pociechę, że z tych, którzy za jego wsparciem zakładali drukarnie, żaden nie zawiódł jego zaufania. Tak więc zakład Franklina był nie tylko szkołą dla drukarzy, jako robotników, lecz zarazem kształcił charaktery tych, którzy w nim pracowali.

✚ Rok 1732 był i dla Franklina i dla osad amerykańskich rokiem osobliwszego zdarzenia. W tym bowiem roku w lasach Wirginii, a to w skromnym domu uczciwej rodziny, przyszło na świat niemowlę, które przy chrzcie otrzymało imię Jerzego, a po ojcu odziedziczyło nazwisko, któremu na wsze wieki dodać miało nieśpożytej sławy i chwały; nazwisko: Wasyngton! Jakby tajemnica

przed wzrokiem śmiertelnych zakryta, spoczywała w kolebce nieporadna dziecina, aby kiedyś urość na obrońcę kraju rodzinnego przeciw samowoli i uciskowi rozzuchwalonej i zaślepionej Anglii; na wielkiego wodza na polu bitwy, a na pierwszego obywatela w pokoju. Któż patrząc wówczas w jasne i głębokie oczka dziecięcia mógł z nich wyczytać tę świetną jego przyszłość!

Ale jeszcze coś ujrzało w tym roku światłoienne; coś co się wyległo w sercu i głowie szlachetnego Franklina! Okazała się po raz pierwszy skromna książka: Kalendarz, który w kształcie coraz odnawianym przez ćwierć wieku w licznych egzemplarzach rozchodził się po kraju, nauczając i rady zdrowe podając narodowi, jakby w przeczuciu, że go przygotować potrzeba, oczyścić i zahartować na czas prób ciężkich, jakie nań czekały. I niemowlęciu w kolebce, onemu przyszłemu bohaterowi, książka ta w latach jego chłopięcych i młodzieńczych pożywnego dostarczać miała pokarmu.

Słońce musi świecić i promienie swe rozsiewać po wszechświecie; podobnie i duch szlachetny sobie postępuje. I on wylewać musi na świat otaczający strumienie miłości, a prawdę, której dopatrywał, pełen błogiego uczucia, krzewić i rozpowszechniać musi. Żadna trudność i zaporę w jakiegokolwiek jawiłaby się postaci, czyto jako więzienie, ogień lub krzyż, nie odstraszy go, aby nie poszedł za głosem wewnętrznym, za natchnieniem i porywem boskim.

W porannej godzinie dumiał samotnie w izbie młody mędrzec Franklin — miał bowiem pisać pierwszy swój kalendarz lat dwadzieścia pięć skończonych — pełniąc swe posłannictwo jako nauczyciel mądrości i cnoty. Zastanowienie się nad własnym ubiegłym życiem przedmiotu mu dostarczało. Co tam ujrzał dobrego, to zawdzięczał uległości, z jaką szedł za szlachetnym głosem, który nań wołał z głębi jego duszy i serca; co mu szkodę przyniosło i wewnętrznego nabawiło niepokoju, to było następstwem sprzeciwiania się lub lekceważenia tego głosu wewnętrznego. Kalendarz swój wydał Franklin pod zmyśloném nazwiskiem Ryszarda Saundersa, a pod tytułem: „Kalendarz ubogiego Ryszarda.“

Dla scharakteryzowania sposobu, w jakim Franklin pisał w swym kalendarzu, przytoczę tu ustęp z kalendarza z roku 1758, w którym autor zawsze jeszcze pod nazwiskiem Ryszarda Saundersa szereg prawd z życia praktycznego, rozrzuconych po dawniejszych kalendarzach rocznikach, wplótł był w powiastkę. Niejedna z tych prawd dziś stała się przysłowiem nieśmiertelném, tak zwa-

ném słowem lotném, bo ciągle, w różnych językach, w obiegu będącém.

Autor opowiada we wstępie artykułu, który ma napis: „Droga do bogactwa“ jak go to cieszyło, kiedy słyszał przytaczane przy sposobności zdania z „kalendarza ubógiego Ryszarda“; poczem w następujące odzywa się słowa:

„Osądźcie sami, ile mnie ucieszyć musiało zdarzenie, które wam teraz chcę opowiedzieć. Zatrzymałem konia swego w miejscu, gdzie licytacja towarów pewnego sklepu mnóstwo zgromadziła ludzi. Był to jeszcze przed rozpoczęciem licytacji; rozmawiano więc o złych czasach, a jeden z przybyłych odezwał się był do człowieka już w podeszłym wieku o białych kędziarach, z wejrzenia prostego, a czysto odzianego, w te słowa: „Ojcie Abrahamie, jakież wasze zdanie o czasach dzisiejszych? Czyż te ciężkie podatki nie zniszczą zupełnie kraju? Jakto podołać ich opłaceniu? Jaka wasza w tym względzie rada?“

Ojciec Abraham powstawszy odrzekł: „Chcecie mój rady, dam ją wam w krótkich słowach: bo mądrój głowie, dość na słowie, a wiele słów nie zapełnią korca, jak powiada ubogi Ryszard.“

Wszyscy objawili życzenie usłyszenia zdania starca, a kiedy ze wszech stron skupiano się około niego, on mówił, co następuje:

„Przyjaciele i sąsiedzi! Podatki są istotnie bardzo uciążliwe i gdyby się kończyły na tych, które rząd nam nakłada, tedy jeszcze dalibyśmy im radę; ale niestety mamy prócz nich wiele innych, które niejednego z nas bardziej jeszcze przygniatają. Lenistwo nasze nakłada na nas dwakroć, pycha nasza trzykroć, a głupota nasza czterokroć większe podatki; a co gorsza, w tych podatkach nawet żaden z deputowanych naszych nie może nam ulżyć, a tém mniej od nich uwolnić. Tymczasem słuchajmy mądrój rady, a może da się i dla nas coś zrobić; Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają, jak powiada ubogi Ryszard w swoim kalendrze. Rząd, któryby kazał narodowi, aby dziesiątą część czasu swego obracał na pracę dla niego bez wynagrodzenia, dopuszczałby się ucisku; a przecież próżniactwo niejednemu z nas nierównie więcej czasu zabiera, jeżeli obliczymy to wszystko, co z niego marnujemy bądź to wałęsając się, bądź nic nie czyniąc, bądź spędzając go na zatrudnieniach bezużytecznych, bądź wreszcie na lekkomyślnych zabawach. Lenistwo wiedzie za sobą chorobę i skraca życie nasze.

„Lenistwo podobne jest do rdzy i niszczy prędzej niż praca, kiedy klucz często używany zawsze świeci blaskiem, jak mówi Ryszard ubogi. Jeżeli kochasz życie, nie marnuj czasu, bo czas to materya, z której utkane jest życie, jak powiada Ryszard ubogi. Ileż to więcej nad potrzebę przesypiamy czasu nie pomnąc o tém, że lis śpiący nie złowi kury, i że w grobie dość się wypimy, jak mówi Ryszard ubogi. A jeżeli czas najdroższém i najcenniejszém ze wszech rzeczy jest dobrém, czyż marnowanie go nie będzie największém marnotrawstwem? Albowiem czasu straconego nikt jeszcze nie odzyskał, jak mówi przy innéj sposobności Ryszard ubogi, a to, co nazywamy dostatkiem czasu, zawsze się niedostatkiem okaże. Czuwajmy więc i róbmymy, a róbmymy coś pożytecznego; pilnością więcej zdziałamy i z mniejszą trudnością. Lenistwo wszystko utrudnia, pilność wszystko ułatwia; a kto późno wstaje, ten cały dzień uganiać musi, a może i w wieczór nie dojdzie do celu; lenistwo powoli podróżuje, toż ubóstwo prędko go dogoni, jakto czytamy w Ryszardzie ubogim, który jeszcze dodaje: Popędzaj twą sprawę, a nie daj się jój popędzać! —

▲ Idź spać wcześniej, pochwal Pana,
Potém co świt, wstawaj z rana;
Mądry będziesz, zdrów, bogaty,
Mienie spłynie ci do chaty.

Co pomoże życzenie i oczekiwanie lepszych czasów? Sami możemy czasy uczynić lepszymi, skoro się o to usilnie starać będziemy. Pilność nie potrzebuje sobie niczego życzyć, powiada Ryszard ubogi; a kto żyje nadzieją, z głodu umrze. — Nie masz geniuszu bez usilnej pracy; pomóż mi ręką, bo nie mam ziemi, a jeśli mam jój nieco, tedy bardzo opodatkowana. — Rzemiosło ma dno złote, a przemysł, to intratny i zaszczytny urząd. Ale i rzemiosła i przemysłu pilnować potrzeba; inaczej bowiem ani dno złote rzemiosła, ani zaszczytny urząd nie zapłaci za nas podatku. Pilnemu głód także do domu zagląda, ale mu wstępu wzbroniono; a sługa sądowy także nie wnidzie; bo pilność płaci długi, a opuszczenie rąk je pomnaża. Choćbyś nie wykopał skarbu, i stryj bogaty nie zostawił ci majątku: pilność jest matką szczęścia!

„Pilnemu pomaga Bóg;
 Zatem wcześniej przyrządź pług.
 A gdy leniuch na barłogu
 O swą biedę los obwinia,
 Przybędzie ci zboża w brogu,
 Napełni się spichrz i skrzynia.“

mówi Ryszard ubogi. Pracuj przez cały dzień dzisiejszy, bo nie wiesz, jaka jutro spotkać cię może przeszkoda. Jedno dzisiaj więcej warto niż dwa jutra. Masz co jutro do zrobienia, zrób dzisiaj. — Czyż nie wstydzilibyś się, gdybyś był sługą, jeżeliby pan dobry zeszedł cię na próżniactwie? Skoro zaś jesteś sam swym panem, tedy wstydz się zejść samego siebie na próżniactwie; jak powiada Ryszard ubogi. Ponieważ tak wiele masz do czynienia i dla siebie samego i dla rodziny, dla kraju twego i społeczności, tedy, skoro świt, krzataj się żwawo. Nie daj słońcu zaglądać i wołać: Patrzcie, oto gnuśniejsze próżniak! Narzędzie swe chwyta bez rękawiczki; pomnij, że kot w pończochach myszy nie złowi. Prawda, że wiele jest do roboty, a może nie masz rąk silnych; ale pracuj tylko wytrwale, a przybędzie ci sił i dzieło rość będzie, bo „kropla ustawicznie spadająca kamień wyżłabia; pilna i cierpliwa mysz linę okrętową przegryza, a pod słabymi nawet, ale ciągłymi razami i najsilniejszy dąb pada, jak mówi Ryszard ubogi w swym kalendarzu, nie pomnę w tej chwili, w którym roczniku.

Ale jakbym już słyszał was mówiących: Jakto, czyż człowiekowi ani na chwilę nie godzi się myśleć o odpoczynku? Otóż powiem wam przyjaciele, co na to mówi ubogi Ryszard: „Używaj dobrze swego czasu, jeśli chcesz odpoczywać; a ponieważ nie jesteś pewnym ani jednej minuty, przeto nie trać ani godziny. Odpoczynek to czas, w którym robić można coś pożytecznego; odpoczynku dostąpi pilny, ale leniwiec nigdy; toż powiada Ryszard ubogi, że życie, któremu starczy czasu na wypoczynek, a życie na lenistwie upływające, to rzeczy całkiem od siebie różne. Czy sądzisz, że lenistwo przyjemniejsze niż praca sprawi ci życie? O nie; bo próżnowanie rodzi kłopoty, a niepotrzebne wypoczywanie ciężkie troski. Pilność daje byt dobry, zasoby i poszanowanie; pilna prądka ma szeroką koszulę. Wszystko to dobrze zauważył ubogi Ryszard. — Pilnuj

swego kramu, a żywić cię będzie. — Chcesz załatwić sprawę, sam pójdź za nią; jeśli tego nie chcesz, poszlij kogo.

Ziemia temu dobrze rodzi,
Kto za pługiem sam pochodzi.

Oko pańskie więcéj sprawia, niż jego obie ręce. — Brak dbałości więcéj nam szkodzi, niż brak wiadomości; gdy nie doglądasz robotników, zawsze sięgać będziesz do worka. Spuszczanie się na dbałość drugich niejednemu stało się zgubą, bo w sprawach życia codziennego nie stoimy zaufaniem, lecz jego brakiem; a kto sam dba o siebie, ten korzyść odnosi; albowiem uczeń pilny może być pewien nauki, a dbały gospodarz dostatku tém samém prawem, co śmiały władzy, a cnotliwy nieba. A nadto: Chcesz mieć wiernego i miłego sługę, usługuj sam sobie. — Dbaj o rzeczy najdrobniejsze. Dla braku gwoźdźcia zgubiła się podkowa; dla braku podkowy koń okulał, następnie i jeździec zginął, bo go dogonił nieprzyjaciół i zabił; a to temu przyczyną, że sobie gwoźdź lekceważył.

Tyle co do pilności i dbałości w każdej sprawie i zatrudnieniu, moi przyjaciele. Ale na tém nie koniec; potrzeba jeszcze pomірności, jeżeli pilności swéj chcemy zabezpieczyć pewniejsze skutki. Kto nie umie równie dobrze oszczędzać jak zarabiać, może całe życie harować, a mimoto w końcu ani grosza nie zostawi. Tłusta kuchnia czyni chudy testament, powiada Ryszard ubogi. A i to także prawda:

Odkąd gospodynie, podług nowéj mody,
Rade przy herbacie czas pędzą w gościnie,
Odkąd gospodarze spieszą do gospody
Pracy zaniedbawszy, ucztują przy winie;
Odtąd i majątki maleją lub giną,
A zbytek, rozrzutność jest temu przyczyną.

Chcesz być bogatym, myśl tak dobrze o oszczędności, jak o zarobku. Indye nie uczyniły Hiszpanów bogatymi, bo wydatki ich przewyższały dochody.

Precz więc z waszemi kosztownemi niedorzecznościami, a nie będziecie mieli tyle powodów do narzekania na ciężkie czasy i na wielkie podatki. Ryszard ubogi powiada:

Gdzie wino, gra i rozpusta,
Potrzeb wiele, kieszeń pusta.

A następnie mówi: „Z tego, co wydajemy na występpek, mcznaby wychować dwoje dzieci.“ Myślicie może, że trochę herbaty, kiedyniekiedy trochę ponczu, czasem nieco lepszy obiad, nieco piękniejsze suknie, i kiedyniekiedy mała zabawa wcale nie wiele znaczą; ale pomnijcie: Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka! — Strzeż się drobnych wydatków; mała szczelina zatopić może wielki okręt. — Kto za młodu biesiaduje, na starość o żebraczym włóczy się kiju. — Głupcy ucztę sprawiają, a roztropni zjadają.“

Zebraliście się tu na licytacją różnych rupieci, blichtrzem czy mamiących. Nazywacie je pożytecznemi; ale jeśli się nie spostrzeżecie, niejedna rzecz z onych pożytecznych niejednemu wyjdzie na szkodę. Spodziewacie się, że nabędziecie je tanio; być może, że sprzedadzą je poniżej ceny; a przecież i to jeszcze zbyt drogo, jeśli ich nie potrzebujecie. Przypomnijcie sobie, co mówi Ryszard ubogi: „Kupuj, czego nie potrzebujesz, a w krótkce będziesz musiał sprzedawać to, czego ci niezbędnie potrzeba.“ A innym razem powiada: „Chociażby tylko grosz wydać przyszło, pierwój i nad tém dobrze się zastanów! Może chce przez to powiedzieć, że taniość jest tylko pozorną, lub że kupno, stanowiąc ci tamę w tych sprawach, raczój uszczerbek niż pożytek przyniesie. Bo gdzieindziej powiada: „Wielu tanie kupno zrujnowało.“ Mówi on także: „Głupca to rzecz, kupować żal za własne pieniądze“ a przecież głupstwo to popełniają codziennie na licytacjach, niepomni rad kalendarza. Mądry uczy się z cudzej szkody roztropności, głupiec i z własnej niczego się nie nauczy; ale szczęśliwy ten, którego cudza szkoda uczy rozumu. Niejeden z próżnym żołądkiem spać się kładzie i swych najbliższych na dokuczliwy głód wskazuje, byle tylko mógł wdziać suknię wykwinniejszą. „Jedwabie i atłasy, szkarłaty i aksamity gaszą ogień na kuchni,“ mówi ubogi Ryszard. Nie są to potrzeby życia, zaledwie na nazwę wygod zasługują, a mimo to iluż to wzdycha i zapalczywie za nimi się ubija, i to tylko dla tego, że pięknie wyglądają! Tym sposobem sztuczne człowieka potrzeby liczbą naturalne przechodzą. Zamiast jednego ubogiego przybywa setka potrzebujących. Przez takie i im podobne potrzeby bogaci popadają w ubóstwo i muszą pożyczać od tych, którymi przedtém pogardzali; a ci pracą, pilnością i pomiernością utrzymali się na swém stanowisku. Ale też

„chłop na swych nogach większym jest, niż szlachcic na kolanach,“ jak mówi Ryszard ubogi. Jakitaki odziedziczył może mająteczek, i sądzi, że nigdy mu końca nie będzie; myśli więc sobie: wszak to dzień, a noc nigdy nie nastąpi; nie więc nie szkodzi, jeżeli z wielkiej całości nieco się przepuści. „Dzieci i głupcy myślą, że dwadzieścia szylingów i dwadzieścia lat nigdy nie mają końca; ale kto zawsze bierze mąkę z worka, a nigdy nie dosypuje, wnet się dna domaca.“ Ale Ryszard ubogi mówi: „Gdy studnia wyschnie, poznamy wartość wody. Chcesz poznać wartość pieniędzy, pójdź i spróbuj pożyczyć; pożyczanie, boskie skarcanie; a kłopotu się nabawia, kto tego rodzaju ludziom pożycza, kiedy mu przyjdzie odbierać pożyczkę.“ Ryszard ubogi daje następnie taką dobrą radę:

Istna kara boża, te w strojach zbytki!
Nim kupisz szmatę, poradź się krédki.

A innym razem woła: Pycha jest równie natrętnym żebrakiem jak niedostatek, ale daleko bezwstydniejszym. Jeśliś kupił strój jaki, tedy jeszcze dziesięć innych rzeczy kupić ci przyjdzie, aby wszystko razem do siebie przystawało; tymczasem powiada Ryszard ubogi: Łatwiej pokonać pierwszą zachciankę, aniżeli zaspokoić wszystkie następne. A głupota ubogiego, który chce małpować bogacza, nie mniejsza od głupoty żaby, która nadymając się, aby wyrównać wołowi, w końcu pęka.

Statek na morzu doświadcza biegu,
A łódź rybacka trzyma się brzegu.

Głupotę tego rodzaju wkrótce spotyka kara; albowiem „jeżeli pycha z próżnością do obiadu zasiędzie, tedy ze wzgardą wieczerzać będzie“, powiada ubogi Ryszard. Na inném też miejscu mówi: „Pycha śniadała ze zbytkiem, obiadowała z ubóstwem, a wieczerzała ze wstydem“. A wreszcie cóż znaczy owa pycha, ów przepych i wystawność, za którymi tak się uganiamy i dla których tyle cierpimy? Wszak ani zdrowia nam nie dadzą, ani bólesci nie ulżą; nie dodają wartości osobie, ale za to obudzają zazdrość i zawiść, a przyspieszają nieszczęście.

„Motyl, to gąsiennica przyozdobiona;
Obrazem jój wiernym lalka wystrojona“

mówi Ryszard ubogi. A jakiegożto szaleństwa potrzeba, aby dla takich rzeczy zbędnych brnąć w długi po uszy! Warunki téj licytacji bardzo ponętne; zwłaszcza kredyt półroczny dla kupujących może niejednego z nas tu sprowadził; gotówką możebyśmy nie zapłacili, bo na co innego potrzebna, a tu bez pieniędzy ustroić się można. Ale pomnijcie, co czynicie, jeżeli brniecie w długi! Wolność własną oddajecie w moc drugiego! Jeżeli na termin zapłacić nie zdołacie, wstydzić się będziecie spotkania z wierzycielem; rozmowa z nim nabawi was trwogę; nędznymi i podłymi wykrętami będziecie się uniewinniali, zwolna pozbędziecie się rzetelności, w końcu do najpodlejszego kłamstwa się uciekając, powiada Ryszard ubogi: „Wtórym występkiem jest kłamstwo, pierwszym długów zaciąganie“. Przy podobnej sposobności woła: „Kłamstwo jedzie na grzbiecie długu“; ale człowiek wolny bez zarumienienia się i trwogi powinien śmiało patrzeć w oczy każdego. Tymczasem ubóstwo pozbawia niejednego wszelkiej odwagi i wszelkiej cnoty. Cobyście myśleli o panującym lub o rządzie, którzyby wydali rozporządzenie, zabraniające pod karą więzienia lub niewoli, abyście nie ubierali się podług stanu swego? Czyżbyście nie powiedzieli, że wolni jesteście i macie prawo ubierać się, jak wam się podoba; zatem, że to rząd tyrański? A przecież sami zamierzacie poddać się takiéj tyranii, skoro dla strojów zaciągacie długi! Wszak wierzyciel wasz nabywa prawa pozbawienia was wolności, kiedy mu się podoba. Skoro kupicie, czego wam niby potrzeba, może niewiele troszczyć się będziecie o zapłatę; ale wierzyciel lepszą ma pamięć od dłużnika“, mówi Ryszard ubogi, a na inném miejscu dodaje: „Wierzyciele, to sekta zabobonna; wierzą oni i zachowują ściśle pewnie dni i czasy“. Nadejdzie dzień, nim się spostrzeżecie, a żądanie zapłaty, nim uiścić ją zdołacie. Albo, jeżeli pomyślicie o długu zaciągniętym, tedy termin, który wydawał się wam tak dalekim, ubiegając, bardzo krótkim wam się okaże. Wyda się wam, jakoby czas miał skrzydła u pęt i na plecach. „Ci co na wielkanoc mają dług zapłacić, krótki mają post“, mówi ubogi Ryszard. A ponieważ dłużnik jest niewolnikiem wierzyciela, przeto unikajcie tych więzów, strzeżcie swęj wolności i niezależność zachowajcie; bądźcie pilni i wolni, oszczędni i wolni! W téj chwili, może mniemacie, że się wam dobrze dzieje, a zatem że małego wydatku bez szkody pozwolić sobie możecie, ale:

„Poranne słońce nie świeci w nocy,
Myśl o starości i o niemocy.“

jak mówi ubogi Ryszard.

Zysk może być niepewnym i przemijającym, ale wydatki, dopóki żyjesz, pewne są i stałe. Łatwiej wybudować dwa piece, niż jeden ogrzać. Dlatego też lepiej „bez wieczerzy spać, niż z długami wstać.“

„Zarabiaj, co możesz, myśl o oszczędności;
Oto najprawdziwszy jest kamień mądrości.
Najdroższy to kamień ze wszystkich kamieni,
Bo nawet i ołów w złoto ci zamieni.“

jak mówi Ryszard ubogi. A gdy posiedziecie ten kamień mądrości, tedy niezawodnie nie będziecie więcej użalali się na złe czasy i ciężkie podatki.

Oto, przyjaciele „nauka, jaką dają rozum i mądrość; ale nie spuszczaście się zbyt na swoją pilność, pomierność i roztropność, chociaż to przymioty wyborne; gdyż bez błogosławieństwa niebios i zawieść mogą. Dlatego proście pokornie o to błogosławieństwo i nie bądźcie nieżyczliwymi dla tych, którym go obecnie zdaje się brakować, lecz owszem nieście im pocieszenie i pomoc. Pomnijcie, że Job dotkliwie cierpiał, a przecież potem był szczęśliwy.

A na zakończenie i o tém pamiętajcie: „Doświadczenie, to nauka, którą drogo opłacać potrzeba; a głupcy chcą tylko we własnej uczyć się szkole, a i w niej mało czego się uczą, bo to także prawda: Możemy wprowadzić radę, ale tego, aby jej słuchano, dać nie możemy,“ jak mówi ubogi Ryszard. Pamiętajcie więc: „Komu nie można radzić, temu i pomódz niepodobna — a kto słuchać nie chce, ten niezawodnie cierpieć będzie.“

Temi słowy starzec zakończył swą mowę.

Ludzie go słuchali i przyklaskiwali mądrej nauce; ale zaraz, jakby to zwykłe było kazanie, wręcz przeciwnie sobie poczynali; właśnie bowiem zaczęła się licytacja i wszyscy mimo upomnień i obawy długów, kupowali co się nadarzyło. Pocziwy starzec znał, jak się spostrzegłem, gruntownie mój kalendarz i doskonale się przejął nauką w nim zawartą. Częste wspomnienie mojego nazwiska byłoby znużyło każdego innego; tymczasem schlebiało to bardzo mojej próżności, chociaż wiedziałem, że ani dziesiąta część onej

mądrości, którą mnie przypisywał, nie moją była własnością, lecz pokłosiem, które zebrałem na polu zdrowego rozumu wszystkich wieków i narodów. Postanowiłem więc sam skorzystać z powtórzenia onych rad mądrych, a chociaż z razu miałem ochotę kupić sukna na nową szatę, przecież opuściłem miejsce licytacji, aby nie rozstawać się jeszcze z moją starą kapotą. Zaczny czytelniku, jeśli podobnie sobie postąpisz, tedy taką samą, jak ja, będziesz miał korzyść.“

Co się tyczy onój „dziesiątej części“ mądrości, Franklin znacznie mniejszą, aniżeli mu się należała, przypisywał sobie zasługę. Największa część tych zdań zdrowych w jego powstała duchu, zarody ich w jego tkwiły życiu. Niejeden klejnot mądrości ludowej mógł być usłyszeć z ust ludu, lub znaleźć w książkach; ale temu, co usłyszał lub wyczytał umiał nadać nowe, właściwe piętno; a i w tém nie mała już także zasługa, że miał i słuch i wzrok pojętny i przenikliwy, a wrażliwy na to, co było zbawiennem dla ludu, że je z ukrycia wydobywał na jaśń życia i zawsze właściwy wynalazł środek, aby je uczynić własnością powszechną. Ustęp powyższy „Droga do bogactwa“ rozpowszechnił się nietylko za pomocą kalendarza, lecz i w licznych osobnych odbitkach. Drukowano go na wielkich arkuszach i w ramy za szkło oprawiano; niejedną więc ozdobił ścianę. Już pierwszy rocznik kalendarza wielkie sprawił wrażenie. Takim środkiem nikt jeszcze po owe czasy nie starał się o gospodarcze i moralne dobro ludu. Z roku na rok coraz większy popyt był za kalendarzem; liczba sprzedanych egzemplarzy doszła nareszcie 10,000; wypadek na one czasy w Ameryce niesłychany! A iluż to następców, a raczój naśladowców, miał Franklin na tej nowo utorowanej drodze! Rozpowszechnianie nauk pożytecznych za pomocą kalendarza uznano wszędzie za nowy, stosowny środek, to też z większym lub mniejszym powodzeniem wszędzie go próbowano. Ilość egzemplarzy kalendarzy ludowych, jakie od czasów Franklina rozpowszechniły się po Europie, niezawodnie na miliony da się obliczyć, a i naśladowcy jego wiele pożytecznych ogółowi podali nauk i wiadomości. Ale w sposobie pisania, Franklinowi właściwym, szukać zawsze należy najwłaściwszego i najlepszego środka skuteczności. „W kalendarzu“ — powiada Mignet, jeden z wielbicieli Franklina — Franklin z jasnością zadziwiającą podawał wszelkie do poprawienia rolnictwa, chowu bydła, przemysłu i zdrowia ludzkiego stosowne środki; w nim zalecał on w kształcie mądrości lu-

dowej prawidła najwłaściwsze do sprowadzenia szczęścia za pomocą rozumnego życia. „Mądrość Ryszarda ubogiego“ to lekcyje pracy, baczności, oszczędności, roztropności, pomierności i uczciwości. Udziela on rodakom swym rad w najprostszych zdaniach rozumu, a w słowach najwłaściwiej dobranych. Moralność przezeń głoszona łączy się tam z korzyścią człowieka; prawda, jak ją pojmuje rozum gospodarski, wyrażona tu w zwrotach najtrafniejszych.“ — „We wszystkich wywodach chodzi mu o przeprowadzenie dowodu, że dla tych, którzy szczęśliwymi być pragną, wiele na tém zależeć powinno, aby byli cnotliwymi. W zdaniu tém coraz więcej ich utwierdza, a w latach późniejszych zwykł był Franklin miawiać, że moralność jest jedyną rozumną spekulacją tak ze względu na dobro jednostek, jakotéż jedyną rękojmią dobra państwa. Nawet urwisze, dodawał on, staliby się ludźmi uczciwymi, gdyby znali korzyści cnoty.“

A i rozpowszechnianie kalendarza odbywało się sposobem bardzo praktycznym. Dotychczas marnowano gałgany. Otóż Franklin polecił swoim rozwozicielom kalendarza, aby go wymieniali za gałgany, które szły do jego papierni. Byłto sposób tak dla sprzedającego jak nabywcy korzystny, a nabywanie kalendarza także bardzo ułatwiało.

Nieraz to widzi się w świecie, że w ludziach, którym się coraz lepiej powodzi, zastyga zmysł czynienia dobrze, że upodobanie w dobrach materyalnych coraz więcej zapełnia ich duszę. Franklin i w tym punkcie w inném okazuje się świetle. W równym stopniu jak mu przybywało majątku, rosła w nim i chęć do czynienia drugim dobrego, przyczynianie się do pospolitego dobra, niesienia i swój cząsteczki, aby jaśniej i cieplej było na świecie. Ale wśród tych usiłowań nigdy nie zapominał o tém, że do osiągnięcia skutków z życzeniami zgodnych, potrzeba mu było przedewszystkiém ustawicznej około doskonalenia samego siebie pracy. Literatura była mu główném nauki i udoskonalenia źródłem. Wielu bardzo czyta i dużo nawet czyta; ależ w jakim celu? Oto dla zabicia czasu; a dobrze jeszcze, jeżeli nie inne pobudki wiodą ich do zajmowania się szumowinami piśmienniczymi! Ileżto np. czasu i grosza marnuje się u nas na czytanie takich szumowin, owych, że tak powiem, powieścisk francuskich, fabrycznie na nasz język przekładanych, utworów wyuzdanéj i spodlonéj wyobraźni, treści z naszymi stosunkami nic wspólnego nie mającój, zakażającój proste i uczciwe

uczucie zwłaszcza warstw niższych, bo i do nich zakradła się ta zaraza; a przytém utworów o skażonym także języku naszym przez niedouczonech lub bezmyślnych tłumaczy-rzemieślników! Franklin tylko z czystych czerpał źródła; doskonalenie się umysłowe i moralne było jedynym celem czytania książek. Niektóre skarby piśmiennictwa obcego dostępne mu były w tłumaczeniach; inne zupełnie były mu nieprzystępne. To obudziło w nim chęć nauczania się obcych języków, aby mógł czytać arcydzieła w oryginale. A co w duszy Franklinowej zrodziło się jako chęć, to wnet w życie się zamieniało, zwłaszcza że nigdy nie miał zachceń niepodobnych. „W r. 1733 (w 27mym życia) — powiada Franklin — zacząłem się uczyć języków. Niezadługo postąpiłem we francuskim do tego stopnia, że mogłem bez trudności czytać książki. Późem zabrałem się do włoskiego. Jeden z moich znajomych, który także uczył się tego języka, często wzywał mnie do gry w szachy. Ale kiedy spostrzegłem, że mi to wiele zabiera czasu, który na uczenie się języków przeznaczyłem, więc oświadczyłem mu, że nadal grywać będę tylko pod tym warunkiem, że kto wygra partya, będzie miał prawo zadawania pobitemu bądźto reguł gramatycznych do nauczania się na pamięć, bądź tłumaczeń i t. p., a ten zobowiąże się pod słowem honoru, że na najbliższy raz przyjdzie z gotową lekcją. A ponieważ obaj mniéj więcej równośmy grali, przeto i zarówno przypadały na nas lekcye włoskie. Później nauczyłem się tyle po hiszpańsku, że mogłem czytać w tym języku. Wspominałem już dawniej, że tylko rok byłem w szkole łacińskiej i to będąc jeszcze bardzo młodym. Później wcale zaniechałem języka łacińskiego. Ale kiedy się nauczyłem francuskiego, włoskiego i hiszpańskiego, niemało się zdziwiłem, iż, gdy mi raz wpadł do ręki łaciński nowy testament, więcej, niżeli mogłem myśleć, rozumiałem.“ To dodało mi ochoty do zajęcia się znów językiem łacińskim; jakoż szybko w nim postępowałem, gdyż znajomość tamtych języków bardzo mi ułatwiała naukę.

VI. Na urzędach publicznych.

Posłowie prowincyi Pensylwańskiej tworzyli ciało, zwane „wałném zgromadzeniem“ czyli „wałnymi stanami.“ Już od czasu, kiedy pierwsze pieniądze papierowe drukował Franklin, miał, jak

wiemy, przyjaciół i życzliwych w tém zgromadzeniu. Kalendarz dla ludu, już w trzech rocznikach wydany, prócz dawnych zjednał mu nowych przyjaciół, a co więcéj, nie brakło ludzi rozumnych, którzy już teraz należycie oceniali jego znaczenie. W tym właśnie czasie urząd sekretarza był do obsadzenia, więc wspomniano o Franklinie, zalecono go i wybrano. Przed wyborem następnym jeden z członków zgromadzenia usiłował pozyskać towarzyszków dla innego kandydata, a oraz nie zaniechał działać przeciw Franklinowi. Mimoto wybrano go powtórnie, co tak dotknęło jego przeciwnika, że stał się otwartym jego nieprzyjacielem. Tymczasem Franklin dowiedział się był, że ów przeciwnik jego, wielki miłośnik książek, posiadał dzieło bardzo rzadkie, do którego posiadania wielką przywiązywał wagę. Napisał więc grzecznie do niego, prosząc o pożyczenie na krótki czas onéj rzadkiéj książki, w niczém nie dawszy do poznania, że cokolwiek wie o jego dla siebie nieżyyczliwości. Dotychczasowy przeciwnik nie tylko najchętniej przysłał mu książkę; lecz na najbliższém posiedzeniu przywitał go przyjaźnie, podał rękę i oświadczył uprzejmie gotowość służenia mu wszelkim sposobem. Tak więc ustała niechęć przeciwnika. Opowiadając ten szczegół, Franklin dodaje uwagę, iż oczywisty w tém dowód, że daleko korzystniej roztropnością uchylać nieprzyjaźń, niż wet za wet odpłacając ją podsycać. Postąpił więc sobie rozsądnie, w niczém nie uwłaczając własnéj godności.

W tym czasie dostawały mu się wszelkie druki dla zgromadzenia, a nadto mianowano go dyrektorem poczty w Filadelfii. Urząd ten sprawował dotychczas właściciel drukarni Bradford, a na stanowisku tém czynił co mógł, aby przeszkodzić rozpowszechnianiu gazety, przez Franklina wydawanéj. Franklin zająwszy to samo stanowisko, ani pomyślał o odwecie.

Czego podług podania starożytnego dotknął się król Midas, to w złoto się zamieniało. Zastosowawszy podanie to do Franklina, rzec można, że wszystko, co wpadło w zakres jego działania, polepszało się, a każdy swój pomysł umiał zamienić w życie. Miasto miało straż nocną, ale instrukcyja dla niéj wydana, a w następstwie i pełnienie obowiązków było niedostateczne. Franklin przeprowadził do skutku urządzenie straży pożarnéj, jakiej po ów czas nie miano w Ameryce, zwłaszcza tak stosownie zorganizowanéj. On także założył stowarzyszenie zabezpieczenia od ognia, które po dziś dzień ostało się w Filadelfii. Granice prowincyi narażone były na napady

Indyan; zapobiedz złemu mogła tylko straż obywatelska, rodzaj pospolitego ruszenia. Franklin wyłożył tę sprawę współobywatelom i wypracował plan stowarzyszenia ochotników dla obrony kraju. Plan ten podpisało w Filadelfii 1.200, na prowincyi 10,000 osób, i w krótcie stanął korpus ochotników do obrony granic. Zaledwie który z pomysłów wszedł w życie i okazawszy się pożytecznym, miał być zabezpieczony, Franklin występował z nowym. Założył akademią czyli zakład mający na celu wychowanie młodzieży pensylwańskiej. Już pierwsza na ten cel składka przyniosła 5.000 funtów szterlingów. Wybrano komitet szkolny, a ten przewodnictwo Franklinowi porucił. Stanowisko to Franklin aż do podeszłego wieku zajmował, gorliwie zajmując się dobrém zakładu. Drugie miasta, chcące zakładać szkoły, do Franklina o radę się udawały. — Drogi w Filadelfii były w złym stanie, wieczorem i w nocy nie do przebycia; po ulewach i w czasach słotnych, zwłaszcza, że miasto nie było oświetlone, jazda a nawet przeprawa piesza z niebezpieczeństwem życia była połączenia. Franklin nie spoczął, dopóki miasta nie zaopatrzono w bruk i latarnie. — Dla chorych i starców Franklin miał tkliwe serce; przeprowadził więc do skutku założenie domu przytułku i szpitalu. Jak żywo brał wszystko do serca, świadczy o tém zdarzenie następujące. Pewien duchowny z obcych stron przybyły, nazwiskiem Whitfield, przemawiał na zebraniach w Filadelfii, zachęcając do składek na założenie domu sierot w Georgii. Franklina zajęła zaraz ta sprawa, ale uczynił oraz Whitfieldowi uwagę, że gdyby się skłonił do założenia domu tego w Filadelfii, dałaby się rzecz przeprowadzić do skutku kosztem znacznie mniejszym. Na poparcie zdania swego przytaczał między innemi tę okoliczność, że w Georgii brak budulcu, a przewóz materyału z Filadelfii pochłonie znaczne sumy. Wszyscy, ze stosunkami dobrze obeznani, zgadzali się ze zdaniem Franklina; ale Whitfield stał uporczywie przy swoim. Franklin więc postanowił wcale się nie przyczyniać do składki. Urząd duchowny miasta nie pozwolił był Whitfieldowi przemawiać w kościołach, więc ten pod gołym niebem na placach publicznych przemawiał do ludu. „Zdarzyło się raz — opowiada Franklin — żem słuchał jego mowy, która, jak zaraz spostrzegłem, skończyć się miała składką. Postanowiłem sobie w duszy nie dać ani grosza na cel przezeń zalecany; a miałem w kieszeni garść miedziaków, trzy czy cztery dolary w srebrze i kilka sztuk złota. Mowa Whitfielda sprawiła na mnie wrażenie, miękło mi

serce; postanowiłem dać mu miedziaki. Ale dalszy ciąg mowy porwał mnie więcej i zawstydził moje miedziane postanowienie; postanowiłem zatem dać mu i srebro. Tymczasem w końcu wymowa kaznodzieji wzniosła się do takiej potęgi, że wypróżnił wszystkie kieszenie, i miedź, srebro i złoto na talerz wysypałem.“ Rysto piękny w charakterze Franklina, świadczący wymownie o prawdziwej szlachetności jego duszy, o tym prawdziwie ludzkim jęj nastroju, w którym wywoływała dźwięczny odgłos każda w imię miłości uczyniona odezwa. Wtenczas usuwał się w głąb ten na pozór zimny, obrachowujący Amerykanin, a występował na widownią człowiek w najpiękniejszym znaczeniu słowa, mąż dla dobra powszechnego wylany.

Widzieliśmy właśnie, w jak różnorodnych kierunkach czynnym był Franklin; ale zaprawdę zdumieć się przyjdzie czytelnikowi, jeśli mu powiemy, że człowiek, który tak doskonale zarządzał swemi sprawami prywatnemi i to dość rozległemi, bo prócz zarządu drukarni i papierni, redagował dziennik i wydawał kalendarz — ten, który urząd swój pocztmistrzowski sprawował wzorowo, ten, który wywołał do bytu tyle, powyżej wymienionych instytucyi, a prócz nich i inne jeszcze potworzył stowarzyszenia, i prawie wszystkiemi jako przewodniczący kierował, ten, który ciągle się uczył i doskonalił w obcych językach i pełen zajęć i trudu urząd sekretarza wolnych stanów piastował — że ten sam człowiek umiał znaleźć jeszcze czas na zajmowanie się badaniami naukowemi. Franklin zajmował się między innemi badaniem istoty elektryczności. Trzeba by osobną napisać rozprawę, gdybyśmy chcieli skreślić cały tok jego myśli i spostrzeżeń nad tym przedmiotem. Ale nie w tym krótkim jego żywocie miejsce na to. Poprzestaniemy więc na wymienieniu wypadku badań jego, a tym był pomysł tak zwanego konduktora i w praktyce zastosowanie. Owe i na naszych kościołach składach i innych większych publicznych budynkach sterczące, na końcu połączone sztaby żelazne, grom ściągające, są wynalazkiem Franklina. W piśmie osobném Franklin wyłożył, że chmura piorunna ma się tak do części powierzchni ziemi pod nią się znajdującej, jak oba pokrycia znaniej już wówczas flaszki lejdejskiej. Z tego punktu wyszedłszy rozwijał następnie, że elektryczność chmury da się za pomocą konduktora sprowadzić bez niebezpieczeństwa w ziemię; dlatego też radził, aby wysokie budynki, okręty i t. p. zabezpieczano od piorunu za pomocą przyrządu, który dokładnie opisał.

Pismo to wzbudziło w świecie uczonym u niektórych niedowierzanie, u niektórych, zwłaszcza w królewskim towarzystwie umiejętności w Londynie, nawet śmiech wywołało. Cóż mądrego i przydatnego dla umiejętności przyjąć może z lasów pensylwańskich? myśleli sobie uczeni stolicy Wielkiej Brytanii. Toż złożono, jakto mówią, *ad acta* gruntowną pracę Amerykanina, zwłaszcza że to była praca drukarza, a nie profesora lub kogoś należącego do cechu uczonych. Ale niebawem okazały się tłómaczenia téj pracy we Francyi, Niemczech i we Włoszech, a bezstronne jéj ocenienia zwróciły na nią uwagę powszechną i publicznie poważne w jéj obronie odezwały się głosy. Wreszcie prawda wzięła górę; a kiedy znakomity badacz przyrody, prawie pierwsza w onym czasie powaga naukowa, Francuz Buffon oświadczył się za Franklinem, zamilkły przeciwne Franklinowi głosy. Wówczas i uczeni królewscy w Londynie zrzucili pychę ze serca, zebrali się raz jeszcze na posiedzenie i radzi nie radzi naprawili swój błąd poprzedni, w zbytecznej zarozumiałości ze swéj uczoności popełniony. Królewskie towarzystwo umiejętności zamianowało wynalazcę konduktora członkiem swym honorowym i w nagrodę złoty przyznało mu medal.

Że tym zaszczytem, który spłynął na Franklina, czuli się uczczeni i jego ziomkowie, łatwo się można domyśleć. A i oni byli już oddali hołd zasłużonemu w różnych kierunkach mężowi, wybrawszy go członkiem rady miasta i walnego zgromadzenia stanów. Prócz tego rząd krajowy mianował go sędzią pokoju i jenerałnym dyrektorem poczt wszystkich kolonii. Toż współobywatele wcale się nie dziwili, usłyszawszy, że Franklin znów czémś się sławił, n. p., że na czele pięciuset ochotników obrony krajowej, wśród zimy odparł Indian od granicy północno-zachodniej, a granicę samę nowo-założonemi warowniami ubezpieczył, że znacznie poprawił szklaną harmonikę, że urządził nowy rodzaj praktycznego pieca, a przewileju na ten wynalazek nie przyjął oświadczać, że obowiązkiem każdego oddawać bezpłatnie wynalazki na użytek powszechny, gdyż nikogo nie masz, ktoby nie korzystał z wynalazków, które drudzy poczynili. Ten wszystko umie! powiadali ziomkowie; on nam i ludziom w ogóle uczyni jeszcze wiele dobrego!

VII. Pośrednictwo w Londynie.

Mieszkańców tak Pensylwanii jak i reszty dwunastu kolonii angielskich w Ameryce czekały dni bardzo ciężkiej próby. Anglia była ich macierzą, od której zależały; ale od samego swego początku kolonie używały pewnych praw i swobód. Tymczasem ówczesny rząd króla Jerzego III. nagle jakby zapomniał o tym ich do kraju macierzystego stosunku i począł krzywdzić kolonie na ich prawach i swobodach.

Nałożono trzynastu koloniom samowolnie podatki, kiedy według prawa godziło się wybierać tylko podatki, przyzwolone przez deputowanych kraju. Toż najprawniejszych ludzi w kraju przeraziły i oburzyły kroki rządu londyńskiego, odezwali się więc upominając. Ale rząd angielski zaślepiony nie pojmował swęj prawdziwéj korzyści, której źródłem były dobre z koloniami stosunki, a nie drażnienie mieszkańców Ameryki i obudzanie w nich, za pomocą nieprawnych i tyrańskich zarządzeń, chęci do oderwania się od kraju macierzystego. Handel angielski miał w koloniach, liczących około półtrzecia miliona mieszkańców, targowisko bardzo intratne, na którym w owych czasach pozbywał rocznie towarów za sześć milionów. Wszystko to teraz na kartę postawiono. Ale jedna niesprawiedliwość rodzi zazwyczaj drugą. Jeżeli Amerykanie zamyślają opierać się naszym rozporządzeniom — powiadali władcy angielscy — tedy nauczają ich posłuszeństwa pułki nasze, które tam poszliśmy, a wówczas dwa lub trzy razy więcej zapłacą!

Nie tu miejsce kreślić krok za krokiem przebieg sporu między Anglią a koloniami; nadarzy się do tego sposobność w żywocie Jerzego Wasyngtona, który następnie podajemy czytelnikom. Tu tylko wspomniemy, że spór wszczął się na dobre, coraz bardziej się rozszerzając, i że właśnie dla zażegnania go Franklin w imieniu swych współobywateli udał się w r. 1764 do Londynu. Już rok przedtém był on tam w innéj sprawie. Wówczas w Ameryce nikt jeszcze nie przeczuwał, żeby rząd królewski tuż potem, wbrew zasadom uczciwości i roztropności, zamierzał koloniom dać uczuć jarzmo tyraństwa. Ale poszczególni mężowie uczciwsi już wtenczas wiedzieli, jaki wiatr wieje w kołach rządowych. Lord Kramden rzekł był do Franklina: „Wiem, że wy Amerykanie mimo waszego, tak często sławionego do Anglii przywiązania, zerwiecie kiedyś węzły, które was z nią łączą, a wywiesicie chorągiew niepodległości.“ Na co odrzekł Franklin, że

ziomkowie jego wcale nie myślą o zerwaniu z Anglią celem utworzenia państwa udzielnego. Po chwili zaś dodał: „Chyba, że niegodziwie będziecie się z nami obchodzili!“ Lord rzekł na to poważnie: „Prawda; ale to właśnie jedna z przyczyn, które, jak przewiduję, ostatecznie do tego doprowadzą.“

Obecnie Franklin przybył do Londynu dla uczynienia wszystkiego, co tylko mógł, aby rząd i izbę niższą, którą w téj sprawie rząd pociągnął za sobą, powstrzymać od nieprawnych względem kolonii kroków. „Nie chcemy rozłączać się z wami; ale nie zniesiemy niegodziwego obchodzenia!“ — Słowa, któremi odpowiedział był przed rokiem Franklin Lordowi Kramdenowi, wyrażały zupełnie zdanie ludności kolonionalnej. Reprezentanci ze wszystkich kolonii zgromadzali się na naradę; był między nimi i Wasyngton. Zapatrywał on się na sprawę, o którą właśnie się rozchodziło zupełnie tak, jak Franklin, czego dowodzi list przezeń pisany do przyjaciela. „W chwili — pisze Wasyngton — w której nasi dumni władcy zamierzają, ni mniej ni więcej, jak pozbawić nas naszych praw i swobód, wydaje mi się niezbędnym jakiś krok dla zapobieżenia ciosowi i zabezpieczenia praw, odziedziczonych po naszych przodkach. Ale co mamy uczynić dla osiągnięcia celu, oto właśnie pytanie. Że nikt z nas nie będzie sobie robił z tego skrupułu i ani na chwilę się nie zawaha chwycić za broń na obronę dóbr tak drogie, o tém jestem jak najmocniej przekonany. Ale broń, proszę nad tém dobrze się zastanowić, powinna być naszą ostatnią pomocą, naszą ostatnią ucieczką. Doświadczyliśmy już, powiadają niektórzy, jak bezskutecznymi były nasze prośby do tronu, nasze przed parlamentem wywody krzywd nam czynionych. Mimo to pozostaje nam według mego zdania, jeden jeszcze środek, a to spróbować, czy przez ubezwładnienie ich handlu i fabryk nie zdołamy ocucić ich na nasze prawa uwagi. Zdaje się, że kolonie północne takie żywią zamiary. Podług mego zdania dobrze one w tém sobie postępują, a środek ten nie chybi celu, jeżeli go się chwycimy wszyscy i ściśle zamiar wykonamy.“

Istotnie zamiar ten wykonano. Lata przeminęły, nim kolonie ostatecznego chwyciły się środka. Franklin żadnych nie szczędził trudów i usiłowań, aby nie dopuścić do zerwania z Anglią stosunków. W Londynie wydawał mnóstwo pism, w których dowodami niezbitymi wykazywał, że rząd na zgubnej znajduje się drodze. Wiedział on, że ziomkowie jego w ostatniej chwili i broni użyją w praw

swoich obronie; ale dopóki sądził, że jeszcze możliwym jest zwrot w polityce rządu, dopóty uważał za swój obowiązek czynić wszystko, byle nie dopuścić do krwi rozlewu.

Ale rząd angielski nie zmienił swego planu i postępowania, a Franklin za swe rzetelne usiłowania tylko jego nienawiść na się ściągnął. Odebrano mu korzystny urząd jeneralnego wszech kolonii pocztmistrza. Ale małoduszny ten czyn zemsty nie zachwiał Franklina w popieraniu czystej sprawy. Pisał on do przyjaciela w Ameryce: „Najrozsądniejszym i najzbawienniejszym krokiem, jaki kolonie uczynićby mogły, byłoby zwołanie jeneralnego kongresu, któryby w ich imieniu stanowczo i uroczyście ogłosił ich prawa i wzajemne nieodwołalne zobowiązanie się do odmówienia koronie wszelkich podatków, dopóki król i obie izby nie uznają ich praw, a wreszcie, któryby uchwałę tę podał do wiadomości rządu angielskiego. Jestem przekonany, że krok taki sprowadzi zwrot stanowczy, a czyto przyzwolą na nasze żądania, czy użyją środków surowych do zmuszenia nas, abyśmy się ich rzekli, w każdym razie doszlibyśmy do celu, gdyż ohyda, jaką wzbudza wszelka niesprawiedliwość i prześladowanie, przyczyniłaby się do spotęgowania sił naszych przez wzmocnienie węzła naszej Unii, a i światby poznał nasze uczciwe i godziwe postępowanie.“ Rada skutkowałą; pełnomocnicy trzynastu kolonii zebrali się w Filadelfii na kongres jeneralny; ułożyli wywód swych praw, podanie do króla, adres do narodu Wielkiej Brytanii i odezwę do wszystkich angielskich kolonii, a każdy ten dokument był wymownym szlachetnego ich sposobu myślenia i politycznej dojrzałości świadectwem. Franklin czynił ostatnie pojednawcze wysiłenia, a gdy i te spełzły na niczem, a nadto się jeszcze dowiedział, że rząd angielski zamierza go uwięzić, wsiadł na statek i do ojczyzny odpłynął.

Dnia 22go Marca 1775 r. po jedynastoletniej niebytności powrócił on do Filadelfii. Miał wówczas już lat 69. Obywatele witali go z wielkimi honorami, a już nazajutrz wybrali go członkiem kongresu.

VIII. Podczas wojny.

Zamiast chleba rząd angielski podał Amerykanom kamień: ogłosił ich za „buntowników,“ zatem za ludzi, którym jedynie pro-

chem, ołowiem i mieczem daje się odpowiedź. Cóż więc innego pozostało Amerykanom, jak oświadczyć przed światem, że już nadal nie uznają tyrańskich Wielkiej Brytanii rządów? Co też istotnie nastąpiło. Ogłoszenie niepodległości trzynastu połączonych stanów odbyło się d. 4. Lipca 1776 roku.

Ale bez walki rząd angielski nie zrzekał się władzy; w walce odebrać miało chrzest krwawy na drogę dalszego żywota noworodzące się państwo. Z Anglii przybyły świeże pułki pod dowództwem generała Howego, który miał rozkaz wezwać kolonie do uległości, a gdyby nie usłuchały rozkazu, bronią zmusić je do tego. Howe wiedząc, jakie znaczenie Franklin miał u swych ziomeków, napisał do niego list, w którym go na wszystko zaklinał, aby nakłonił kolonie do zaniechania oporu. Na list ten Franklin odpowiedział: „Przychylne depesze, o których Pan wspominasz, nie zawierają nic więcej nad to, co się mieści w uchwale parlamentu; ofiarują nam przebaczenie, jeżeli się zechcemy poddać. Jestto zupełnie w duchu waszego dumnego narodu, ofiarować przebaczenie kolonom krzywdzonym. Postępowanie tego rodzaju zdoła tylko spotęgować nasze oburzenie. Mielibyśmy się znów poddać rządowi, który z swawolném okrucieństwem, wśród zimy, pali nasze miasta, dzikich, niewolników i spokojną ludność wiejską przeciw nam podburza, a nawet obcych najemników nasyła, aby krwią ugnoić nasze osady? Przypuściwszy, że zdołalibyśmy przebaczyć, czyż możemy tego żądać od waszego narodu, który tak srodześmy obrazili? Nie! Naród wasz chwyci się każdego środka, aby najstraszniejszą tyranią złamać naszą odwagę i zniszczyć byt dobry naszego kraju. Mówisz Pan o ojcowskiem króla pragnieniu stałego pokoju i serdecznej z koloniami zgody. Pokój taki i mybyśmy niezawodnie przenieśli nad sojusz z obcemi państwami, gdybyś Pan miał do tego polecenie. Ale właśnie o tém wątpię. Naród wasz mógłby zapewne znów zyskać przyjaźń naszą, gdyby odwołał znienawidzonych namiestników, gdyby odbudował miasta nasze popalone i szkody nam wyrządzone wynagrodził; ale po dumie jego i nierozsądku nie można tak mądrych spodziewać się postanowień. Jako naród, chciwy zaborów, wojny i monopolów, będzie on ponawiał swe wyprawy, a w końcu poświęci tyle pieniędzy i ludzi, ile niegdyś kosztowały wyprawy krzyżowe. Przepowiadając wojnę niezawodnie nie napędzę Panu strachu, bo w Anglii nie wierzą, dopóki nie widzą końca.“

Tymczasem toczyła się na dobre wojna między Anglią i Stanami Zjednoczonymi. Na czele ich siły zbrojnej stanął wódz dzielny Jerzy Wasyngton; ale ten musiał dopiero sam, i to podczas wojny, tworzyć wojsko, kiedy przeciwnik wiodł w pole pułki wyćwiczone i samą liczbą przemagające; czém się tłómaczy, że przez dłuższy czas brał przewagę nad Amerykanami, w rzemiośle wojenném początkującymi. Mimo to dzielni obrońcy Unii ani na chwilę nie poddali się zwątpieniu. Przeciwnie, postanowili zginać raczej w walce za wolność i prawa, niż niktzemnie poddać się tyranii prawołomnego rządu.

Pod koniec r. 1776go Franklin jako poseł Stanów Zjednoczonych udał się do Francyi, dla skłonienia tamtejszego rządu do zawarcia przymierza z jego ojczyzną. Wojsko angielskie miało pod ten czas nad Amerykanami przewagę; mniemano nawet w Europie, że młodziutka rzeczpospolita po tamtéj stronie oceanu już jest na schyłku; tém mniéj więc powodu do zawierania z nią stosunków. „Ale Franklin zelektryzował całą Francją i nowego ducha w tym kraju obudził. Starzec poważny, któremu rozsądek patrzył z oczu, w prostém ubraniu, odbijał w Wersalu wśród pstrego tłumu dworaków, złotem jaśniejących, jakby zjawisko z innego świata. Wydawał on się jakby prorokiem nowych czasów. Toż ci sami panowie dworscy i szlachta, którzy wówczas poniewierali mieszczaninem, dalecy od podobnego Franklinowi uchybiania, na wyścigi spieszyli ze składaniem hołdów mieszczaninowi amerykańskiemu.“ Do jednego z przyjaciół pisał z Francyi Franklin: „Amerykanie doznają tu serdeczności, poważania i uprzejmości, jakiej nigdy nie spotkali w Anglii, jeżeli byli tam wysłani.“ A gdy po jakimś czasie i wojska amerykańskie znaczne w polu odniosły korzyści, przyszło w r. 1778 wreszcie do zawarcia przymierza zaczepno-odpornego i umowy handlowej między Ameryką i Francją. Późém przedstawiono Franklina królowi Ludwikowi XVI. Współczesny świadek pisze o tém co następuje: „Wreszcie Franklin miał posłuchanie u Jego Królewskiej Mości. Przedstawiał on mu się w galeryi Wersalskiej. Towarzyszyło mu i szło za nim wielu ziomeków i obcych, ciekawością wiedzionych. Wiek jego sędziwy, poważna postać, prosty ubiór powiększały publiczną ciekawość. Oklaski i różne objawy radości świadczyły o owéj gorącej przychylności, do której Francuzi zdolniejsi są od każdego innego narodu, a której wdzięk podnosi ich delikatność i grzeczność u każdego, który jest tychże przedmiotem. Jego królewska Mość

w te słowa przemówił do Franklina: „Zapewni, Pan Stany zjednoczone amerykańskie o mojej przyjaźni; pozwól mi także dodać, że osobiście z pańskiego zachowania się, odkąd przebywaś w mojem królestwie, bardzo jestem zadowolony.“ Kiedy po tém posłuchaniu Franklin szedł do dworu, dla widzenia się z ministrem spraw zagranicznych, oczekiwały go tłumy ciekawych i okrzykami witały.“

Wszędzie wielką cześć okazywano we Francyi mędrcowi filadelfijskiemu, o którym, kiedy go mianowano członkiem akademii, rzekł d'Alembert: „Wyrwał niebu grom, tyranom berło.“ Przymiemy z Francją o tyle korzystnem było dla Stanów zjednoczonych, że dodawało otuchy przyjaciółom młodego państwa, odejmując ją przeciwnikom, a prócz tego, że pomnażało środki wojenne, którymi rozporządzał Wasyngton. Wojsko, które Francya posłała do Ameryki, mało wprawdzie w samej walce miało udziału, tak że Amerykanie o własnych siłach i własnem bohaterstwie poświęceniem wywalczyli słuszość swęj sprawy; ale już sama obecność onych posiłków w Ameryce wiele znaczyła.

Anglicy raz jeszcze wszelkimi środkami usiłowali odzyskać swe nad Stanami zjednoczonymi panowanie. Podburzyli Indyan do napadu i płacili za każdą skórę, zdartą z głowy Amerykanina, dzikim swym sprzymierzeńcom; sami całe okolice w pustynie obracali; słowem chwycili się wszelkich środków teroryzmu. Ale właśnie postępowanie to, aczkolwiek poszczególnie wielkie zadawało mieszkańcom Unii kłęski, w całości sprawę jej popierało. gdyż oburzało do głębi i tych, którzy dotychczas stali po stronie rządu angielskiego, i nowych na pole walki prowadziło obrońców. Któż bowiem chciałby był jeszcze przyznawać się do rządu, który uciekał się do najokrutniejszych najdzikszego barbarzyństwa środków? Sprawa młodego państwa zyskiwała współczucie świata do tego stopnia, że najszlachetniejsi i najwaleczniejsi rycerze nowożytni różnych narodów, jako ochotnicy spieszyli pod chorągiew Wasyngtona.

W końcu osłabły i siły Anglii. Nie chcąc dłużej tracić na darmo ludzi i pieniędzy, musiała jak niepyszna spuścić z tonu, i rada nie rada zaprzestać walki. Poczém z początkiem roku 1783 rozpoczęto w Paryżu rokowania, po których niezadługo ułożono i podpisano warunki rzeczywistego pokoju. Uznawszy niepodległość Stanów zjednoczonych północno-amerykańskich, Anglia straciła obszar 20.000 mil kwadratowych.

IX. U kresu życia.

Po tym obrocie rzeczy Franklin, który mimo podeszłego wieku niezmordowanie pełnił swe obowiązki poselskie, zażądał uwolnienia, chcąc w ojczyźnie wolnej dokonać reszty życia. A chociaż poznał niemało Francuzów, których dla cnót i charakteru považał, przecież nie podobało mu się w Paryżu; prości, surowi ziomkowie, z Paryżanami porównywani, okazali mu się w tém piękniejszym świetle. Pragnął więc wydobyć się z miasta wypolerowanego samolubstwa i skażonych obyczajów. Wówczas wyrzekł był Franklin: „Prawdziwa grzeczność duszy, powinna być życzliwością.“ Nie należy zapominać, że to one czasy skażonej, od natury odbiegłej cywilizacyi, która tak raziła każdego wyższego ducha, że Ruso, chociaż sam Francuz, aż w powrocie do wymarzonego pierwotnego stanu natury upatrywał jedyny środek odrodzenia ówczesnego francuskiego społeczeństwa. Byłyto czasy, tuż wyprzedzające ten straszny zamęt, ono zawichrzenie rozumów i on straszny rozpasanych namiętności huragan, któremu w dziejach na imię: rewolucya francuska!

Tymczasem rząd Stanów zjednoczonych uważał usługi Franklina w Paryżu jeszcze za niezbędne tak, że nie od razu przychylił się do jego życzenia. Dopiero w r 1785ym starzec czcigodny powrócił do Filadelfii.

Kiedy statek zawinął do portu, tłumy oczekujących mieszkańców miasta powitały radośnymi okrzykami wracającego na ziemię ojczystą zasłużonego współobywatela. Gdy Franklin wchodził do miasta, świątecznie przystrojonego, działa zagrzniały, i wszystkie odezwały się dzwony. A byłoto to samo miasto, po którym niegdyś przed laty starzec, dziś z taką czcią przyjmowany, jako ośmnastoletni młodzieniec, strudzony burzą morską, w lichiej przemokłej odzieży, błąkał się po ulicach, a potem ze znużenia zasnął był w świątyni Kwaków. Zakryta zasłoną spoczywała wówczas przed nim jego przyszłość. Czyż mógł pomyśleć, że po latach kiedyś w tryumfie tak świetnym, i to okryty wieńcem zasług obywatelskich, wchodzić będzie do tego samego miasta? Czyż ktokolwiek mógł mu to podówczas przepowiedzieć? A przecież jemu samemu pozostawiony był wybór; on sam sięgać miał własnymi siłami poza onę zasłonę przyszłości, on sam ją krok za krokiem uchylać, on sam miał ją sobie wytwarzać, bo i to prawda, że do pewnego stopnia człowiek sam panem, sam twórcą swojej przyszłości; a Franklin

w najznacniejszej części sam swojej był twórcą, bo pomoc życzliwych ludzi była już skutkiem jego poprzednich własnych usiłowań; byłato pomoc, do dalszej budowy gmachu, pod który on sam położył już był fundamenta; a ponieważ były fundamenta mocne i trwałe, więc kto je ujrzał, rad spiaszył z pomocą, bo widział, iż to sumienny i rozumny budowniczy, który budowy nie zaprzestanie, ani spartaczy. Franklin stał się panem swój przyszłości, bo stał się był panem samego siebie; władał swojemi popędami i skłonnościami; przytłumiał lekkie lub złe, a dobrym oddał nad sobą panowanie; toż zaszczytną ze samym sobą stoczył walkę, a po walce takięj i tak świetném zwycięztwie wart był i tryumfu świetnego. Cześć pracą i cnotą zdobyta spływała po tęg osiwiiałęj głowie, której sam widok poruszał już do łez radości. „Wjazd jego do miasta — pisze pewien świadek naoczny — był wjazdem tryumfalnym. Franklin przebywał ulice miasta wśród błogosławieństw wolnego i wdzięcznego ludu, który nie zapomniał o jego usługach i zasługach. Wojownicy, którzy krew swą przelewali za niepodległość, zabezpieczoną jego roztropnością, pragnęli okazać mu zaszczytne swe rany. Starcy, którzy modlili się o życie do jego powrotu, otaczali go, a młode pokolenie pałało żądzą ujrzenia oblicza wielkiego męża, którego dary, usługi i cnoty wzbudziły w niem pierwsze zachwycenie zapалу i natchnienia. Udaając się z portu, teraz dla wszystkich narodów otwartego, ku miastu, które miało się stać wzorem wszystkich przyszłych stolic, Franklin patrzył na kwitnącą publiczną szkołę, którą założył, na szpital, jeden z pierwszych jego zakładów, którego ciągle ulepszanie było dziełem jego rozumu.“ Liczył on wówczas ośmdziesiąty rok życia. Ci, którzy mniemali, że teraz spocznie po tylu pracach, nie znali głębi jego życia. „Na spoczynek znajdzie się czas, kiedy się zamkną oczy wasze“ wołał on niegdyś do ziomków, podając im naukę mądrości życia; a słowa te nie były frazą, lecz odbiciem jego wewnętrznego jestestwa. Nieodmienne natury prawa wywierały i na jego ciele swą władzę; wszelako mimoto Franklin starzec podobien był drzewu, które i przy spruchniałym pniu kwitnie i rodzi owoce.

Franklina wybrano członkiem najwyższego rządu, a wkrótce potem prezesem tegoż kolegium; wszystkimi zakładami, które mu zawdzięczały swój początek, zajmował on się znów żywo, i nowe wlewał w nie życie. Dwa stowarzyszenia, z których jedno poprawę więzień, drugie zniesienie niewolnictwa miało na celu, wybrały go prezesem. Tak więc starzec ośmdziesięcioletni miał pełno zatrudnień;

a młodzi mogli się od niego uczyć, co to znaczy: być niezmordowanym w pracy i działaniu.

W dwa lata po powrocie Franklina do ojczyzny kongres Stanów zjednoczonych w Filadelfii zebrany zajmował się rewizją konstytucyi, uchwalonej podczas kłopotów wojennych. Teraz miano ją na nowo potwierdzić. Nie wszystkim dogadzała uchwalona konstytucya; zły duch niezgody podnosił w zgromadzeniu głowę. Widząc to Franklin, a do podpisania uchwał kongresu przystępując, w te pamiętne przemówił słowa:

„Przyjmuję tę konstytucyą ze wszystkimi niedostatkami, jeśli je ma, w przekonaniu, że wspólna forma rządu jest nam niezbędna, i że każda forma rządu jest dobra, jeśli się podług niej dobrze rządzi. Sądzę także, że podług naszej konstytucyi przez szereg lat można będzie dobrze rządzić, tudzież, że wtedy tylko zamienić się ona może w despotyzm, kiedy zepsucie narodu wymagać będzie despoty; a wątpię, aby jakiegokolwiek inne zgromadzenie potrafiło ułożyć lepszą konstytucyą. Skoro bowiem zbierze się grono ludzi celem wspólnego użytkowania zdań swoich i zapatrywań, tedy z nimi razem gromadzą się i przesady, namiętności i interesa miejscowe, a w takim razie niepodobna spodziewać się czegoś doskonałego. Dziwię się nawet, żeśmy się tak bardzo do doskonałości zbliżyli i mniemam, że dziwić się będą i nasi nieprzyjaciele; oni, którzy obrad naszych takiego, jak ongi przy budowie wieży babilońskiej, spodziewali się końca, sądząc, że Stany nasze nigdy do siebie się nie zbliżą, chyba aby rozpocząć walkę na noże i sztylety. Daję więc swój głos, ponieważ nie spodziewam się lepszej konstytucyi i nie wiem, czy nasza naprawdę nie jest najlepszą; dlatego też zdanie swe niosę w ofierze dobru pospolitemu. Poza tą izbą nie mówiłem o niej; a co w tych powstało murach, to tu pozostać winno. Gdyby bowiem każdy do domu powróciwszy, chciał wykladać wyborcom swym zarzuty téj konstytucyi czynione, tedy łatwo stałoby się mogło, że powszechnego nie uzyskamy uznania. Tém samém w niwee obróciłyby się wszystkie dobre skutki, wynikające tak dla nas, jak i drugich narodów z naszej czyto rzeczywistej czy pozornej zgody. Albowiem możność rządu popierania szczęścia narodu, polega po największej części na wierze w dobroć konstytucyi i w tegoż rządu rzetelność. Przeto mam nadzieję, że jako cząstki téj samej całości, już ze względu na własną korzyść, już to dobro naszych następców mając na oku, połączymy się uczciwie aby, ile

tylko zmożemy, wszędzie polecać tę konstytucyą, tudzież, że na przyszłość wyteżymy wszystkie usiłowania, aby ją najwłaściwszymi wykonać środkami. Przedewszystkiém żywię w sercu gorące życzenie, aby każdy członek kongresu, który miałby jeszcze jakie przeciw niej zarzuty, teraz, tak jak ja, niezbyt ufał w swą nieomylność i na znak zgody położył swe nazwisko na tym narodowym akcie!“

Upomnienie patryotyczne zasłużonego starca nie było głosem wołającego na puszczy; wszyscy członkowie konstytucyą podpisali. Poczém pedano ją pod głosowanie narodu, a i ten ją przyjął bez zmiany.

Szczęśliwy, zaprawdę naród, który miał takiego obywatela; obywatela powszechnym otoczonego szacunkiem i zaufaniem zaszczyconego powszechném; a również szczęśliwy obywatel, żyjący w narodzie, który zdolen ocenić jego zasługi, brał do serca jego mądre słowa, i za mądrą jego szedł radą. Zasłużony wielki mąż nie wierzył w swą nieomylność; a jakież to wielkie dla narodu szczęście, że i poszczególne jednostki, a co więcćj, nawet miernostki, w swą nieomylność także nie miały wiary!

W rok potém kongres jednogłośnie wybrał jenerała Wasyngtona prezydentem rzeczypospolitój, a Franklin z błogiém zadowoleniem patrzył, jak pod mądrém i dzielném kierownictwem pierwszego prezydenta, coraz więcćj ustalał się porządek. Wszak Wasyngton, o dwadzieścia sześć lat od Franklina młodszy, był jednym z jego wielkich uczniów i zwolenników, którzy usilnie starali się o to, aby zasady przezeń od pół wieku głoszone, słowem i czynem wnikały w życie.

Nakoniec zbliżał się czas, w którym i Franklin miał spłacić naturze dług, którego ona nikomu nie opuszcza. Niemordowanego pracownika czekał dobrze zupracowany wieczny spoczynek. Miernością w życiu Franklin do roku ośmdziesiątego drugiego zachował silne zdrowie, którem z natury był obdarzony. Od tego czasu zaczął na zdrowiu zapadać, choroby dokuczliwe przykuwały go do łóżka. Ale i z łoża boleści działał on jeszcze mądrą radą, a niejeden odwiedziwszy go, wracał rozweselony i pokrzepiony na duchu. Przyjaciółom wręczył Franklin nagrobek, który przed pięćdziesięciu laty był dla siebie napisał, w słowach następujących:

Tu spoczywa
 Żér dla robactwa,
 ciało
BENJAMINA FRANKLINA,
 drukarza,
 Podobne do okładek staréj książki,
 Z którój wydarto kartki
 I którój oprawa się zużyła.
 Ale dzieło nie zaginie,
 Lecz, jak on się spodziewa, znów wyjdzie
 W nowém wydaniu
 Przejrzaném i poprawioném
 przez
 Autora.

Tę wiarę w życie wyższe, w trwałość duszy, siebie świadomój, po śmierci, żywił on z całym zapałem do ostatniej chwili życia i często w natchnieniu o niej mawiał; a i w pismach nieraz wyrażał. Oblicze jaśniało mu poważną radością, kiedy mówił o szczęściu „oglądania w całej chwale ojca duchów, którego istoty nie zdoła pojąć i najbystrzejszy mędrzec w świecie; o radości podziwiania dzieł jego w światach wyższych i obcowania z uajwznioslejszymi świata duchami.“

Franklin uczynił ostatnie rozporządzenie swój woli, wyposażył hojnie szkoły, w których pobierał początki nauki; przeznaczył sumę na urządzenie kanału dla spławów, drugą na rzecz terminatorów w Bostonie i Filadelfii. Wszystko to, co miał u dłużników, przekazał szpitalowi tegoż miasta. Testament jego kończy się temi słowy: „Łaskę moję z dzikiéj jabłoni, ze złotą, w kształcie czapki wolności pięknie wyrobioną gałką, zapisuję jenerałowi Wasyngtonowi, mojemu i ludzkości przyjacielowi. Gdybyto było berło, zasłużyłby na nie i otrzymałby je.“

Z spokojem duszy oczekiwał Franklin zgonu. Przytomność ducha nie opuściła go do ostatniej chwili. Dnia 17go Kwietnia 1790, o godzinie 11tej w nocy, zakończył on życie.

Pogrzebu, jakim uczczono Franklina, Ameryka po one czasy nigdy jeszcze nie widziała. Mieszkańcy Filadelfii przywdziali żałobę, dzwony jęczały dźwiękiem stłumionym, czarne chorągwie powiewały z domów, dzienniki wyszły w czarnych obwódkach. Kongres ogłosił w całej Unii dwumiesięczną narodową żałobę.

I w Europie z współczuciem przyjęto bolesną o śmierci Franklina wiadomość. W izbie francuskiej Mirabeau wyraził smutek po tej wielkiej stracie w słowach następujących:

„Franklin umarł! — (Głęboka cisza zapanowała w sali sejmowej). — „Duch, który Ameryce dał wolność, a strumienie światła zlał na Europę, powrócił na łono bóstwa!“

„Kongres zarządził we wszystkich Stanach Zjednoczonych dwumiesięczną po Franklinie żałobę, a tym sposobem Ameryka spłaciła jednemu z ojców swój konstytucyjny dług i dań czci i uwielbienia.“

„Nie byłabyż to, panowie prawodawcy, rzecz was godna, gdybyście się przyłączyli do tego aktu czci i wzięli udział w tym hołdzie składanym wobec świata prawom człowieka i mędrcom, który rozpowszechnił w świecie ich panowanie?“

„Śmiertelnikowi, który na pożytek rodu ludzkiego niebo i ziemię potężnym i głębokim swym duchem obejmując, grom i tyranją podbić umiał, ołtarze byliby stawiali starożytni.“

„Oświecona, wolna Europa jednemu z największych mężów, którzy żyli dla filozofii i wolności, co najmniej pamięć i uczucie bólu poświęcić winna.“

„Wnoszę, aby Zgromadzenie narodowe po Benjaminie Franklinie na trzy dni przywdziało żałobę.“

Zgromadzenie przyjmawszy ten wniosek, oddało cześć pamięci wielkiego obywatela.



JERZY WASYNGTON.

Prawodawca bohater; wódz Amerykanów,
Wybawca uciśnionych, a pogrom tyranów,
Wasyngton, ten prawdziwym jest wolności sługą,
Pisał rząd jedną ręką, a bronił go drugą.

Z wiersza: „Do Kościuszki.“

Czas z r. 1874. N. 255.

„Pierwszy w boju, pierwszy w pokoju i pierwszy
w sercach swych ziomków.“

Słowa Jana Marshalla w izbie reprezentantów.

I. Lata chłopięce.

Piękny, zaprawdę, i pełen cudów jest świat, który nas otacza! Ileż to w nim jestestw stworzonych, ileż widoków i zjawisk, na które człowiek patrzy bądź radośnie a nawet z uniesieniem, bądź w zadumie, z uwielbieniem, pokorą a nawet trwogą! Nikła roślinka i kwiatek, drzewo rozłożyste lub ku niebu się pnące, las cienisty i łąka wonna a różnowzora, pole o kłosach falujących i step rozległy, bujna pokryta trawą, czysty jak kryształ strop niebieski i niezmierzona wód morskich przestrzeń, poważny, majestatyczny w przyrodzie spokój i burza szalejąca, różny wschodzącego a zachodzącego słońca urok i gwiazdzistej nocy milcząca wspaniałość, te im tym podobnych jeszcze wiele przedmiotów, zjawisk i widoków jakżeż poruszają i podnoszą serce i ducha naszego!

Toż w niemym podziwiew patrzył na nie od początku istnienia swojego i po dzień dzisiejszy patrzy człowiek, bądź radując się, bądź korząc przed wszechpotęgą sprawcy wszystkich tych dziwów, wszystkich tych cudów. Ale na tém nie poprzestał. Przedmioty te i zjawiska rozliczne już wcześniej wzbudziły w nim popęd do bliższego tych cudów badania i poznania.

Nietylko więc patrzył na to, co go otaczało, lecz ciekawie, pilnie i bacznie, więc z rozmysłem, przypatrywał się i przedmiotom i zjawiskom; a zmysłem swym nie ufając i jakby uzupełniając ich nieudolność, w przeróżne sztuczne uzbroił się przyrządy i jakby do samego wnętrza przedmiotów, a w głąb przyczyn zjawisk wnikać, istotę ich zbadać i odsłonić usiłuje.

Toż, zwłaszcza za dni naszych, ogromny niezaprzeczenie, nad wszelkie inne zajęcia może przeważający, ruch panuje właśnie na polu tychże około zbadania świata przyrodzonego usiłowań; ruch daleko w szerz i głąb sięgający, a gorączkowy, więc przyspieszony. Zdaje się, jakby w nim skupiła się cała ludzkiego ducha dziś praca!

A przecież nie na samych tylko przedmiotach, czyto nibyto martwój, czy rozlicznemi siły poruszanej przyrody, nie na samych tylko objawach sił tych rozlicznych ruchu kończy się ten świat stworzony!

W szeregu jestestw tegoż świata, jakby na ostatnim, najwyższym szczeblu drabiny tychże niezliczonej liczby jestestw, jakby ich wspinanie się w górę zamykając, mieści się jestestwo od wszystkich innych bardzo różne i o objawach sił najróżnorodniejszych; istne „zjawisko, któremu trudno dać nazwisko,“ jakby owa starożytna sfiga, ów, jakto ktoś dowcipnie orzekł, „wielki w księdze przyrody domyslnik“ — człowiek!

Więc i on sam staje się jednym z tych zajmujących w świecie otaczającym zjawisk, jednym z tych rozlicznych w świecie stworzonym cudów i zagadek; ale osobliwsza to i godna bardzo uwagi rzecz, że on sam i dla siebie staje się zagadką; on sam na się zwracając uwagę, zdolen jest stopniowego téjże zagadki rozwiązywania.

Wprawdzie z razu tonie on w odmęcie świata zewnętrznego, przystępny głównie jego wrażeniom; ale zwolna i na siebie i na drugich, więc na rodzaj swój zwraca uwagę i do tych, którzy w rozwoju swym na wyższy wznieśli się już stopień, siły swe nastraja i za nimi rad podąża. A kiedy jestestwa, od niego niższe, zawsze tylko tą samą kroczą drogą, każde do przepisanego mu trybu życia niewolniczo przykute, jedno od drugiego nie różniąc się objawami, ani jedno drugiego za wzór sobie nie biorąc: sam tylko człowiek rozlicznemi do ostatecznego celu podąża drogami; on sam tylko zdolen poszczególne zakreślać sobie cele i sam wybierać do osiągnięcia celu środki; on sam tylko w drugich ludziach, istotą sobie równych, wzorów upatruje, a do nich się naciągając, na wyższy w rozwoju wznosi się stopień. Toż kiedy życie zwierzęce z pokolenia w pokolenie zawsze jednakowe, a dla braku rozwoju i postępu jednostajne i chyba za przyczynieniem się i wpływem człowieka się zmienia i w jednostkach uszlachetnia; człowiek sam tylko, pokolenie po pokoleniu, w górę podąża, a chociaż czasem w drodze się zatrzyma lub cofnie, z wyższego spadłszy na niższy szczebel, zdolen przecież i poznania swego zastoju, cofnięcia się i upadku i podźwignienia się z niego, a znów rychlejszego naprzód postąpienia.

Czyż nie zajmujący to widok, czyż to zjawisko nie uderzające? Czyż nie zagadka, godna usilnej około jój rozwiązania pracy?

Toż zaprawdę kto całkiem nie zatopił wzroku tylko w samym świecie przyrodzonym, kto całą w nim tylko nie utonął uwagą, lecz czując w sobie tlejącą iskrę, tę cząstkę pierwowzoru, na którego podobieństwo został stworzony, w płomień jasny ją rozdmuchiwa: ten, nie gardząc przyrodą i coraz dokładniejszego jej poznawania sobie nie lekceważąc, niezawodnie przyzna, że jeśli pełno jest cudów w ustroju zdziebełka trawy lub w nieznacznej kropelce wody, tedy równie wielki, jeśli nie większy, zasób cudów i zagadek kryje w sobie ustrój duchowy człowieka, życie poszczególnej jednostki i dziejowe rodzaju ludzkiego życie.

A mają to do siebie te w życiu ludzkim nasuwające się piękne widoki, te duchowej naszej istoty objawy, że nie tylko budzą w nas podziw, lecz i wznioslejszą napawają rozkoszą, kiedy kornym sercem pójdziem w ślad za rozwojem duszy szlachetnego człowieka, a z uwagą towarzyszyć będziemy jęj postępowaniu na coraz wyższe doskonałości stopnie.

Wówczasto cząstka tej wielkiej i szlachetnej duszy i nam się udziela, bo jeśli w świecie fizycznym zachodzi chemiczne powinowactwo, tedy w świecie ducha zastępuje je już pokrewieństwo, na tożsamości istoty oparte. Zatem myśl wzniosła, czyn piękny lub wielki, gdziekolwiek się zjawi, skoro tylko dojdzie do nas o nich wiadomość, już jakby iskra elektryczna wstrząsają duchem naszym, a podnosząc go uczuciem, że i myśmy tego samego, co twórca owęj myśli lub czynu, pochodzenia, nie tylko radością nas przejmują, lecz budząc zaufanie we własne siły, a przeto i odwagi dodając, do szybszego ruchu, a nawet do lotu porywają. Napawa się więc w takim razie błogą rozkoszą serce, krzepi umysł, ogrzewa wola, i w dążeniu ku dobremu wzmacnia. Czujemy się bliżsi samęj Istoty najwyższej, której jaśniejszym odbłyśkiem jest owa dusza wielka, szlachetna. I wiara się w nas krzepi, i nadzieja rośnie, i miłość silniej zapłonie w uczuciu wdzięczności za ten źródł łaski, zlanęj na rodzaj ludzki, za pośrednictwem wielkiego, szlachetnego człowieka.

Wówczas tém silniej czujemy, jakiegośmyto pochodzenia, więc z kimto spokrewnieni jesteśmy.

Wielcy, szlachetni ludzie, to żywe dyplomy a legitymacye szlachectwa duszy naszej, szlachectwa, którego drzewo genealogiczne kończy się w samym Stwórcy!

Wówczas rodzi się w duszy obraz, czémto stać się może człowiek, jeżeli serce zapłonie mu miłością cnoty, a płomień ten

rozdmuchu on w jasną na cały swój żywot pochodnię, jeżeli w duszy zrodzi się dążenie ku wyższemu celom, a on je z poszczególnych podrywów a dobrych chęci przemieni w żelazną, niezmienną, stałość woli czyli charakteru.

Na duchowém też pokrewieństwie polega wielkie w życiu naszym znaczenie pięknych i wzniosłych przykładów; tych podnieć a jakby bodźców, budzących z uspienia lub nieczynności duchy z istoty swój pokrewne; na niém, jako na podstawie, możność wzajemnej wrażeń wymiany i wzajemnego oddziaływania; więc i możność doskonalenia się i postępu, jako jedna z najwydatniejszych cech charakterystycznych istoty ludzkiej, tak bardzo odróżniająca ją od natury zwierzęcej.

A kiedy się rzecz tak ma, czemu zaprzeczyć niepodobna, tedy wizerunek takięj wielkiej a szlachetnej duszy zamierzam tu odsłonić przed wami, młodzi czytelnicy! Zamierzam wprowadzić was jakby do jej pracowni, abyście się przypatrzyli jej pracy, tak téjże zawiazkom, jakoteż wzrostowi i ostatecznym wypadkom; abyście się przypatrzyli i celom, które sobie zakreślała dusza ta szlachetna i środkiem, które bądź miała pod ręką, bądź ich szukać i przyspasać musiała.

Wizerunek ten niech będzie dla was wzorem, a dla woli młodej bodźcem. Nie każdemu wprowadzić dano osiągnąć te same skutki, bo nie każdy ma i to samo wyposażenie i w nie tych samych przyjdzie mu pracować warunkach. Ale jeśli dawni Rzymianie twierdzili, że w sprawach wielkich wystarcza nawet chęć, tedy, zda mi się, tak tylko tę ich myśl rozumieć wypada, że już wiele znaczy, kiedy człowiek umysłem sięga wyżej ponad powszedni życia poziom, kiedy wolą swą nastraja do wzniosłych celów; gdyż już to wznoszenie się ducha, to sił wyężanie, jest dowodem i wyższości ducha i tę ma korzystać, że przynajmniej daje możność odróżniania tego, co wyższe i wznioslejsze, od poziomej powszedniości, daje i téj różnicy świadomość, w której tkwi źródło usiłowań, gdyż stara to, doświadczeniem stwierdzona prawda, że czego człowiek wcale nie zna, tego także pożądać nie może.

W północnej Ameryce, wśród lasów Wirginii, urodził się dnia 22. Lutego 1732 r. Jerzy Wasyngton.

Tamto hoża dziecina jasnymi oczkami i z uśmiechem na ustach patrzyła na świat boży; tam czarna niewolnica siadała z nią na

ławie przed domem i zabawiła, ciskając indykom i gołębiom okruchy chleba; tam pod szumiącemi drzewami chłopię przyrządzało sobie z pręta leszczyny pierwszego konika i harce wyprawiało po dworcu ojcowskim.

Ojciec Jerzego, Augustyn Wasyngton, osadnik amerykański, był z rodu Anglikiem. Pradziad jego przybył do Ameryki północnej, którą po one czasy Indyanie uważali za swą wyłączną własność. Obszar kraju, nazwany później „Stanami amerykańskimi“ równa się prawie powierzchni Europy. Przed dwustu laty cały kraj ten był niezmierzonym, do nie przebycia gęstym, lasem, który przerywały tylko ogromne moczary, trzęsawiska i sawany czyli równiny, bujną trawą porośłe.

W domu zamożnego osadnika, położonym na wschodnim brzegu Rapahanoku, mały Jerzy pierwsze odbierał wrażenia. Panowała tam bogobojność, pracowitość, skrzętność i rzetelność. To było pierwszym błogosławieństwem, jakie niebiosy zlały na dziecinę. Wprawdzie ono samo jeszcze nie wystarcza; życie wśród czystej i zdrowej duchowej atmosfery samo jeszcze nie wiedzie człowieka na drogę moralności; czyni to dopiero wola, ku dobremu kierowana, i własne imanie się wykonywania cnoty; gdyż i z najlepszego otoczenia wyszli już nieraz zbrodniarze. Wszelako błogosławieństwem, łaską i wielką pomocą jest zawsze otoczenie ludzi, którzy i w słowach i uczynkach przyświecając pięknymi cnót przykładami, ułatwiają małodetnim rozwój moralny. Toż podwójną, tém cięższą winą obarcza głowę swą ten, kto mimo takiej łaski i pomocy, zbacza na kręte ścieżki i manowce grzechu i występku.

Przybysze angielscy osiedlali się wówczas w odosobnionych siedzibach, porozrzucanych wśród rozległych lasów; jednakowoż bliżsi połączyli się już w parafie, pozakładali w nich kościoły i szkoły. Szkoły te w Wirginii znajdowały się podówczas na stopniu jeszcze bardzo niskim; uczono w nich czytać, pisać, rachować i prowadzenia codziennych rachunków; więcej nie żądała jeszcze dla swych dzieci większa część osadników. Bogaci posyłali zwykle synów do angielskich wyższych zakładów naukowych. Podróż taką do Anglii odbył także i Wawrzyniec Wasyngton, najstarszy przyrodni brat Jerzego; a o lat czternaście od niego starszy. Jerzy brata wcale nie pamiętał, bo w czasie tegoż do Anglii wyjazdu noszono go jeszcze na ręku. W dwudziestym drugim roku życia Wawrzyniec powrócił do domu pięknie rozwiniętym i wykształconym młodzieńcem; z ra-

dością powitała go rodzina; ośmioletni Jerzy od pierwszej chwili całym sercem przywiązał się do brata, a ten, kożemu, ciekawemu chłopczynie prawdziwie ojcowską odpłacał miłością.

Ojciec uważał Wawrzyńca za przyszłą głowę rodziny; a sądząc, że zadość uczynił obowiązkom rodzicielskim, dawszy przyszłemu swemu następcy należyte wychowanie, nie myślał o wysłaniu jeszcze którego z synów do Anglii. Toż i Jerzego posyłał tylko do szkoły parafialnej. Ciekawy chłopczyna gorliwie uczył się wszystkiego, ce mu podawała ta szkoła. Tym sposobem uzyskał przynajmniej podstawę do późniejszych nauk o własnych siłach. Jeden z wydatnych, jego charakteru rysów, występuje na jaw już dość wcześnie: chłopczyna wykonywał wszystkie prace jak najsumienniejsz i najdokładniejsz. Nie było ani jednej litery w jego piśmie, któraby świadczyła o niedbalstwie lub tylko o lekceważeniu. Przechowały się dotychczas zeszyty szkolne, pisane jego ręką, świadczące o tych młodziutkiego Jerzego zaletach. A podobnie postępował sobie, ile razy poruczono mu jakie domowe zatrudnienie. Wszystko, co mu zrobić polecono, albo czego z własnej jał się ochoty, chociażby to była rzecz najdrobniejsza, albo taką wydawać się mogła, Jerzy starał się wykonać z największą, o ile możności, dokładnością.

Jakie znaczenie miało to w rozwoju jego ducha, tego nie mógł przewidywać młodziutki Wasyngton. Wiodło go do tego jedynie poczucie obowiązku, wcześniej wzbudzone, a poparte wolą, skierowaną ku czynieniu dobrego. Dopiero później zrozumiał on głębszy cel pracy, zawsze do wzmocnienia sił ducha zmierzający. Nie masz pracy, którejby nie można dobrze lub źle wykonać. Jeżeli zbierzesz swe siły, i zdołasz wykonać pracę, więcej lub mniej dokładnie, tedy już więcej niż samój tylko dokonałeś pracy, bo pracowałeś około samój swój istoty! Kto się nad tém rozważnie zastanowi, dla tego i praca, z pozoru najtrudniejsza, straci kolec przykrości!

Podobnaż sumiennnością odznaczał się młodziutki Wasyngton i w sprawach moralnych. Był on z natury żywego i namiętnego usposobienia; ale już wcześniej usiłował rozwagą i siłą woli panować nad żywymi uczuciami. Dlatego też towarzysze jego szkolni zwykle z wszelkimi sporami do niego się udawali, i zazwyczaj poddawali się jego wyrokowi. Widzieli bowiem, że on sam, ile razy dał się unieść gorącej krwi swojój, nie wahał się ani na chwilę, przyznać się do winy. Zawsze miał na względzie słusność, a nie osobę.

I inny rys wydatny natury Wasyngtona: talent wojskowy, już w latach jego chłopięcych na jaw wystąpił. Poczęści odziedziczył on go po przodkach; byli bowiem między nimi ludzie znakomici i z waleczności w bitwach słynni, o czém opowiadają kroniki angielskie. Niektórzy z nich do tego stopnia się odznaczyli, że ich zaliczono w poczet rycerstwa angielskiego. Brata jego, Wawrzyńca ożywiał także duch wojenny, a w tym czasie nadarzyła się okazania go sposobność. Hiszpanie niepokoiili w Indyach zachodnich częstymi napadami handel brytański i szkodę mu wyrządzali. Rząd angielski postanowił więc szukać odwetu. Wyprawiono na ten cel flotę; a ponieważ Anglia była krajem macierzystym osadników wirgińskich, przeto i tu wezwano ochotników. Wawrzyniec stanął w ich rzędzie i otrzymał stopień kapitana. Można więc sobie wyobrazić, że zdarzenie to wywołało pewien ruch w rodzinie Wasyngtona. Najżywszy udział w wyprawie brata miał Jerzy. Że rabusiów, o których niegodziwych sprawach nie mało się nasłuchiwał, poskromić i ukarać należało, o tém ani na chwilę nie wątpił; toż z uszanowaniem i zachwyceniem spoglądał na błyszczący pałasz brata, a w duszy czynił postanowienie, że i sam kiedyś, ilekroć złość i niesprawiedliwość dopuszczają się będzie pokrzywdzenia spokojnych współbraci, stanie w szeregu ich obrońców. Przy téj sposobności chłopiec słyszał także niejedno o czynach walecznych swych przodków. Niedziw więc, że obraz brata, który w mundurze opuścił dom rodzinny, ciągle stał żywo w duszy chłopca; że listy jego, które ojciec zwykle czytał w kole rodzinném, tak go zajmowały, iż prosił o nie ojca, i często bardzo odczytywał, zwłaszcza, że donosiły o różnych zdarzeniach z pola walki.

Wpływ tych wrażeń i obrazów, żywo zajmujących duszę chłopca, wkrótce wystąpił na jaw w jego zabawach. Piłkę i gry jój podobne zastąpiła zabawa w wojnę. Jerzy utworzył ze współuczniów kompanie, podawał plany bitew, które staczano, oznaczał rodzaj broni, odbywał przeglądy, a żadnemu z towarzyszków nawet na myśl nie przyszło, zaprzeczać mu stanowiska i stopnia, jaki zajął sam tylko własną osobistą przewagą. I taka to zabawa, chociaż ani on sam, ani nikt z tych, co go otaczali, nie przeczuwał, była poniekąd jakby przygrywką i przygotowaniem do jego późniejszego życia. Jak pierwój w kole swych towarzyszy zajął stanowisko rozjemcy i jakby ustawodawcy, tak teraz został ich wodzem. Ale i w tém bawieniu się w żołnierza wybitnie okazywała się właściwość jego natury, na

tém polegająca, że wszystko, cokolwiek przedsiębrał, usiłował wykonać z wszelką możliwą dokładnością. Młodziutki duch Wasyngtona poznawał, czego to potrzeba wojownikowi; toteż z wytrwałą gorliwością odbywał ćwiczenia, nadające ciału zgrabność i siłę; biegał więc z drugimi do mety; skakał przez rowy, mocował się z towarzyszami, ciskał drągi jakby włócznie, itp. Naczelnik małego zastępu dążył do tego, aby na prawdę być pierwszym, a dowództwo swe oprzeć nie na tytule, lecz na rzeczywistój zasłudze.

Brat jego Wawrzyniec, wzięwszy udział w oblężeniu Kartageny w Indiach zachodnich, powrócił do domu. Można sobie wyobrazić, z jakim zajęciem Jerzy przysłuchiwał się opowiadaniom brata! Ten zaś, dowiedziawszy się o wojennych jego zabawach, utwierdził się w myśli, już dawniej powziętój, o przyszłym brata zawodzie. To też zaproponował rodzicom, aby Jerzego, skoro ukończy rok czternasty, oddali na kadeta do marynarki angielskiej. Na plan ten zgodzili się rodzice, odkładając jego wykonanie do stosownej pory. Wawrzyniec miał zamiar wrócić do pułku i w służbie wojskowej dosługiwać się dalszych stopni; wszelako okoliczności inaczej nim pokierowały. Poznał bowiem córkę zamożnego osadnika, Wilhelma Fairfaxa i oświadczywszy się o jęj rękę, został przyjęty i z nią zaręczony. Ojciec jego bardzo się ucieszył z tego bliższego stosunku z rodziną zamożną, a powszechnie poważaną. Wszelako nie doczekał zaślubin syna; nagle bowiem zachorował i umarł.

Jerzy miał dopiero lat jedynaście, kiedy mu, jako sierocie, przyszło zapłakać na grobie ojca. Zmarły pozostawił dla dzieci swych z dwukrotnego małżeństwa znaczne posiadłości, zupełnie wystarczające na ich zaopatrzenie. Wawrzyniec otrzymał posiadłość na brzegach Potomaku, gdzie po kilku miesiącach osiadł z młodą żoną.

Dla młodszych dzieci ojciec w ostatniej swój woli nie wyznaczył opiekuna; opiekę pozostawił matce, co dowodzi zaufania, jakie w nięj pokładał mąż zmarły; bo też zasługiwała na nie zacna ta niewiasta. Irwing, który napisał żywot Jerzego Wasyngtona, w tych o nięj wspomina słowach: „Obdarzona prostym zdrowym rozumem, wielką sumiennoscą i stanowczą pewnością siebie, rządziła rodziną swą z grozą ale i dobrocią i żądała uszanowania, budząc ku sobie zaufanie. Była ona wtórą zmarłego żoną, a Jerzy, syn jęj pierworodny, ulubioném jęj dzieckiem. Mimo to, a raczej właśnie dlatego, trzymała go krótko, gdzie tego była potrzeba, aby go ochronić od wybryków. Bóg błogosławił szczere jęj usiłowa-

nia. Wówczas w wielkiem poszanowaniu było u wykształconych osadników wirgińskich dzieło Mateusza Halego: „Moralne i teologiczne rozmyślenia“. Była to ulubiona książka matki, z której nie tylko sama czerpała pokrzepienie i zbudowanie, lecz i dzieciom czytywała ustępy. Na takich czytaniach prócz dzieci bywali także i przyjaciele rodziny; a z tego, co i oni i dzieci o tych zebraniach podali do wiadomości, okazuje się, że matka Wasyngtona nie tylko bardzo rozumnie wybierała ustępy do czytania, lecz że i moralna groza i powaga, z jaką odbywała owe czytania, czy to z książki powyżej wymienionéj, czy przy sposobności i z pism innych, skuteczne na młodych słuchaczach wywierały wrażenie. Uspodobienie serca miłością cnoty pałającego, przelewała ona w swe dzieci; a gdy przytém całe życie i tok spraw w domu przenikała moralna groza, więc i odebrane wrażenia nie zacierały się w młodych umysłach, lecz owszém tém bardziej się utrwały i potęgowały. Egzemplarz onéj książki, z własnoręcznym podpisem matki, „Marya Wasyngton, był późniéj przez całe życie drogą dla syna pamiątką. Często téż wdzięczny syn zapewniał, że nauki w książce téj zawarte, ożywione pełném wyrazu czytaniem matki, o dobro dzieci troskliwéj, wywarły stanowczy wpływ na całe jego życie. Książkę tę przechowują jeszcze dziś w archiwum na Mount Wernon, późniejszym mieszkaniu Jerzego Wasyngtona.

Naukom szkolnym i pracom domowym Jerzy oddawał się i dalej z wytrwałą pilnością. Zachęty nie było potrzeba; przeciwnie nieraz stosowniejszém byłoby upomnienie, hamujące zbytek gorliwości chłopca. Pałał on bowiem niepokohamowaną żądzą wyzyskania każdego dnia na pomnożenie swych wiadomości i nabrania coraz większój wprawy. Gorąca i rzetelna chęć doskonalenia się ożywiła go nieustannie.

Nieco dalej, niż pierwszy jego nauczyciel Hobby, mieszkał nauczyciel Wiliams, który udzielał nauki w zakresie nieco obszerniejszym; do jego więc szkoły uczęszczał teraz Jerzy. Tu obznajomił się z początkami rachunkowości kupieckiej; a chociaż był to przedmiot suchy, uczeń ożywiony silną wolą pokonania trudności, z zadziwiającą szybkością i w téj nauce zdążał do celu. W ogóle można powiedzieć, że względem różnych zakresów nauk młody nasz uczeń zajmował stanowisko zdobywcy; rozum, wola, pamięć stanowiły arsenał jego broni, która stawała się coraz ostrzejszą i coraz świeższym jaśniała blaskiem, czém częściej jój używał. Leniwi i niedbali

współuczniowie wydawali mu się istotami pogardy godnemi. W tym czasie zbierał on sobie wszelkiego rodzaju wzory pism, używanych w stosunkach życia potocznego i kupieckiego. Jeden z tych zbiorów pod tytułem: „Piśmienne sprawy“ zawiera w sobie zapisy, weksle, rewery, kwity, cesye, pełnomocnictwa, umowy o dzierzawy, i kontrakty w ogóle, testamenty — a wszystko pisane jak najstaranniej z odróżnieniem większymi głoskami słów, szczególniejsze mających znaczenie.

W tych latach Jerzy coraz więcej oddawał się i ćwiczeniom ciała, o których już powyżej była wzmianka, zwłaszcza od czasu, kiedy wiedział, że go przeznaczono do marynarki. Rozumiał on, że kto ma wstąpić do służby wojskowej, ćwiczyć i hartować powinien ciało, tak dla łatwiejszego ponoszenia wszelkiego rodzaju trudów i niewygód, jakoteż i dla nabrania sił i zgrabności. Dziś jeszcze pokazują w pobliżu posiadłości jego ojca miejsce, gdzie młody Jerzy przerzucił wielki kamień przez rzekę Rapahanok. Również dzielnym stał się on jeźdźcem; ku zdziwieniu swoich dosiadał najdzikszego konia i doskonale nim kierował.

Tymczasem Wawrzyniec poczynił już był stosowne kroki celem wyjednania Jerzemu miejsca na flocie; nadszedł też i patent kaddecki; czyniono więc przygotowania do jego wyjazdu. Ale gdy się zbliżyła ta chwila, zawahała się matka. Raz jeszcze zasięgnawszy rady macierzyńskiego serca i rozumu, postanowiła nie puszczać wyrostka tak wcześnie w świat, całkiem mu obey. Wszakże nie słabość macierzyńska poddała jój to postanowienie. Słyszała ona wiele o surowém, po części dzikiém życiu marynarskiém; zawahała się więc i złąkla w stanowczej chwili planu, którego wykonanie byłoby pozbawiło młodziutkiego syna rad serdecznych matki, życzliwości i pomocy rodziny. Uszanowanie i miłość ku matce ułatwiły Jerzemu pogodzenie się z losem i wyrzeczenie się przyszłości, z którą już przez czas dłuższy był się oswoił. W latach późniejszych dziękował matce za troskliwość, z jaką wzięła była pod rozwagę przyszłą jego dolę.

Nim pójdziemy w ślad z dalszym rozwojem życia naszego bohatera, wspomniemy przedtem jeszcze o jednym szczególnie charakterystycznym, z którym już wcześniej spotykamy się w życiu chłopca. Jerzy spisywał dziennik, w którym pokrótce zdawał sobie sprawę ze wszystkiego, co go żywo zajmowało. Prócz tego zapisywał w nim treściwe zdania i myśli, które bądź wyczytał w książkach, bądź

słyszał od ludzi mądrych i doświadczonych. Był to ważny czynnik w jego kształceniu się, a i ty, młody czytelniku, doznałbyś na sobie zbawiennych tego środka skutków, gdybyś poszedł za przykładem młodziutkiego Jerzego. Jeden rozdział jego dziennika ma napis: „Przepisy zachowania się w towarzystwie i podczas zabaw“. Zawiera on ważniejsze i mniej ważne prawdy; przytoczymy tu ich szereg; raz, że charakteryzują w właściwy sposób usiłowania moralne młodziutkiego Jerzego, powtóre w nadziei, że może który z naszych równie młodych czytelników ze zbioru tego wybierze niektóre dla siebie, chwyci za pióro i wypisem tym rozpocznie swój własny dzienniczek. Oto wyjątek z dzienniczka Wasyngtona:

„Gdy się znajdziemy między ludźmi, nie czynmy nic takiego, coby w czémkolwiek uchybiało uszanowaniu względem członków towarzystwa.

W obecności drugih nie mrucz sobie pod nosem i nie bęgnij palcami lub nogami.

Nie spij, kiedy drudzy mówią; nie siedź, gdy drudzy stoją; nie mów, kiedyś milczeć powinien i nie idź dalej, kiedy drudzy zatrzymują się w miejscu.

Nie obracaj się ku nikomu tyłem, zwłaszcza gdy z nim rozmawiasz; nie ruszaj stołem lub pulpitem, na którym ktoś pisze lub czyta; nie opieraj się o nikogo.

Gdy spotkasz osobę starszą lub poważniejszą, zatrzymaj się i ustąp jęj; w drzwiach lub w ciasném przejściu jęj zostaw pierwszeństwo.

Osobom, urząd lub dostojęństwo piastującym, należy się przy każdej sposobności pierwszeństwo; młodszy z nich, powinni tym, co bądź urodzeniem bądź innymi przymiotami stoją z nimi na równi, okazywać uszanowanie, chociażby nie zajmowali publicznego stanowiska.

W rozmowie o interesach mów krótko i zwięźle.

Odwiedzając chorego, nie baw się w lekarza, jeśli się nie rozumiesz na sztuce lekarskiej.

Nie ucz sobie równego tego, co on sam umie i wykonywa, bo to traci zarozumiałość.

Jeśli ci przyjdzie radzić komu lub go karcić, zastanów się naprzód, czy masz to uczynić jawnie czy w cztery oczy, czy natychmiast, czy przy innęj sposobności, i w jakich to masz uczynić

słowach. Gdy kogo ganisz, nie okazuj ani śladu gniewu, lecz czyn to łagodnie i uprzejmie.

Wszelkie upomnienie, gdzie i kiedykolwiek ci udzielone, przyjmuj z wdzięcznością; jeżeliś zaś świadom swój niewinności, tedy powiedz to ganiącemu cię na miejscu stosowném i w porze dogodnej.

W tém, w czém komu przyganasz, sam bądź wolny od przygany; bo przykład daleko skuteczniej działa niż nauka.

Nie pozwalaj sobie względem drugich słowa obrażającego; nie lżyj i nie przeklinaj.

Nie wierz łatwo pogłoskom, na szkodę drugich rozsiewanym.

Ubieraj się skromnie i nie staraj ubiorem budzić w drugich podziwienia; ubiór niech będzie stosowny i wygodny. Stosuj go do ubioru równych sobie, jeżeli ubierają się przyzwoicie i porządnie, stosownie do czasu i miejsca.

Jeżeli dbasz o cześć własną, szukaj stosunków z ludźmi prawnymi; lepiej bowiem stać samemu, aniżeli żyć w złém towarzystwie.

W zabawach strzeż się złości i zawiści; tym bowiem sposobem dowodzisz łagodnego i uprzejmego umysłu; ilekroć zaś budzi się namiętność, słuchaj rozumu.

Bądź grzecznym i uprzejmym, ale z uczuciem twém nie wyrywaj się zbyt naprzód; pozdrawiaj pierwszy, słuchaj, co kto mówi, i odpowiadaj; nie zamyślaj się, kiedy masz mówić.

Gdy dwóch się spiera, nie stawaj po stronie żadnej, jeśli cię nie wezwano; w zdaniach swych nie bądź upartym; w rzeczach obojętnych łącz się z większością.

Nie gań cudzej ułomności, bo to rzecz rodziców, nauczycieli, przełożonych.

Myśl, nim co powiesz; mów wyraźnie; nie wyrzucaj słów nagle, lecz mów porządnie i dobitnie.

Gdy drugi mówi, słuchaj uważnie i nie przeszkadzaj tym, którzy go chcą słuchać. Jeżeli kto w mowie się zatnie, nie pomagaj mu, skoro cię o to nie prosi; nie przerywaj mówiącemu i odpowiadaj, gdy skończył.

Nie spiesz się z opowiadaniem nowin, jeżeli nie jesteś przeświadczony o ich prawdziwości.

Wypowiadając o czémś swe zdanie, czyn to spokojnie i ostrożnie, chociażby ten, kto cię słucha, należał do najniższych.

Jeżeli starszy z kim mówi, słuchaj, nie mów i nie śmiej się.

Nie bądź rozwlekłym w mowie; nie zbaczaj od rzeczy i nie powtarzaj często tych samych myśli.

Przy stole nie złość się, cokolwiekby się działo; a jeśli ci co sprawia przykrość, nie daj po sobie poznać; bądź wesół, zwłaszcza jeśli masz gości, bo wesołość jest dodatkowym do uczyty półmiskiem.

Mówiąc o Bogu albo o jego własnościach, czynź to z powagą i uszanowaniem. Rodzicom bądź posłusznym i czcij ich, chociażby byli ubogimi.

Zabawy twe niech będą męskie, ale nie grzeszne.

Staraj się małą iskrę boską, którą zowią sumieniem, utrzymać żywą w sercu swoim...

II. Pomiary pól.

Kiedy matka zaniechała zamiaru oddania młodziutkiego syna do marynarki, Jerzy uczęszczał ciągle do szkoły Wiliamsa i w końcu głównie uczył się miernictwa polowego. Nauce téj oddawał się do ukończenia piętnastego roku życia; głównie zajmując się geometryą, a szczegółowo tą jéj częścią, którą trygonometrią zowią. Ostatniego lata pobytu w szkole pomierzył on pola i łąki do szkoły należące, tudzież posiadłości najbliższych jéj osadników. Pracy téj, mającej być dla niego tylko ćwiczeniem, dokonywał z taką sumiennością, jak żeby już był zaprzysięgłym inżynierem. Wszystko, co z nią pozostawało w związku, rysunki, obliczenia, dowody i wykazy wypracował z największą ścisłością. Nigdzie nie ujrzałeś słowa dopisanego, nigdzie najmniejszej plamki. Jeśli pisząc był się pomylił, tedy pomyłkę tak usunął, że tylko najwprawniejsze oko dopatrzyć mogło delikatnego jéj wytarcia lub wyskrobania. Widocznie byłoby potrzebą jego charakteru, przestrzegać we wszystkim, czego się tknął, największej staranności. Przytém dbał także o ład i układ pracy, ułatwiający każdemu w niéj się rozpatrzenie. „Nigdzie nie spostrzegłeś — powiada Irwing — pośpiechu, niedbałości, a nawet połowicznego zbycia roboty. Nawyknienie to w młodości cechowało go przez całe życie, pozostał mu on zawsze wiernym, a lubo stanowiska, jakie zajmował w późniejszym życiu, nieraz nasuwały mu zawiłane do rozwiązania zadania, lubo kłopotliwe i niebezpieczne

stosunki przygniatały go brzemieniem trosk, zawsze umiał on znaleźć czas, aby wszystkiemu podołać, a to podołać jak się należy. Przyswoił on sobie urok metody czyli sposobu pracy, który sam już cuda czyni.“ Prócz matematyki nauka w innych przedmiotach, jaką pobierał Jerzy, małe miała rozmiary. Zdaje się, że w szkole onęj nie obznajomiono go nawet z najgłówniejszymi prawidłami języka. Wnosić o tém można z jego zapisków, w których często spotyka się myłki gramatyczne. Ale i w tym względzie świadomość braków i silna wola pokonały wszelkie trudności. Jak ziomek jego Franklin, podobnie i Wasyngton sam sobie był nauczycielem. Pilne zastanawianie się i porównywanie, uważne czytanie dzieł wzorowych, sprawiły, że później ustnie i pisemnie wyrażał swe myśli, czystym i poprawnym językiem. Świadczą o tém pozostałe po nim pisma, w których dowiódł mistrzostwa stylu. Sama nauka języka byłaby go do tego nie doprowadziła; czystość, prostota i prawda, stanowiące jego pisanja zalety, były tylko wiernym jego charakteru wyrazem i odbiciem.

Za szczęście uważał sobie młody Wasyngton to, że stosunki jego rodzinne umożliwiły mu częstszy wstęp do kilku wykształconych rodzin. U brata, którego Bóg pobłogosławił szczęśliwem małżeńskiem pożyciem i dostatkiem, bywał często. O kilka mil stamtąd znajdowała się rozległa teścia Wawrzyńcowego posiadłość Belwoar. Właściciel jój, Wilhelm Fairfax, miał za sobą przeszłość w czyny bogatą. W Anglii urodzony, wczesnie wstąpił do wojska, odbył kilka wypraw wojennych, a później mianowany był przez rząd angielski gubernatorem jednej z wysp wschodnio-indyjskich. Teraz od lat kilku żył w Wirginii, gdzie przez czas dłuższy sprawował urząd prezesa królewskiej rady w koloniach. Dom tego doświadczonego i uprzejmego męża, którego rodzinę składało kilku wykształconych i miłych synów i córek, otwarty był także dla Jerzego. Że ten, z natury ciekawy, nie mało się uczył w takim towarzystwie, to rzecz łatwa do zrozumienia.

Ale jeszcze jedną znakomitą, a oraz zajmującą osobę poznał Jerzy w domu teścia brata swojego. Był to szlachcic angielski, krewny Fairfaxa, i tegoż co on nazwiska, z którym przez ożenienie się brata spowinowacił się i Jerzy. Lord Fairfax był to mężczyzna blisko sześćdziesięcioletni, wzrostu niepospolitego (przeszło na sześć stóp wysoki) chudy i kościsty, o jasnych oczach, ostrych rysach i orlim nosie. W Anglii odznaczył się był i mieczem i piórem.

W posagu za żoną spadły nań bardzo rozległe posiadłości w Wirginii, a mianowicie cały obszar pomiędzy rzekami Rapahanokiem i Potomakiem, sięgający aż po góry Alegańskie. Tymczasowo zarządzał na życzenie krewnego dobrami temi Wilhelm Fairfax: a dopiero przed niedawnym czasem przybył sam lord do Wirginii, aby po raz pierwszy zobaczyć na własne oczy posiadłości swe, prawdziwie książęce. Była to puszcza z całym charakterem i urokiem pierwotnych krain amerykańskich, dopiero niedawno wziętych w posiadanie przez Europejczyków. W ogóle cała Wirginia należała do najpiękniejszych w dzisiejszych Stanach zjednoczonych krajów. Góry Alegańskie dzielą kraj, co do rozległości Prusom się równający, na trzy charakterystyczne części: na górzystą ze sławnym naturalnym skalistym mostem, po pod który w głębokości dwustu pięćdziesięciu stóp huczy wśród pionowych skał strumień Cedrowy; na część wschodnią z piaszczystymi i bagnistymi wybrzeżami morskimi i na urodzajną, falistą część zachodnią, sięgającą po rzekę Ohio. Ziemia téj prowincyi po największej części nadzwyczaj żyzna. Obfitość bujnych traw żywć może ogromne stada bydła i owiec. Jawor, klon, dąb, orzech, drzewo tulipanowe, lipa, wiąz, jasion, osika, maniola, kasztan, czereśnia i śliwa, po których wije się dzikie wino i inne pnące się rośliny, tworzą prześliczne lasy, obfitujące w rozliczną zwierzynę, a wody w ryby różnego gatunku.

Tak piękną, jaką przybywszy na miejsce, znalazł lord Fairfax, wcale nie wystawiał sobie Wirginii. A ileż to uroku miała praca około przekształcania przestrzeni lasów pierwotnych i ziemi, pługiem nietkniętej, na obszary żywiące człowieka i służące mu za podstawę do stałych siedlisk, a z niemi i do cywilizacyi! Jakżeż jałowem wydało mu się życie w stolicy ze wszystkimi sztucznymi przyjemnościami w obec rozkoszy, nasuwających się czynnemu osadnikowi wśród pierwotnego lasu, zwłaszcza że widok osady Wilhelma Fairfaxa pokazywał mu wyraźnie, co z dzikięj przyrody uczynić może praca i przemysł ludzki. Uczucie, budzące się w duszy na widok usiłowań i pracy ludzkiey w onych odwiecznych lasach, skreślił Francuz Chateaubriand (Szatobryan) w słowach następujących: „Jakież czarujące połączenie życia społecznego z pierwotnym stanem przyrody! Poza tym pobliskim gajem eypryсовym, pięknej resztkie puszczy nieprzebytej, spostrzegam obszar ziemi, po raz pierwszy w łań zamienionęj; kłosa chwieją się złotemi falami niedaleko korzeni ściętych dębów; pełny snop, jednego lata dziecię, stoi na

miejscu powalonego, tysiącletniego drzewa; grube chmury dymu z wypalonych lasów ciągną się po urodzajnych równinach a pług ryje zwolna pomiędzy ich szczątkami swe, pełne znaczenia skiby; miernicy wytykają granice nowej własności; ptastwo drapieżne opuszcza swe gniazda; jaskinie dzikich zwierząt zamieniają się na przestronne chaty, a każdy odgłos uderzenia siekiery jest jakby proroctwem słowem, zapowiadającym błogosławieństwo, które niebawem zapanuje nad temi niwami.“

Wśród takich to stosunków postanowił stary, ale jeszcze jary lord Fairfax osiedlić się w pobliżu osady krewnego i nigdy już nie powracać do Anglii; a nim własny zbudował dom, zamieszkał w Belwoarze u krewnego.

Dodać jeszcze należy, że, prócz zapału do zajęć życia osadniczego, nęciła starego lorda niemało i knieja. Był on zapalonym myśliwym; osobiście lubił polowanie na lisy, w których obfitowały lasy wirgińskie. Okoliczność ta w oczach namiętnego myśliwca nowego dodała krajowi uroku. Wprawdzie jeden jeszcze nasuwał się kłopot. Do wypraw swych myśliwskich stary lord potrzebował towarzysza; ale gdzie tu było znaleźć go byłemu oficerowi kawalerii i zapamiętałemu swego czasu jeźdźcowi? Zkąd w puszczy amerykańskiej wziąć jeźdźca, któryby był mu dotrzymał miejsca zwłaszcza na pagórkowatych, pełnych zarośli obszarach, po których jeszcze nigdy nie stapała noga ludzka? Ale i na to znalazła się rada. Czytelnik sobie przypomni, że nasz młodzieńcy Jerzy z własnego popędu nie zaniedbywał jazdy konnej, a ponieważ we wszystkiem, czego się tylko jał, starał się doprowadzić do pożądanego skutku, przeto i w jeździe konnej mało kto z rówieśników mógł być mu sprostać. Otóż w nim namiętny, mimo siwizny, myśliwiec znalazł pożądanego towarzysza. Lord zwyczajem panów angielskich miał konie wierzchowe i psy; więc gdy nadeszła pora polowania, Jerzy codziennie z rana towarzyszył mu do lasów, a rzadko kiedy wracali do domu bez zdobyczy.

Lord miał tylko część swych rozległych obszarów widział na własne oczy; a nawet nie miał ochoty przedzierania się przez całą, gdzieniegdzie nieprzebytą puszcę, aby w całości oglądać swą posiadłość. Ale natomiast postanowił uczynić jój pomiary, a to tém bardziej, że się dowiedział, iż w niektórych jój stronach osiedlili się osadnicy, wcale prawa do tego nie mający. Otóż już dla uporządkowania na przyszłość stosunków własności ze względu na

dzierżawców jak i osadników sąsiednich, trzeba było dokonać pomiaru posiadłości. Rozchodziło się tylko o pozyskanie zdolnego człowieka, który, oprócz należytej znajomości rzeczy, posiadałby był w równym stopniu sumienność i rzetelność, a nadto i nie mały zasób odwagi. Lord, Wilhelm Fairfax i Wawrzyniec Wasyngton rozbięrali sprawę tę w kółku poufném; a kiedy zastanawiano się nad wyborem miernika, Wawrzyniec przełożył prace miernicze, rysunki i obliczenia, które niedawno wykonał był Jerzy, mierząc posiadłość brata. Narada skończyła się na tém, że lord przypatrzawszy się operatom szesnastoletniego Jerzego, postanowił powierzyć mu pomiary swojej posiadłości. Jerzy przyjął ofiarowane mu zajęcie, będące dla niego zaszczytnym dowodem zaufania. A nadto nastroczała mu się sposobność wydoskonalenia się w zawodzie. Za pracę, której sam już dla wprawy byłby się podjął z ochotą, lord zapewnił mu sówite wynagrodzenie; wynosiło ono według zapisku w dzienniku Jerzego, dziennie dublon, czyli wedle wartości naszych dzisiejszych pieniędzy, przeszło piętnaście zł. reńskich. Poczem Jerzy udał się do matki z prośbą o przyzwolenie. Łatwo pojąć, jaką radością napełniała go sama myśl, że będzie mógł powiedzieć matce o zaszczytnęj i korzystnęj propozycji; również i to naturalna do odgadnienia, że rozumna matka, ciesząc się zaszczytem syna, chętnie przyzwoliła na zajęcie, nastroczające młodzieńcowi sposobność doświadczenia sił własnych.

III. Trzy lata w puszczy.

Młody Wasyngton był silnój, prawie atletycznój budowy ciała, wzrostu wysokiego, co w połączeniu z poważném zachowaniem sprawiało, że wydawał się starszym, aniżeli był w samęj rzeczy. Toteż nikomu nie przyszło na myśl, obchodzić się z nim, chociaż dopiero miał lat szesnaście, jakby z wyrostkiem. Cechowały go powaga, stanowczość, otwartość i skromność.

Na wiosnę 1748 roku udał on się w towarzystwie Jerzego, dwudziestodwuletniego syna Wilhelma Fairfaxa, i sługi murzyna, na swą wyprawę mierniczą. Wszyscy trzej wybrali się konno. Wówczas piękną łańcuch gór Sinych stanowił zachodnią granicę zamie-

szkanęj Wirginii. Góry te trzeba było przebyć, aby się dostać w okolice, w których miał robić pomiary Jerzy. Szczyty gór pokrywały jeszcze śniegi i lody, kiedy doliny pokryła już wiosna rozliczném kwieciami. Przychodziło jeźdźcom naszym przebywać przestrzenie skaliste i gęszcze, aby zdążyć do celu. Największe przeszkody stanowiły potoki górskie, wezbrane wodami tających śniegów. Ale odwaga młodzieńcza i rzutkość pokonały wszelkie trudności. Wąwozem przybyli oni na piękną dolinę, około 25 mil angielskich szeroką, największą w całej Wirginii. Czystą rzekę, która ją przezryna, nazwali dla jej piękności Indianie „córą gwiazd“.

Nasz Jerzy z zapałem opisuje w swym dzienniku piękności okolicy. Ale od dnia, w którym rozpoczął pomiary, nie masz już więcej opisów. Od téj chwili zajmuje go tylko przyjęty na się obowiązek. Rzadko kiedy nasza karawana odpoczywała w chacie leśnego mieszkańca. Jerzy i towarzysze zazwyczaj pod drzewami około rozpalonego ogniska odbywali noclegi. Płastwo leśne, mianowicie dzikie indyki, stanowiły główne ich pożywienie; kij widłowy służył za rożen, trzaska za talerz.

Zresztą trzeba było być przygotowanym na spotkanie się z Indianami; dlatego też Jerzy i towarzysze byli w broń zaopatrzeni. Indianie, bowiem z przyczyn, łatwych do odgadnienia, wcale nie sprzyjali osadnikom. Uważali oni ziemię tę za swą własność, przybyszów zaś białych za rabusiów. Toż z obojęd strony nie brakło okrucieństw. Od czasu przybycia białych do Ameryki północnej rozpoczęła się na tych wielkich obszarach walka między dwiema, co do usposobień tak nierównymi, rasami. Z jednej strony pierwotni mieszkańcy rasy czerwonoskórój, zazwyczaj o niestałych siedzibach, głównie żyjący z polowania; z drugiej przybysze rasy białej, dawniejsi mieszkańcy Europy, pod względem cywilizacji stosunkowo już wówczas wysoko rozwiniętej; przybysze, którzy w znacznej części uchodząc ucisku i prześladowań w najświętszej, a tém samém i najdrażliwszej sprawie, bo w sprawie wiary, szukali nowej ojczyzny. Byli to więc ludzie zazwyczaj przedsiębiorczy, pełni energii i odwagi, ludzie silnej wiary i zaufania w siły własne, bo słabi i nieodolęzni, ludzie małoduszni nie tak łatwo opuszczają jakiekolwiek, ale już gotowe stosunki, jaki taki byt ustalony, aby się rzucić gdzieś w świat tak odległy, nieznany i narażać się na przyszłość niepewną, bo dopiero własnymi siłami, własną dzielnością zgotować ją sobie potrzeba. Od razu więc była już przewaga po stronie przy-

byłych Europejczyków. Dzielność ich i praca torowała im drogę po rozległych, a nietkniętych po one czasy, obszarach, hojnie od stwórcy wyposażonych, które pierwotni mieszkańcy odłogiem pozostawili. A jeśli mędrzec Pański powiada, że „królestwo się przenosi od narodu do narodu dla niesprawiedliwości i krzywd i potwarzy i dla zdrad rozmaitych“, tedy przenosi się ono i dla niedbałości i nieumiejętności korzystania z darów bożych. Toteż i plemiona indyańskie traciły w obec przedsiębiorczych, pracowitych i przemysłnych osadników grunt pod nogami, a same nawet pozbywały się praw do niego, bo zamiast pójść za przykładem obcych i jąć się pracy, ustępowały w lasy i okolice niedostępniejsze, im pozostawując ziemię do uprawy. A kiedy ciągły ruch i praca nader szybko pomnażały ludność białą, liczba Indian znacznie się zmniejszała. Stosunek rasy jednej do drugiej określił niegdyś w oryginalny, ale prawdziwy sposób naczelnik jednego z plemion indyańskich, zwany od Amerykanów „Małym Żółwiem“, w przemowie do białych. „Niepojęta to rzecz — mówił on — dzieje się z tą białą ludnością. Zaledwie przeminęły dwa pokolenia od waszego na naszą ziemię wstąpienia, a już pokrywacie ją jak roje owadów; kiedy my, którzy kto wie jak długo żyjemy na niej, tak rzadko jesteśmy po niej rozsiani, jak jelenie, na które polujemy. Prawda, że tylko wy biali rozumiecie także z miejsca, nie większego od mojej ręki, takie ogromne wydobywać korzyści. Na przestrzeni, piętnaście do dwudziestu razy tak wielkiej jak ta izba, biali uprawia tyle żywności, że przez cały rok ma z czego żyć zasobnie. Do tego doda jeszcze trochę ziemi porośnięj trawą i ziołami i chowa na niej swoje bydło, które mu dostarcza mleka i mięsa. Tymczasem my czerwoni ludzie, potrzebujemy ogromnych obszarów, bo jeleni, którego zabijamy, abyśmy zaledwie na dwa dni mieli z niego pożywienie, wymaga ogromnego obszaru ziemi, aby dorósł do należytej wielkości. A gdy upolujemy dwieście do trzechset jeleni, znaczy to tyle, jak gdybyśmy spożyli wszystką tę trawę i kuieję, z której one żyją. Biali rozszerzają się jak oliwa na pokryciu, my zaś topniemy jak śnieg w słońcu wiosenném; a jeżeli wkrótce nie wejdziem na inną drogę, to niepodobna, aby rasa ludzi czerwonych dłużej się utrzymała.“ Niestety! do wejścia „na inną drogę“ właśnie za mało uzdolnioną okazała się rasa czerwono-skórych.

Jerzy, który dotychczas nie był jeszcze widział Indian, spotkał raz na swój wycieczce ich oddział, złożony z około trzydziestu

zbrojnych. Jeden na czele niósł skórę z głowy zabitego nieprzyjaciela jako sztandar. Malutka karawana naszych znajomych w niemaleń było się znalazła niebezpieczeństwie, gdyby Indianie byli ich zaczepili; co byłoby niezawodnie nastąpiło, gdyby mała garstka białych okazała była jakąkolwiek trwogę. Tymczasem mały podarek gorących napojów odwrócił niebezpieczeństwo, a nadto nastęrczył im sposobność widzenia tańca wojennego. Indianie zapalili w środku wielkiego miejsca ogień i obsiedli go dokoła. Naczelnik zaczął opiewać ich ostatnie czyny, przyczem głos i ruchy coraz większej nabierały żywości. Wojownicy siedzieli z głowami pochylonemi, jakby w marzeniach pogrążeni. Nagle, jakby obudzony porywającym opisem swych czynów bohatyryskich, zerwał się jeden zbrojny i począł dziwny i dziki taniec. Wnet szedł to ten to ów za jego przykładem, a wreszcie największa ich część skakała w szalonych ruchach około ognia, przerażające wydając krzyki i wycia, raczej do szalejących szatanów niż do istot ludzkich podobni. I muzyki nie brakło przy tém widowisku. Jeden z dzikich bębnił na skórze jeleniej, naciągniętej na naczyniu, do połowy wodą napełnionem; drugi potrząsał wydrążoną i wyschniętą dynią, napełnioną ziarnkami śrótu i przyozdobioną końskim ogonem.

Pomiary wykonywał Jerzy z wielką gorliwością; to też po upływie przeszło miesiąca powrócił do Mount Wernon, złożył lordowi Fairfaxowi sprawę ze swych czynności, za które uzyskał wyraz zupełnego zadowolenia.

Wykonaniem należytem pracy mu powierzonoj, młody Wasyngton złożył poniekąd jakby ostatni na inżyniera egzamin. Sława jego w tym zawodzie była ustaloną, a nim skończył rok siedmuasty, otrzymał patent na publicznego inżyniera, którego pomiary uznawały od tego czasu publiczne władze Wirginii. Po nominacji szły polecenia z różnych stron, a Wasyngton przez trzy lata ciągle był zajęty pomiarami. Jak sumiennie wykonywał swe prace, już i z tego się okazuje, że jeszcze dziś polegają władze i mieszkańcy Wirginii bezwarunkowo na pomiarach, zapisanych pod jego nazwiskiem w księgach urzędowych.

Lord Fairfax poczynił tym czasem przygotowania do osiedlenia się w pięknej stronie swych rozległych posiadłości poza górami Sinemi. Założył on tam posiadłość z 1000 morgów ornego pola i łąk i nazwał ją Greenway Court. Największą część mierniczego swego

trzechlecia przepędzał Wasyngton w pięknej, a jednak tak dzikiej samotności pierwotnych lasów.

Jakaż sprzecznosc z denerwującym życiem wielu młodzieńców po wielkich miastach! Potężne wrażenia pod wpływem pierwotnej przyrody wzmocniły młodego Wasyngtona i jakby go na duszy i ciele nastaliły. Samotność, cisza wśród lasów wzbudziła w nim najszlachetniejsze uczucia i myśli. W przestankach od pracy spędzał on czas bądź u brata, bądź u jego teścia, bądź u życzliwego mu lorda. Towarzystwo z tymi wykształconymi ludźmi sprawiło, że nie zardzewiał i nie zdziczał wśród samotnego w puszczy życia.

Życie to w puszczy stanowiło bardzo ważny w żywocie naszego bohatera okres. Była to pierwsza jego w świat rzeczywisty wycieczka; pierwsza próba życia o siłach własnych. Było początek samodzielnego życia młodego człowieka. Powierzona mu czynność była zaszczytem dla młodzieńca, który poonczas nie doświadczył jeszcze sił swoich; wzbudziła więc w nim zaufanie do samego siebie, a to spotęgowało mu siły, które wzrastały w miarę postępującej pracy. Praca należycie wykonana zjednała mu uznanie, za czem poszło nadanie mu publicznego stanowiska. Była to prawdziwa szkoła życia, którą przeszedł młody Wasyngton i w której będąc przeważnie sam z sobą, dojrzał i na męża samodzielnego; wszystko bowiem, jak okazuje żywot jego dotychczas skreślony, zawdzięczał głównie samemu sobie, swój pilnej i sumiennej około własnego wykształcenia pracy. Wszak, jakśmy widzieli, szkoły, w których się uczył, dały mu tylko szczupły zapas nauki; pomnożył on go do znacznych rozmiarów tylko własnych sił wyteżeniem. Jakaż to wymowna, dla ciebie, młody czytelniku, skazówka! Jaki zachęcający przykład! Nie spuszczaaj się więc na szkołę, która powinna być dla ciebie tylko pomocą; wytykać ci tylko drogi i wskazywać środki; ty zaś używaj sił własnych, łam się z trudnościami; bo tym tylko sposobem nabyć możesz nauki, która będzie twoją własnością na cały żywot, a nie pożyczką, którą nim się spostrzeżesz, w krótkim czasie zmarnujesz, boś na grosz sam nie zapracował.

Pobył trzechletni w puszczy pod innym jeszcze względem wielkie miał mieć znaczenie w życiu Wasyngtona. Czyż mógł młodziutki miernik pół przeczuwać, że nadejdzie niezadługo czas, w którym te same okolice przyjdzie mu przebywać jako wojownikowi, ba jako naczelnikowi sił zbrojnych, walczących w obronie świętych praw

ojczyzny przeciw uciskowi i gwałtom zaślepionego i wiarołomnego rządu Wielkiej Brytanii! Znajomość pola, na którym toczyć się ma walka, zawsze bardzo wielkie, jeśli nie największe, ma dla stron wojujących znaczenie. Młody Wasyngton rozmierzał teraz jako inżynier przyszlą widownią swych działań wojennych!

IV. Wysłannik.

Ten tylko człowiek wart żyć na świecie, który z życia swego ciągle godziwy czyni użytek. Kto postępuje inaczej, ten właściwie nie żyje, a przynajmniej, nie w tém znaczeniu, w jakiém zadanie życia powinien pojmować człowiek, na podobieństwo boskie stworzony. Kto życie pojmuje po ludzku, ten nie zagrzebie danego mu talentu, czyli sił mu udzielonych; owszem nieustannie rozwijać je będzie na swój i współbraci pożytek; tylko czynność w tym kierunku wyciśnie na żywocie ludzkim godne pochodzenia jego piętno; tylko życie tak spędzone staje się wymownym mądrości wyrazem.

Jerzy Wasyngton miał teraz lat dziewiętnaście; a już mimo tak młodego wieku ziomkowie wysokie o jego męskiej dzielności i rozwadze mieli wyobrażenie. Dowodzi tego zdarzenie, o którym właśnie wspomniemy.

Granice Wirginii niepokoiłi często napadami Indyanie i Francuzi. To spowodowało rząd kolonii do postawienia obrony krajowej na stopę zbrojną. Na ten cel podzielono Wirginią na okręgi wojenne, a na czele każdego postawiono naczelnika w stopniu majora z tytułem generalnego adjutanta i rocznym żołdem w kwocie studwudziestu funtów szterlingów *). Obowiązkiem naczelnika okręgu było wyćwiczyć należycie zdolną do broni ludność w służbie wojсковей.

Ucziwe imię, na które był już sobie założył Jerzy Wasyngton, sprawiło, że i jemu poruczono urząd generalnego adjutanta. Stanowisko to odpowiadało tak bardzo skłonnościom, obudzonym, jak wiemy, już w zaraniu jego młodości. Ale przyjmując urząd, Wasyngton zrozumiał całą jego ważność a swą odpowiedzialność. Toteż zaraz zwrócił całą swą usilność na przyswojenie sobie od-

*) Funt szterlingów znaczy dziesięć zlr. w monecie srebrnej.

powiednich nowemu stanowisku wiadomości. Pod kierownictwem brata i kilku innych oficerów, którzy znali już służbę wojskową z własnego doświadczenia, uczył się sztuki wojskowej i ćwiczył w używaniu broni. Tym sposobem przygotował się do zawodu, w którym miał zajaśnić znaczeniem i sławą.

Nim jednak nadarzyła się sposobność do okazania na tém nowém polu dzielności, przyszło Jerzemu wyświadczyć bratu Wawrzyńcowi bolesną przysługę. Wawrzyńca trapiła choroba piersiowa; lekarze radzili mu pobyt w łagodniejszym klimacie Indyi zachodnich. Chory pragnął towarzystwa Jerzego, a ten bratu, którego od najmłodszych lat tak bardzo kochał, niczego nie byłby odmówił. Toż w jesieni 1751 odpłynęli obadwa, a dopiero następnego lata powrócili do domu. Jerzy w podróży téj wzbogacił umysł nowemi wrażeniami i doświadczeniami, ale przywiózł ze sobą i obawę o życie drogiego mu brata. I sam Wawrzyniec nie łudził się nadzieją odzyskania zdrowia, a wracał do domu jedynie dlatego, aby, skoro ostatnia wybiję godzina, przynajmniej spocząć na wieki w ziemi rodzinnéj. Jakoż umarł niezapowiedzianego po powrocie, opłakiwany od wszystkich, którzy bliżej znali piękne jego charakteru zalety. Zmarły pozostawił wdowę i córeczkę; w testamencie postanowił Jerzego wykonawcą ostatniej swéj woli, przeznaczając mu część znacznego swego majątku. Posiadłość Mount Wernon zapisał córce, a na przypadek jéj śmierci, Jerzemu. Wdowa miała zabezpieczone dożywocie.

Zaledwie uporządkował Jerzy sprawę spadku po bracie, wnet zwrócił się ku obowiązkom wojskowego swego zawodu. Gubernator angielski Dinwiddie podzielił tymczasem Wirginią na cztery główne okręgi i oddał jeden z nich dwudziestoletniemu Wasyngtonowi z obowiązkiem należytego przysposobienia tak oficerów okręgow mu wyznaczonych, jak i żołnierzy do tego wszystkiego, czego wymaga dobrze urządzona służba wojskowa. Byłto nowy i zaszczytny dowód zaufania w zdolnościach i sumiennosci dwudziestoletniego młodzieńca. Gubernator Dinwiddie nie bez ważnéj przyczyny zaprowadził ten nowy podział Wirginii i tém gorliwiej usiłował wznieść na wyższy stopień uzbrojenie milicyi krajowej. Wszczął się bowiem był spór między Anglią a Francją o urodzajny obszar kraju, rozciągający się między rzeką Ohio a górami Alegańskimi. Gubernator angielski uważał go za własność Wielkiej Brytanii, francuski gubernator Kanady z prawami Francyi wystąpił. Obie strony starały się pozyskać dla siebie Indyan, bądź to na tym obszarze osiedlonych,

brać zamieszkałych na pograniczach, aby z rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich mieć w nich sprzymierzeńców.

Każda strona popierała swe roszczenia do owej ziemi prawami; trudno jednak byłoby stanowczo orzec, która miała za sobą słuszość. Ale żadna nie myślała ustąpić; owszem gotowała się do walki.

Tém się też tłómaczy usiłowanie angielskiego gubernatora postawienia tém rychlejszego milicyi na stopie wojennój. Z Anglii wydano rozkaz założenia nad rzeką Ohio dwóch warowni. Ale kiedy pismo, rozkaz ten zawierające, znajdowało się jeszcze na oceanie, Francuzi zajęli już część spornój ziemi. Gubernator angielski postanowił więc wysłać do dowódcy francuskiego pośrednika, raz, aby ostatecznie spróbować zgodnego załatwienia sprawy, powtóre, aby powziąć języka o siłach i stanowiskach nieprzyjaciela.

Do spełnienia tego zadania gubernator wybrał młodego Wasyngtona, uważając go za najodpowiedniejszego do załatwienia tak trudnej sprawy. Chodziło bowiem o przebycie 560 mil angielskich drogi, i to po największej części po okolicach albo całkiem bezludnych, albo zamieszkanym przez plemiona indyańskie, o których usposobieniu żadnej nie było pewności. Po rokowaniach spodziewano się zaś pożytku tylko w razie rozważnego i odważnego ich prowadzenia.

Wasyngton pojmował wprawdzie dobrze trudność zadania, wszelako nie wymawiał się od jego spełnienia. Toż zaraz przysposobił się do podróży. Za towarzyszy wziął swego nauczyciela fechtunku, tłómacza i czterech nadgranicznych mieszkańców, między tymi dwóch indyańskich handlarzy. W słotnym Listopadzie 1753 udał się w podróż. Burze i zawieje śnieżne nie mało dały do czynienia małej drużynie. Trzeba było w bród przebywać potoki, a rzeki przepływać na tratwach, na pędce zbijanych. Zbliżywszy się do celu podróży, zetknęli się nasi podróżni z Indyanami, sprzyjającymi Anglikom. Jeden z ich naczelników opowiadał im, jak dowodził francuskiemu dowódcy błahości roszczeń francuskich i bezprawnego zajęcia ziemi. Rozumie się, że Indyanin nie miał owej mowy napisanej, ale za to pamiętał ją dosłownie i powtórzył Wasyngtonowi. Przełożoną przez tłómacza na język angielski, Wasyngton zapisał do pamiętnika. Mowy téj charakterystycznój, skierowanej do francuskiego dowódcy, część tu przytoczymy. „Wy to, ojcowie — mówił Indyanin — naruszacie pokój w kraju; bo przychodzi-

cie i budujecie sobie miasta i zabieracie ziemię. Ojcowie! przed niedawnym czasem zapaliliśmy ogień u miejsca, które się zowie Montreal, i prosiliśmy was, abyście zostali; a nie szli dalej i nie napadali na ziemię naszą. Otóż proszę was, wróćcie na ono miejsce. Albowiem czynię wam wiadomém, że to jest nasza ziemia, a nie wasza. Ojcowie! proszę was, słuchajcie mnie uprzejmie; w przeciwnym bowiem razie będziem zniewoleni użyć różgi, która tu leży na burzycieli pokoju. Gdybyście byli przyszli w pokoju, jak nasi bracia Anglicy, niebyśmy nie mieli przeciw temu, aby wejść z wami, tak jak z nimi, w stosunki handlowe; ale ojcowie! przychodźcie i budujecie sobie domy na naszej ziemi i gwałtem ją nam zabieracie, czego cierpieć nie możemy. Wy jesteście biali, ojcowie! Anglicy także tacy; żyjemy w kraju między wami i nimi; dla tego też kraj ten jest naszą własnością, a nie waszą ani téż ich. A dał go nam Wielki Duch, abyśmy w nim mieszkali; dlatego proszę was, ojcowie, abyście się cofnęli; prosiłem także braci naszych Anglików, aby to samo uczynili; bo nie chcemy mieć was na karku. Słowa te tu wam przekładam, aby was i ich wybadać i dowiedzieć się, kto z was więcej ma dla nas życzliwości; z tym też chcemy trzymać, a ten niech ma z nami część równą. Nasi bracia Anglicy, słyszeli to; teraz więc przychodzę, aby wam to samo powiedzieć; bo wcale się nie boję, wypędzić was z tego kraju.“ Naczelnik ten dodał jednak, że kilka plemion sprzyja Francuzom.

Po kilku dniach wypoczynku u Indyan Wasyngton ruszył dalej. Sześć tygodni trwała ta nader uciążliwa i niebezpieczna podróż do siedziby dowódcy francuskiego, położonej w północnej stronie rzeki Ohio. Francuz przyjął Wasyngtona uprzejmie; odmówił jednak, skoro się dowiedział o celu jego poselstwa, wszelkiego rozbioru spornej sprawy, oświadczwszy, że jako żołnierz winien tylko wykonywać rozkazy swego rządu. Wobec takiego obrotu rzeczy Wasyngton miał już tylko spełnić drugą część swego zadania t. j. przeświadczyć się o siłach francuskiej załogi i stanie warowni.

Obznajomiwszy się, ile tylko można było, pod tym względem ze stanem rzeczy, wracał nasz wysłannik do domu. Powrót ten równie był uciążliwy i niebezpieczny. Kilkakrotnie załedwie uszli zasadzek Indyan, Francuzom sprzyjających. Przez całe tygodnie odbywali noclegi pod gołym niebem, na ziemi śniegiem pokrytej. Raz o mało nie utonął Wasyngton w nurtach rwącej rzeki. Wspomina on o tém w swym dzienniku: „Tylko na tratwie można się było

przeprowadzić przez rzekę; jedyną i tą lichą siekierą, jakąśmy posiadali, wzięliśmy się do roboty z rana, a skończyliśmy ją po zachodzie słońca. Praca natężona całodzienna zaledwie wystarczyła na przyrządzenie tratwy. Zepchnąwszy ją zaraz na wodę, odbiliśmy od brzegu. Ale na środku rzeki ugrzęźliśmy tak mocno wśród lodów, żeśmy co chwila oczekiwali zatonięcia tratwy a z nią i naszej śmierci. Drągiem, który mi wiosło zastępował, próbowałem dna i i chciałem wstrzymać tratwę, aby przepłynęły kry; ale prąd rzeki taką siłą uderzył o drąg, żeśm wpadł w wodę. Na szczęście chwyciłem się pnia z tratwy sterczącego i to mnie ocaliło. Mimo wszelkich usiłowań nie mogliśmy do żadnego dobić brzegu; nie więc nie pozostawało jeno na bliskiej wysepce szukać schronienia, a tratwę zdać na wolą prądowi.“ Po takich przejściach noc na pustej wyspie do przyjemniejszych zaliczyć trudno. Ba odcięci od lądu nie mogli nawet spodziewać się za dnia ratunku. Ale na szczęście znalazł się ratunek, o jakim wcale nie myśleli. Kry zwały się po jednej stronie wysepki w silny wał, po którym wreszcie na ląd dostali się nasi podróżni.

W połowie Stycznia 1754 Wasyngton wrócił do kraju, a już nazajutrz zdał gubernatorowi z misyi swęj sprawę.

V. Pierwsze czyny wojenne.

Z wypadku rokowań okazało się jasno, że Francuzi postanowili niezłomnie, bronić praw swych, użyciem siły zbrojnej. Toż w takich okolicznościach gubernator angielski uważał za rzecz nieodzowną, uprzedzić nieprzyjaciela i bezzwłocznie rozpocząć walkę; wszelka bowiem zwłoka, pozwalając korzystać z czasu i pomnażać siły, przynosiła korzyść przeciwnikowi. W tym celu zwołał reprezentantów Wirginii, a przełożywszy swój plan, nastawał na spieszne jego wykonanie. Ci jednak z początku chłodno przyjęli propozycye. Odzywały się głosy, że prawa Anglii do korony nad Ohiem położonej, bądź co bądź, bardzo są wątpliwe. A jeżeli król angielski zamierza popierać swe prawa, tedy niech przysze żołnierzy z Anglii. W końcu jednak przyzwolili 10.000 funtów na zaciąg żołnierzy.

Wasyngton okazał był w wykonaniu poruczonej mu misji tyle pod każdym względem zalet tak rozumu jak charakteru, że gubernator nie wahał się ofiarować mu naczelnego nad wojskiem dowództwa; wszelako zaszczytu tego Wasyngton nie przyjął, „gdyż była to wielka na jego młodość i brak doświadczenia odpowiedzialność.“ Gubernator mianował więc naczelnikiem angielskiego pułkownika Jozuego Fry, wykształconego i doświadczonego oficera; Wasyngton zaś uległ namowię i przyjął pod nim stopień drugiego dowódcy z tytułem podpułkownika.

Wkrótce potem wojsko wyruszyło. Wasyngton dowodził przednią strażą, złożoną tymczasem tylko z trzech kompanii. Na pograniczu nad Ohnem nadarzyła mu się sposobność, pierwszą, i to świetną, odbyć próbę ogniową. Napadł bowiem znienacka na oddział ochotników francuskich, wysłany dla zastąpienia mu drogi, i zniósł go do szczytu. Jeden tylko Francuz ocalał się ucieczką, reszta bądź poległa, bądź do niewoli się dostała. Indyanie mieli udział w walce przeciw Francuzom. Jak bardzo pierwsze to powodzenie ożywiło wojenny Wasyngtona zapał, okazuje list pisany w kilka dni po zwycięstwie do gubernatora. „Wasza Ekscelencya — pisze on — możesz się na to spuścić, że nie dam się z nienacka napaść Francuzom, niech sobie przychodzą, z którejkolwiek strony im się podoba. To przyrzekam i z wszelką pewnością przyrzeczenia dotrzymam. Ale i zresztą nie pożałuję najrzetelniejszych usiłowań, abym jeszcze czegoś więcej dokonał. Jeżeli Pan usłyszysz, że mnie pobito, tedy nie wątpię, iż się równocześnie dowiesz, żeśmy spełnili swój obowiązek i dopótyśmy walczyli, dopóki był jeszcze cień nadziei.“

W tym czasie umarł nagle wódz naczelny Fry. Gubernator po raz wtóry ofiarował naczelne dowództwo Wasyngtonowi, a ten, nabrawszy z pierwszego powodzenia otuchy i zaufania we własne siły, tym razem usłuchał zaszczytnego wezwania. Pochód dalszy odbywał się wśród znacznych przeszkód. Z wojskiem angielskiem połączyło się wiele rodzin indyańskich; mężczyźni oddawali dobre usługi, śledząc ruchów i stanowisk nieprzyjaciela; pomoc ich w boju małego była warta. Ale nie brak było między nimi i takich, których, jak się później okazało, wysłali Francuzi na zwiady. Wojsko przechodziło teraz przez górszą okolicę. Konie, których stosunkowo mało było, po drodze ustawały; przyszło więc żołnierzom nietylko dźwigać znaczne ciężary, lecz i naprzemian ciągnąć działa. Wódz pokrzepiał oficerów i żołnierzy słowem i przykładem; koń jego dźwigał zapasy

wojenne, on sam siedł obok niego piechotą. Po marszu kilkudniowym Anglicy stanęli w miejscu, w którym z dawniejszych czasów były podupadłe okopy. Wojsko było do najwyższego stopnia znużone i z sił opadało. Od kilku dni nieustannie lał deszcz, od tygodnia całkiem już chleba zabrakło. W takich tedy okolicznościach Wasyngton postanowił wypocząć dni kilka w cném obozowisku i czekać na dowóz żywności. Tu znaczniejszymi siłami uderzyli na niego Francuzi. Zaledwie świtać poczęło, kiedy nieprzyjaciel, zakryty lasem, rozpoczął ogień na obóz angielski. Wasyngton, gotów do boju, wyprowadził wojsko na równinę. Ale Francuzi utrzymywali dalszy ogień z ukrycia i jak się okazało, mimo liczby przeważającój, nie myśleli o opuszczeniu swego korzystnego stanowiska; przeciwnie widocznie chcieli Anglików zwabić do lasu; co spostrzegłszy zaraz Wasyngton i w porządku cofnąwszy się do obozu, kazał oszczędzać naboju, a strzelać tylko w razie dostatecznej pewności skutku. Francuzi, wzmocnieni posiłkami Indyan stali na wzgórzu, gęsto zarosniętém, skąd przez cały dzień żywy utrzymywali ogień. Tymczasem lał bez ustanku deszcz; rowy okopów napełniły się wodą, broń palna coraz bardziej odmawiała usługi. Pod wieczór Francuzi dali znać, że chcą wejść w układy. Wasyngton sądząc, że nieprzyjacielowi chodzi tylko o rozpatrzenie się w jego obozie, nie przyjął wezwania. Dopiero, kiedy po jakimś czasie Francuzi powtórzyli życzenie układów i zaproponowali, aby wódz angielski wysłał do nich oficera, za którego bezpieczeństwo ręczą honorem wojskowym, Wasyngton przystał na układy, które się skończyły honorową dla Anglików kapitulacją. Rzeczywiste, a nader przykre swe położenie — brakło bowiem prawie zupełnie żywności i amunicyi — Wasyngton umiał pokryć stanowczą wojenną postawą i dzielną obroną. Gdyby bowiem Francuzi byli wiedzieli, w jakim stanie znajdowały się okopy obozu, około których naprawy nic nie było można uczynić, niezawodnie nie byłiby przystali na kapitulację; Wasyngtona zaś przy dalszym oporze czekała zguba nieochybna. Nazajutrz rano wyszli Anglicy z honorami wojskowymi z okopów, które po nich zajęli Francuzi. W tém przykrém położeniu uczynił Wasyngton i osiągnął wszystko, co tylko najlepszego można było osiągnąć; toteż wojsko, gubernator i izba reprezentantów wyrazili mu zupełne uznanie.

Jedna sprawa zajmowała nieustannie już podczas wyprawy Wasyngtona, której jednak nie powiodło mu się wówczas doprowa-

dzie do należytego załatwienia. Był nią nierówny wojska angielskiego i zaciągniętych w Wirginii żołnierzy żołd. Wojsko królewskie pobierało wyższy, zaciągi krajowe żołd znacznie niższy. Byłoby oczywiste i pokrzywdzenie i upośledzenie wojska krajowego, które podczas wyprawy z prawdziwie bohatyrskiem było się męstwem i doło dowód wielkiej, mimo niedostatków, wytrwałości. Po skończonej wyprawie były wódz na nowo poruszył tę sprawę, domagając się słusznego jej załatwienia; a kiedy temu nie uczyniono zadość, a w niektórych innych sprawach różniły się zdania wodza i gubernatora, Wasyngton wystąpił ze służby wojskowej.

Ale niedługo pozwolono mu żyć w zaciszu życia prywatnego. W roku następnym przybyły pod dowództwem generała Bradoka dwa dobrze uzbrojone angielskie pułki, a Wasyngton wezwany, przyjął znów stopień pod dowództwem Bradoka. O pobudkach, które go do tego skłoniły, oświadczył on się całkiem otwarcie przed jednym z przyjaciół swoich. „Nieradbym, aby mi brano za złe, jeżeli sądzę, że zasługuję na jakie takie uznanie, a to z tego względu, iż jedyną pobudką wstąpienia napowrót do służby była tylko godziwa chęć służenia mojej ojczyźnie, a nie ani ambicya, ani chęć zysku. Spodziewam się, że i to może posłużyć za dowód mego twierdzenia, iż mam w nowej wyprawie udział jako ochotnik bez widoków wynagrodzenia i dowództwa; jestem bowiem silnie przekonany, że to nie jest w mocy generała Bradoka, dać mi stopień, który mógłbym przyjąć.“

Niebawem nastąpiła wyprawa nad Ohio. Siły były tym razem daleko lepsze; skutek byłby niezawodnie pomyślniejszy, gdyby odważny osobiście generał Bradok miał być więcej rozwagi, a przynajmniej słucał choć trochę rad dobrych. Ale dzielny rębacz, jak to takich nazywają w wojsku, lekceważąc sobie przeciwnika, był pewien siebie; wiódł więc swe bataliony przy odgłosie muzyki, jakby na plac przeglądu i popisu. Zasięganie języka uważał nie za ostrożność, lecz za wyraz tchórzostwa. Totóż tem śmielej i gęściej zwijali się naokoło nieprzyjaźni Anglikom Indianie, a niebawem Francuzi znali dokładnie i ich siły i kierunek pochodu. Nareszcie dnia 9go Czerwca wpadł Bradok z wojskiem w zasadzkę, z której Francuzi z Indianami połączeni, zajmując stanowisko ubezpieczone, straszny rozpoczęli ogień. Największa część przedniej straży angielskiej poległa, samych oficerów dwudziestu sześciu. Większa jeszcze ilość była rannych. Sam generał Bradok lekkomyślną pewnością siebie

życiem przeplacił. Prawie cudem wyszedł cało z téj klęski Wasyngton. Dopóki żył jeszcze Bradok, on roznosząc jego rozkazy, był wszędzie na miejscach najbardziej zagrożonych, przelatując, co koń wyskoczył, z jednego na drugie. Gdy wódz naczelny poległ, Wasyngton usiłował odwrócić niebezpieczeństwo, gdzie było najgroźniejszém. Często poznawali go nieprzyjaciele jako niebezpiecznego przeciwnika, który swoim dodawał i słowem i czynem ducha i zachęty. Kupa Indyan, którą właśnie przez czas dłuższy wzięła go na cel gęstych strzałów, w końcu zaprzestała ognia, wierząc iż strzały ich dobrze celowane, dla tego tylko okazały się bezskutecznymi, że Wielki Duch wziął tego człowieka w swą osobiwszą opiekę. Jeden z ich naczelników sam to potem opowiadał. Ale i Wasyngton oddawał cześć Bogu, pisząc do przyjaciela: „Wszechmocna Opatrzność ochroniła mnie, że wbrew wszelkiemu ludzkiemu oczekiwaniu, wyszedłem cało; bo cztery kule przedziurawiły mi mundur, dwa konie padły podemną od kul, a przecież zostałem nietknięty, kiedy śmierć słała na około mnie moich towarzyszy.” Jego też odwagi i rozwagi dziełem było ocalenie przynajmniej części wojska; toż w całym kraju jednogłośnie uznano jego dzielność. Hołd ten zasłudze oddał nawet jakiś kaznodzieja z kazalnicy kościelnej w te odezawszy się słowa: „Jako tego, który odznaczył się przy téj sposobności, winniem wymienić jeszcze bohatyrskiego młodzieńca, pułkownika Wasyngtona, i mam to przekonanie, iż Opatrzność ochraniała go i ocaliła w tak widoczny sposób, aby jeszcze znaczne usługi oddał swój ojczyźnie.“

Wasyngton zamieszkał w majątku wiejskim Mount Wernon, którego po zmarłej tymczasem córce brata, stosownie do tegoż ostatniej woli, stał się właścicielem. Zatrzymał jednak stopień i stanowisko jeneralnego adjutanta i zajął się gorliwie milicją swego okręgu, aby przez stosowne ćwiczenia i urzędy przysposobić ją coraz lepiej pod względem wojennym. Zresztą sprzyjało temu i powszechne prowincyi usposobienie; klęska bowiem Bradoka obudziła obywateli Wirginii z dawniejszej nieczynności i obojętności; powszechnie więc uznawano, że nie godzi się skąpić ani pieniędzy, ani ludzi zbrojnych, jeżeli ma się zażegnać coraz groźniejsze niebezpieczeństwo wojny. A ze wszech stron jeden tylko dał się słyszeć głos co do naczelnego dowództwa; mówiono tylko o Wasyngtonie. Matka jego, wcale nie należała, jak to czytelnik przedtem już poznał, do rzędu owych niewiast zbyt tkliwego serca, które na

samą myśl o lada jakim niebezpieczeństwie drżą z przerażenia i starają się wszelki zaród męstwa stłumić w piersi synów. A jednak żywa pamięć niebezpieczeństw, na jakie syn w ostatniej wyprawie był narażony, zachwiała i tém mężném sercem macierzyńskiem; prosiła go więc wśród łez matka, aby na zawsze porzucił zawód wojskowy. Kochający syn starał się ją uspokoić ufnością w Boga, który jest panem życia i śmierci; poczem dodał: „Jeżeli głos powszechny kraju zażąda odemnie przyjęcia dowództwa, a rząd skłoni się do oddania mi go pod odpowiednimi warunkami, tedy odmowę uważałbym za wstyd, co i tobie matko sprawiłoby większą przykrość, aniżeli, gdy zaszczycony naczelném dowództwem, ruszę na pole bitwy.“ Ale bezwarunkowo Wasyngton nie myślał przyjmować tak ważnego, a bardzo trudnego stanowiska. Wziąwszy należycie cel i środki na uwagę, zażądał głosu stanowczego w wyborze oficerów, punktualnej wypłaty żołdu, i zupełnego przekształcenia według zasad, przez niego podanych, sposobu zaopatrywania potrzeb wojska. Warunki te przyjęto; a skutek niebawem okazał ich praktyczność. Później uzyskał Wasyngton w izbie reprezentantów ustawę, nadającą sądom wojennym prawo karania buntowników i zbiegów, a nawet na gry, pijatyki, przekleństwa i rozpustę stosowne nałożono kary. Ale uzyskanie tego wszystkiego nie było rzeczą tak łatwą, jakby się na pozór mogło wydawać. Potrzeba było nieugiętej stałości Wasyngtona, aby doprowadzić nie tylko do uchwalenia, lecz i do wykonania ustaw wymienionych. Co do operacji wojennych, wódz uaczelnny założył sobie przedewszystkiém wyprzeć Francuzów z warowni Duquesne nad Ohnem położonej, co mu się rzeczywiście powiodło. Zajęcie téj warowni wyparło Francuzów z posiadania krainy nad Ohnem; a Wasyngton wywiązał się tém samém z ostatniej i najtrudniejszej części swego zadania, które go kosztowało kilka lat pracy o niezwykłym sił wyczerpaniu. Plemiona czerwonoskóre, z Francuzami sprzymierzone, przybyły do zwycięzców ofiarując pokój, który też z niemi zawarto. Doprowadziwszy sprawę do tych pomyślnych wypadków, Wasyngton złożył naczelne dowództwo i wrócił do zagrody domowej.

VI. Lata pokoju.

Bohater nasz miał lat dwadzieścia siedm, kiedy wracał na Mount Wernon z nadzieją i pragnieniem zgotowania sobie zacisznego domowego ogniska. Jakoż Bóg go pobłogosławił, dając mu towarzyszkę życia w osobie równiej mu przymiotami duszy. Połączył on się ślubem małżeńskim z Martą Kustis, młodą wdową, matką dwojga miłych dzieci, syna sześciolatniego i czteroletniej córeczki. Do majątku męża, który już po śmierci jego synowicy spadkiem posiadłości Mount Wernon znacznie się był powiększył, żona przyniosła w posagu około ćwierć miliona złr. Wasyngton nie miał dzieci własnych, ale natomiast pasierbów swych kochał jakby własne dzieci i z całą ojcowską troskliwością niemi się zajmował. „Spodziewam się — pisał on zaraz po ożenieniu się do przyjaciela — że w zaciszu życia domowego znajdę większe szczęście, aniżeli kiedykolwiek doznałem go na widowni wielkiego świata wśród odmetu spraw różnorodnych.“ Duch jego zawsze czynny ułożył sobie plan przyszłego domowego życia. Skłonność osobista ciągnęła przede wszystkim do rolnictwa i ogrodnictwa. Prócz tego postanowił nie zaniedbywać najszlachetniejszych zatrudnień ducha: sztuki i nauki. Ale już w kilka miesięcy po ożenieniu się widzimy go na widowni publicznej, a to w Wiliamsburgu, siedzibie reprezentacji prowincyi, gdzie deputowani kolonii odbywali obrady. Wasyngton nie starał się o mandat; ani nawet — i to wbrew panującemu w koloniach zwyczajowi — nie szukał stosunków i porozumienia się z wyborcami. Jedynie powszechne zaufanie, jakie w nim pokładano, skierowało uwagę kraju na niego i wyboru dokonało. Plan więc pięknie ułożony swobodnego na łonie rodziny życia, który sobie niedawno jeszcze kreślił nasz z naczelnego wodza osadnik, znów w głąb musiał się usunąć; pragnienie osobistego szczęścia ustąpić musiało poważnemu głosowi obowiązku względem dobra publicznego; patriota Wasyngton zwyciężył osadnika na Mount Wernon; dla sumiennego obywatela wybór nie był trudny.

Niechaj ten kogo sobkostwo zamroczy,
W ozięblém sercu żywi zachcenia;
Kto zaś jak gwiazda przed drugimi kroczy,
Niech gotów będzie do poświęcenia!

Jego zaś najbliżsi mogli się pocieszać, że posiedzenia sejmu trwały w roku zazwyczaj tylko kilka miesięcy.

Kiedy wybór Wasyngtona podano do wiadomości izby, ta postanowiła za pierwszym jego pojawieniem się w sali powitać go uroczyscie. „Polecono marszałkowi, panu Robinsonowi — pisze jeden z współczesnych — aby pułkownikowi Wasyngtonowi wyraził w imieniu kolonii podziękowanie za znakomite usługi, które w wojnie ukończonj oddał ojczyźnie. Skoro pułkownik Wasyngton zajął miejsce, Robinson z wielką godnością wywiązał się z danego mu polecenia; ale popędowi serca i gorącemu uczuciu folgując, dał się unieść zapałowi i w tak gorących przemówił wyrazach, że młody bohater nadzwyczajnie się zmieszał. Powstawszy z miejsca, aby podziękować za okazany zaszczyt, tak bardzo był zakłopotany, a dreszczem silnym przejęty, że ani słowa wyrzec nie zdołał. Poczerwieniał, zająknął się i zamilkł. Z kłopotu tego wybawił go marszałek z tą przytomnością ducha i zręcznością, jaka byłaby uczyniła zaszczyt Ludwikowi XIV w najwspanialszych i najszcześniejszych chwilach życia. „Usiądź panie Wasyngton — rzekł on z łagodnym uśmiechem — skromność twoja równa się męstwu twojemu; a to przewyższa wszelką pochwałę, jaką zdołałbym wyrazić w słowach.“

Nieraz już uczyniono spostrzeżenie, że właśnie znakomici ludzie, kiedy poraz pierwszy mówić mieli wobec liczniejszej publiczności, nie mogli się pozbyć nieśmiałości i zakłopotania. Jakaż temu przyczyna? Oto ludzie, duchem wyżsi, wiedzą, ile to pracy i doświadczeń potrzeba, aby nabyć wiadomości dokładnych i ustalić sobie zdanie; skromni więc w ocenianiu własnych sił, tém wyżej cenią i rozum i doświadczenie ludzi w znacznej liczbie zebranych, kiedy wysokie o własnych zdolnościach wyobrażenie, a lekceważenie duchowego zasobu słuchaczów, łatwo pociąga za sobą wystąpienie zbyt pewne siebie, a czasem nawet zuchwalstwem trącające. Toż owa głębszym naturom właściwa nieśmiałość tylko zwolna ustępuje. Tak się więc rzecz miała i z Wasyngtonem. Wprawdzie nie stał on się nigdy mowcą o świetnej i porywającej wymowie, ba nawet mowy we właściwem znaczeniu nie miał; mimo to wpływ jego i działanie jako deputowanego nadzwyczajne miało znaczenie. Z tą samą sumiennością, jaką widzieliśmy we wszystkich dotychczasowych jego czynnościach, zastanawiał się nad sprawą, o której radzić miała izba. Żywe poczucie obowiązku łączyło się u niego z żywem usiłowaniem rozszerzania duchowego swego widnokręgu rzetelną pracą. A ponieważ odznaczał się wielką bystrością sądu i obrad sobie nie lekcewżył, lecz słuchał całego ich toku z wiel-

kiem zajęciem i uwagą, przeto każde jego, zazwyczaj krótkie przemówienie, zawsze prawie przyczyniło się do wyjaśnienia sprawy i znaczny wpływ wywierało na jęj ostateczne załatwienie. Ile razy zabrał głos, mówił prosto, bez wszelkich ozdób krasomowczych; nigdy bowiem nie gonił za pozorami, lecz rzecz samą miał na względzie. Zaczém poszło, że nieraz kilka ściśle do przedmiotu odnoszących się uwag wystarczyło do nadania tokowi obrad zupełnego obrotu. Gdy wstał, aby przemówić, wszyscy z natężoną uwagą oczekiwali słów jego. „Jakiego zdania jest Wasyngton w tój lub owęj sprawie?“ pytanie to często można było słyszeć w kołach deputowanych. Pałał on gorącą chęcią i na tém polu działania służyć rzetelnie i na pożytek ojczyzny. Wyrażało się to w całym jego jestestwie, w całym zachowaniu się i zewnętrzném nawet wystąpieniu; bo nigdy nie widziano w nim chociażby tylko pozoru lekkości. Prawie nigdy nie spóźnił się na posiedzenie, nigdy go też przed zamknięciem obrad nie opuścił. Więc i w tęp mąż ten na wskrós szlachetny okazał się patryotą sumiennym, i wiernym swemu obowiązкови. Zatem też poszły ten wpływ jego i znaczenie w izbie. Wywierał on go wagą i prawdą całej swęj istoty; kiedy gonienie za pozorami, przybieranie i odgrywanie roli, chociażby zręczne, rychlej czy później samo się zdemaskuje, a ludzie, prawdą żyjący, prędzej jeszcze na niem się poznają. A ten sam na stanowisku poważném, tak poważny mąż, jakżeż swobodnym, prawie po dziecięcemu wesołym umiał być na łonie rodziny i w kole drogich przyjaciół!

Na uwagę zasługuje rada, którą Wasyngton dał później synowcowi, starającemu się o mandat poselski. „Jeżeli chcesz — mówił on mu — pozyskać uwagę słuchaczów, tedy taka moja rada: mów rzadko i tylko o sprawach ważnych, z wyjątkiem spraw, które tyczą się twych wyborców; a w pierwszym razie poznaj najpierw dokładnie sprawę. Nie daj się nigdy unieść nieprzyzwoitej chęci wyrwania się naprzód, i nie polegaj zbytęcznie na swojém zdaniu. Ton imponujący, chociaż czasem odniesie zwycięstwo, zawsze jednak niesmak wywoda.“

Wasyngton miał, jak się już wyżej rzekło, wielki pociąg do zatrudnień życia wiejskiego, na zaspokojenie tęp skłonności pozo-stawała mu większa część roku. Mount Wernon był też prześlizczném miejscem. „Dom stał na wzgórzu z lekka wzniesioném. Szczyt wzgórza, z którego piękny i wspaniały odsłaniał się widok na bieg

i brzegi Potomaka, pokrywał las. Zabudowania, dom bezpośrednio otaczające, a zgoła cały skład gospodarstwa, były mniej więcej w gęście angielskim. Posiadłość dzieliła się na folwarki, przeznaczone na uprawę różnego rodzaju z osobnymi do tego robotnikami. Ale znaczna jej część zawsze jeszcze pokryta lasem, poprzerynana głębokimi dolinami i potokami, jeleniom, sarnom i lisom dawała schronienie. Całe pobrzeże lesiste nad Potomakiem od Mount Vernon do Belwoaru, posiadłości Wilhelma Fairfaxesa, a nawet dalej z całym obszarem lasów, pagórków i malowniczych wzgórz wystających, dostarczało sposobności do najrozmaitszych rozrywek.“ Tak opisuje posiadłość Wasyngtona biograf jego Irwing; on zaś sam o niej powiada: „W całych Zjednoczonych Stanach nie masz posiadłości piękniej położonej; leży ona w okolicy wysoko wzniesionej i zdrowej, pod stopniem szerokości, zarówno oddalonym od skrajnych upałów i zimna, nad jedną z najpiękniejszych rzek w świecie, nad rzeką obfitującą w każdej porze roku w różne gatunki ryb. Tłumią się w niej sardale, śledzie, karpie, jesiotry itp. Na przestrzeni przeszło dziesięciu mil rzeka ta stanowi granicę posiadłości. Należy do niej kilka znacznych rybników, bo brzeg w całej długości do łowienia ryb się nadaje.“

Wielka posiadłość w Wirginii stanowiła w owych czasach jakby małe państwo. Dwór, mieszkanie właściciela, było jakby siedzibą rządu; dom poboczny zajmował tak zwany steward czyli dozorca niewolników; był to pierwszy minister małego państwa. Z jego mieszkaniem łączyły się kuchnie, warsztaty, stajnie i stodoły. Gromada murzynów pełniła służbę we dworze i w zabudowaniach; większa ich liczba pracowała po polach. Chaty murzynów tworzyły wieś małą. Każda chata miała ogród dobrze uprawiony, na podwórcach było pełno drobiu; przed chatami dokazywała zazwyczaj na słońcu czarna dziatwa murzyńska.

Oto obraz posiadłości Wasyngtona w zarysie. Na nim, jako na tle, raczy sobie czytelnik uzupełnić obraz tego, tak naszemu bohaterowi miłego, miejsca. W koloniach było wówczas wielu właścicieli, którzy, jak niegdyś Merowingowie frankońscy swym marszałkom pałacowym, na stewardów całkiem zdawali rządy swych posiadłości, żądając tylko wypłaty dochodów, za które dogadzali wszelkim swym zachceniom. Na Mount Wernonie nie zachowano takiego trybu. Wasyngton był panem i ojcem w swém małym państwie. Prawie codzień zwiedzał pola, łąki, rybniki, młyny, konno

we fraku żółtym ze złożonymi guzikami. Neumann, autor historii Stanów zjednoczonych, tak kreśli obraz jego osoby: „Pełne godności zachowanie się Wasyngtona wolne było od pychy, jego silna wola od uporu i zarozumiałości. Równa harmonia cechowała jego zewnętrzną postać. Olbrzymia budowa ciała umiarem i pięknnością miłe czyniła wrażenie; podobny on był do wspaniałego budynku, którego zupełna symetria pojedynczych części czyni miłym dla oka. Gorącą jego duszę utrzymywał w korbach jasny rozum. Jego męstwo nigdy nie zamieniło się w zuchwałe śmiałkostwo; ostrożność nigdy w bojaźń. Pewny sąd jego wspierała trwała pamięć. Pilność i pracowitość nie czyniły go nigdy ponurym, nietowarzyskim.

Kiedy z rodziną miał jechać do kościoła albo w odwiedzinę do krewnych lub przyjaciół, wówczas zaprzęgano cztery konie do karety od parady. Czarna służba: woźnica i dozorca, wdzielali świąteczną liberyą.

Ale może już się nasuwało czytelnikowi pytanie: jakżeto dziać się mogło, że ów szlachetny Wasyngton trzymał niewolników? Otóż, kto sobie zadał takie pytanie, niech przedewszystkiém rozważy następujące okoliczności. Wasyngton urodził się w społeczeństwie; w którym istniała niewola. Zwyczaj kraju pierwsze na każdym, kto się w nim urodził i wychowuje, wyciska swe piętno. Kto więc zabiera się do wydawania sądu o jakiegokolwiek historycznej osobie, a spuści z uwagi panujące w owym czasie zwyczaje, wyobrażenia i prądy duchowe, ten nigdy prawdziwego sądu nie wyda. A jeżeli tego ważnego względu nie pominął, wtedy dopiero nabywa prawa pytanie wtóre: „Jak ten, o którym sąd wydać przychodzi, zachowywał się względem owych czasu swego panujących zwyczajów i wyobrażeń? Niewola była niezawodnie bardzo czarną w ustroju stosunków społecznych plamą, a osobliwie u narodów i państw chrześcijańskich. Trudno o większy spryt i bystrość w wynajdywaniu powodów i dowodów, jak w sercu samolubném. Królowi „arcychrześcijańskiemu“ Ludwikowi XIII wystawiano rzecz w sposób następujący: „Wolni murzyni nie przyjmują wiary chrześcijańskiej; obróćmy ich w niewolników, a wówczas z łatwością nawrócimy ich na wiarę prawdziwą! Prócz tego, plemiona murzyńskie ciągle ze sobą w wojnie zostające, mają zwyczaj zabijania swych jeńców wojennych; zaprowadźmy niewolą w naszych koloniach, a wówczas zamiast zabijać, będą ich nam sprzedawali. Tym sposobem ocalimy

im życie, a przeto niewola stanie się dla nich dobrodziejstwem." Wykład ten rzeczy trafił do przekonania króla, a w następstwie bezprawie, przez Portugalczyków zaprowadzone i wykonywane, i u Francuzów prawo zatwierdziło. Nie brakło i innych jeszcze argumentów. Dowodzono często, że rasa murzyńska więcej do zwierząt niż do ludzi zbliżona, że niezdolna do jakiegokolwiek cywilizacji, zatem już dlatego, ba nawet już dla samej swjej czarnej barwy, przeznaczona na niewolnicze białym usługi. Niezadługo też niewolnictwo weszło w zwyczaj w koloniach portugalskich, francuskich i angielskich, a w hiszpańskich po odkryciu Ameryki zakwitło. Liczbę gwałtem uprowadzonych murzynów obliczono na 40 milionów. Ale za grzech ojców ciężko później odpokutowały dzieci, a w czasach najnowszych zwrócenie murzynom praw ludzkich, dawniej im odjętych, okupić przyszło kosztem życia szlachetnego Linkolna i krwi strumieniami, w bratobójczej przelany mi walce.

Ale wróćmy do historyi Wasyngtona i aby niesłusznego nie wydać wyroku, zadajmy sobie, jak się już powyżej rzekło, pytanie: „Jak też on zachowywał się w téj sprawie wobec panującego zwyczaju czasu i narodu, w którym się był wychował? Otóż na pytanie to możemy najpierw odpowiedzieć: Wasyngton był swych murzynów troskliwym ojcem; o tém zaś, co dla nich później uczynił, powiemy na końcu naszego opowiadania. Nie obarczał swych niewolników ciężkimi pracami, ale i próżnować im nie pozwalał. Próżnowanie uważał za rzecz szkodliwszą, aniżeli pracę nawet ciężką. Cała przyroda jest wielką pracownią. Członki organizmu, które już nie pracują, obumierają. Pożyteczna praca utrzymuje ciało i ducha ludzkiego. Próżnowanie jest początkiem duchowego i moralnego upadku; człowiek, który zaniechał wszelkiej pożytecznej pracy, puszcza swe myśli na bezdroża. Dlatego głęboką prawdę zawierają słowa: „Próżnowanie jest początkiem wszelkiego występku.“ Kto drugimi kieruje, ten niech pamięta o godziwém i stosowném ich zatrudnianiu. Każdy ma co najmniej jednego pod swoimi rozkazami: siebie samego! Otóż każdy powinien o tém pamiętać, aby ten jego podwładny nie próżnował! Praca nad samym sobą jest pracą najwyższą, ale ten tylko nad sobą pracuje, kto usiłuje pracę, którą się zajmuje, podnosić na stopień coraz większej doskonałości. W tym względzie dana jest każdemu człowiekowi możność doskonalenia się, czy pracuje igłą, pługiem czy piórem. Dopóki człowiek pracuje z przymusu, dopóty znajduje się na niskim sto-

pnia ludzkiego bytu, narażony na niebezpieczeństwo zmarnienia. Trzyma go tylko wpływ z zewnątrz nań działający. Przymus jest zapewne dla niego zbawiennym, chociaż, tylko za jego pomocą, nie osiągnie wysokiego stopnia dzielności.

Ale od chwili, w której człowiek zaczyna wykonywać ze świadomością pracę swego zawodu, a to nie tylko aby zadość uczynić obowiązkom, lecz aby także przez tę pracę własnego podnosić ducha, od téj chwili staje on na wyższym stopniu rozwoju. Wszyscy dobroczyńcy rodu ludzkiego taką drogą wzniesli się na te wyżyny, z których jak gwiazdy jaśnieją dla przyszłych pokoleń. Pracowali oni w pocie czoła, ale zarazem z tą błogą myślą, że praca ich zarówno im, jak drugim, zbawienne przyniesie skutki. Trudy i praca nadały wartość ich życiu. Wprawdzie droga ku onym wyżynom prowadzi przez różne szczyble; wszelako, kto na nią wstąpił, temu dana jest możność wzniesienia się na najwyższe ludzkiej szczęśliwości stopni. A na drogę tę może wejść każdy bez różnicy stanowiska, które zajmuje. Niech tylko ze świadomością wypełnia obowiązki, jakich zawód po nim wymaga, a droga do szczęścia sama się mu utoruje. Tymczasem wielu szuka go gdzieś daleko, goniąc światami w marzeniach swych i uczuciach, aby ze złamanymi skrzydłami spaść w rozczarowaniu na to samo miejsce, w którym czekało nas szczęście. Praca sumienna, oto różyczka czarowna, która nas czyni szczęśliwymi. Pracą taką wznosił się tak wysoko Wasyngton i Franklin, a przykład ich nie pozostał w Ameryce bez naśladowców. Wspominał o tém w wykładzie publicznym Francuz Laboulaye: „Czém dalej postępujemy, tém jaśniej pojmujemy także, że człowiek, który pracuje, prawdziwym jest szlachcicem; ten zaś, który nic robi, chociażby był bardzo bogaty, długi względem społeczeństwa zaciągą“.

„W Stanach Zjednoczonych uważają człowieka, który nic nie robi, za rodzaj publicznego nieprzyjaciela. Matki nie pozwalają mu zbliżyć się do córek, a każdy rozumny odmawia mu szacunku. Kto nic nie robi, ten w końcu złe robić będzie, wnioskuje Amerykanie; a wnioskuje całkiem słusznie i prawdziwie.“

Nie mała część czasu schodziła Wasyngtonowi na regulowaniu pracy wyrobników, na jej doglądaniu i wyznaczaniu im właściwego zakresu. Rzekło się już przedtém, że z całą sumiennością i zarówno tego przestrzegał, aby niewolnicy nie pracowali nad siły, ani też czasu nie marnowali na próżniactwie. W dziennikach jego

można wyczytać, jak sobie postępował, aby właściwą w tym względzie zachować miarę. Uważał pilnie, jak postępowała w pewnym czasie ta lub owa praca; podług tego więc oznaczał na dzień jej wymiar, mając zarazem na względzie wszelkie możliwe przeszkody.

Najlepszą zaś pomocą był mu własny udział w pracy. Część nieszczęścia, jakie niewola sprowadziła na świat, z tego wynikła, że u zamożnych właścicieli wyrobiło się zdanie, jakoby wszelka praca około roli lub rzemiosła uwłaczała ich godności i stanowisku. Kiedy więc niewolnicy wyłącznie wykonywać musieli wszystkie prace „poniżające“, czuli się także jakby kłatwą obciążeni. Wyobrażenia tego rodzaju prawie powszechnie panowały w świecie starożytnym; w świecie chrześcijańskim nie brak ich było w stanach uprzywilejowanych wobec ludu, do gleby przykutego lub odrabiającego pańszczyznę; a w koloniach amerykańskich na nowo zaczęły bardzo brać górę. Zresztą czy dziś całkiem już znikły, nietrudno sobie zdać z tego sprawy.

W Mount Wernon niewolnicy widywali nieraz pana swego, zajętego pracą w ogrodzie i na polu. Raz z kilkoma murzynomizajmował się on przez kilka dni pracą około urządzenia pługa nowój konstrukcyi. Pług się dobrze udał; poczem wyjechawszy z nim w pole, Wasyngton sam zorał kawał ziemi, oddawna odłogiem leżącej. Jednemu z młynów groziła powódź zniszczeniem. Wśród ulewy Wasyngton wyruszył na czele swych ludzi na miejsce, kierował robotą i sam, gdzie była potrzeba, pomagał, aby uratować budynek. Zrana wstawał on bardzo wcześnie; w zimie znacznie przed świtanie. Wszelako nie ujmował sługom snu, aby wstając mieć już opalony pokój. Przeciwnie, wstawszy raniutko, sam zapalił w piecu, czytał i pisał aż do śniadania, które w lecie o siódmej, w zimie o ósmej, spożywał w kole rodzinném. Pijał zazwyczaj dwie filiżanki herbaty i spożywał przytem kilka placuszków z mąki kukurudzianej. O godzinie drugiej następował obiad, zazwyczaj skromny, mimo znacznego, jaki pan domu posiadał, majątku. Przy obiedzie pijał Wasyngton szklankę wina; zwykłym jego napojem było cienkie piwo lub jabłecznik. O godzinie dziewiątej wieczorem udawał się na spoczynek.

W wielkim porządku utrzymywał Wasyngton książki gospodarskie; listy wpisywał do osobnych książek. To też we wszystkiém panował ład; oparty na jasnym przeglądzie i najdokładniejszej znajomości spraw wszelkich.

Najgłówniejszą gałęzią gospodarstwa plantacyjnego była uprawa tytoniu, który stanowił znaczny przedmiot wywozu do Anglii. Mount Vernon miał na Potomaku kilka miejsc do ładowania towaru. W krótkim czasie zyskał Wasyngton u kupców obcych taką sławę rzetelności i prawości, że paki i ładunki z jego znakiem odbierano bez wszelkiej rewizyi.

I z gościnności słynął Mount Vernon; świadczą o tem także dzienniki Wasyngtona. Znajdują się w nich nazwiska prawie wszystkich tych mężów, którzy później zasłynęli w dziejach kolonii. Zwłaszcza w porze polowania na lisy, w domu Wasyngtona, dla którego polowanie było przyjemną rozrywką, zbierali się myśliwi z całej okolicy. Odwiedzali go często prócz starego lorda Fairfaxa, ludzie wyższego wykształcenia. Towarzystwa ich szukał Wasyngton; było ono dla niego potrzebą, podobnie jak czytanie dobrych książek.

Ale i poza obręb własnych posiadłości sięgało działanie Wasyngtona. W sąsiedztwie ciągnęły się bagniska na obszarze, około 30 mil angielskich długim, a na dziesięć szerokim. Wasyngton powziął myśl osuszenia go; a obmyślawszy plan poddał go pod rozprawę światłych obywateli okolicy. Sam wierzchem i pieszo czynił potrzebne na ten cel badania. Była to robota połączona z wielkimi trudami, a na wielu miejscach nawet z niebezpieczeństwem. Na niektórych miejscach były gęste lasy, w których długie pasma mchów, z gałęzi drzew wiszące, czyniły tém trudniejszém przebycie. Gdzieindziej przedzierać się przychodziło przez gęszcze cierui i pięcycych się roślin. Często koń po brzuch zapadał w bagno; w takich razach trzeba było pieszo ostrożnie dobijać się po chwiejnej powłoce do brzegu, aby dać ratunek koniowi. Tym sposobem rozpatrzył on się i zbadał w różnych stronach ów dotychczas nieużyteczny obszar, a uzyskawszy jasny całości obraz, wypracował szczegółowy plan osuszenia go i przekształcenia w ziemię urodzajną. Sama okoliczność, że Wasyngton plan podawał i nie wątpił o możliwości jego wykonania, wystarczyło wielu zamożnym obywatelom do bezwłocznego zawiązania na ten cel towarzystwa; a zaledwie kilka lat upłynęło, już znikły bagna, a piękny obszar, w pola orne i łąki zamieniony, zajął ich miejsce.

Rodzaj życia, któryśmy tu naszkicowali, w wysokim stopniu uszczęśliwiał znakomitego męża; toż niczego goręcej nie pragnął nadto, aby tym samym sposobem upłynęła mu i reszta pozostającej mu jeszcze pielgrzymki ziemskiej. Ale znać inaczej postanowiła

Opatrzność, kierująca losami jednostek i narodów całych. Niebawem bardzo zmienił się w koloniach stan rzeczy. To o czém ten, prawu wierny a Anglii jako swój macierzy z miłością oddany, syn nigdy nie marzył, stało się rzeczywistością: między koloniami a krajem macierzystem powstało nieporozumienie, spór, walka, i te to okoliczności wyrwały go z zacisza domowego.

VII. Aż do kongresu generalnego.

Nasamprzód trzeba się nam rozpatrzeć w przyczynach sporu między koloniami a Anglią, ich macierzą.

„Biada gwałcicielowi prawa!“ Gwałcicielem tym, który wywołał spór a w końcu walkę, był rząd angielski. Według konstytucyi angielskiej można było nakładać nowe podatki tylko za zgodą reprezentacyi krajowej. Tymczasem rząd angielski wcale na to nie zważając, powziął naraz myśl opodatkowania kolonii bez pytania ich reprezentantów. A przyczyny tego nierozważnego i nieprawnego kroku szukać należy w następujących okolicznościach:*)

Część amerykańska „siedmioletniej wojny“, owiej walki, którą Anglia, jako aliantka Prus prowadziła wówczas przeciw flocie i handlowi francuskiemu, znacznie była powiększyła i wzmocniła potęgę Anglii na stałym lądzie amerykańskim.

W pokoju paryskim, zawartym między Anglią i Francją dnia 10. Lutego 1763, Anglia otrzymała z ówczesnych amerykańskich posiadłości Francyi Akadyą czyli Nową Szkocyą, Kanadę i przyładek Breton; zwróciła wprawdzie Hawanę Hiszpanii, ale za to przyłączyła Florydę i wszystkie hiszpańskie posiadłości na wschód od rzeki Misisipi do swych kolonii, które od tego czasu na lądzie stałym nie potrzebowały się lękać żadnego groźnego nieprzyjaciela. Ale też kolonie wzięły były rzetelny w onęj walce Anglii przeciw Francyi udział, a odwagą i wielkimi ofiarami zasłużyły na pymsłność, jakiej od tego czasu doznawały.

*) Der Funke ins Pulverfass. Geschichtliche Inbelskizze von Fr. Hofmann.

Była to strona pomyślna i korzystna wspomnionój wojny; nie brakło jednak i odwrotuój jój strony. Wojna pochłoneła ogromne sumy. Dług publiczny Anglii doszedł do wysokości stu czterdziestu sześciu milionów funtów szterlingów, a ciężar ten przygniatał duczliwie płacących podatki. Ztąd też to nawinęła się rządowi angielskiemu myśl samowolnego opodatkowania kolonii amerykańskich.

Nastąpiło to już było 5. Kwietnia 1764 w tak zwanój ustawie cukrowój, która na cukier, syrop, melasę, kawę, indygo, na wszystkie wina prócz francuskich, ba nawet na wszystkie wschodnio-indyjskie jedwabne i półjedwabne chustki nałożyła znaczne opłaty, które ten sam za sobą pociągały skutek, co zupełny zakaz handlu tymi artykułami.

Otóż akt ten był naruszeniem wyraźnych praw krajowych; a każdy rzetelny człowiek przyzna, że to jedno z najsmutniejszych zjawisk w dziejach, kiedy rząd, którego świętém zadaniem jest, być stróżem prawa, sam daje przykład jego pogwałcania. Otóż spór ten między Anglią i koloniami dostarcza dowodu takiego niecnego wiarołomstwa rządu.

Że rostopni mężowie polityczni w Anglii przewidywali skutki takiego postępowania, świadczy o tem rozmowa lorda Kramdena z Franklinem, którąśmy przytoczyli w poprzednim życiorysie.

Ale rząd angielski, widocznie zaślepiony, na nic nie zważał. Krok ten bowiem jego nie tylko był nieprawny, ale ze względu na dotychczasowe obchodzenie się z koloniami w wysokim stopniu nierozsądny. Rząd ten wyzyskiwał kolonie amerykańskie w interesach handlowych i przemysłowych Wielkiej Brytanii w sposób najbezwzględniejszy; a pomimo że w nich właśnie miał dla swych towarów targowisko najkorzystniejsze, macoszego swego postępowania z niemi wcale nie osłaniał. Prócz tego zapomniał także i o tém rząd angielski, że wojna, którą niedawno przedtém prowadził był z Francją w Ameryce, była właśnie szkołą, w którój się kształcili dzielni i odważni wojownicy amerykańscy. A jeżeli już przed ową wojną Amerykanie chwycili się byli handlu przymytniczego, aby przynajmniej tym sposobem, ile możliwości, nie dać się Anglikom wyzyskiwać, tedy teraz, kiedy owa ustawa o cukrze nowe nałożyła ciężary, handel ów pokrywomy przybrał olbrzymie w całym znaczeniu słowa rozmiary. Rząd chciał wprawdzie temu zapobiedz i w tym celu mianował wszystkich oficerów marynarki w stacyi amerykańskiej urzędnikami cłowymi z prawem przetrząsania wszystkich

statków; ale środek ten nietylko złemu nie zaradził, lecz przeciwnie tylko je więcej pogorszył. Amerykanie towarów jawnie nie kupowali; opłat więc nie było; rząd nie materyalnie nie zyskał, a moralnie stracił; bo nietylko, że nakładając samowładnie opłatę, dopuścił się być bezprawia, ale nadto jeszcze i rozporządzenie swe cofnął. Nie uczynił on jednak tego w celu usunięcia bezprawia, lecz z inną również nieczystą pobudką. Upatrzył on sobie inny artykuł do opodatkowania i to taki, bez którego w jego przekonaniu, nie będą mogły się obyć kolonie. Artykułem tym miały być wszelkie umowy i kontrakty, które w kraju o tak rozwiniętych handlowych i przemysłowych stosunkach zawierano w bardzo znacznej liczbie. Jakoż uchwała parlamentu angielskiego z 22. Marca 1765 zaprowadziła stempel na wszelkie kontrakty i umowy w koloniach. Druga równoczesna uchwała nałożyła na kolonie obowiązek dostarczania kwatér i żywności wojskom królewskiemu, które nie mogły być umieszczone w koszarach i warowniach. Jak rok przedtem przeciw opodatkowaniu cukru, tak teraz przeciw stemplom równe we wszystkich częściach kolonii powstało oburzenie. W sejmie Wirgińskim Patryk Henry założył uroczyste protestacyą przeciw ustawie stemplowej. Z wymową porywającą wystawił on nadużycia i bezprawia Anglii. „Cezar — zawołał on — znalazł swego Brutusa, Karol I. Kromwela, a Jerzy III. —“

„Zdrada stanu! zdrada stanu!“ — przerwał mu prezes izby; ale Henry po małej przerwie rzekł dalej:

„a Jerzy III. niech korzysta z onych przykładów!“ D. 1. Listopada, kiedy ustawa stemplowa obowiązywać zaczynała, w wielu miastach uderzono w dzwony na znak żałoby. W Nowym Jorku wydrukowano ustawę tę zamiast z herbem królewskim, z trupią głową a z podpisem: „Anglii głupota a Ameryki zguba“, i rozdawano ją po ulicach. W Masachusecie spalono mnóstwo arkuszy stemplowanych, a obraz mistrza stemplów przybito na szubienicy. Nie brakło i rozruchów. Ale wszelkie te manifestacye sprawiły w Anglii mniejsze wrażenie, niż opór spokojny, który przygotowano w sposób poważniejszy. Toż nagle wszystkie sądy nie miały nic do czynienia, bo strony wołały sprawy między sobą prywatnie załatwiać, niż udawszy się na drogę sądową znaleźć się w konieczności, używania papieru ostemplowanego. Na krok najbardziej stanowczy zdobyła się reprezentacya prowincyi Masachutetu; albowiem prezes jej wezwał okólnikiem sejmy reszty prowincyi do wysłania na pierw-

szy wtorek Października reprezentantów do Nowego Jorku na walny kongres, „aby rząd kraju macierzystego nie odbierał nadal prośb i wywodów, lecz żeby w uchwałach tego walnego zgromadzenia usłyszał głos połączonych kolonii.“

Na kongres ten przybyło dwudziestu ośmiu delegatów jako zastępców prowincyi Masachusetu Rode-Islandu, Konektekut, Nowego Jorku, Nowego Jerseju, Pensylwanii, Delewary, Marylandu i południowej Karoliny. Narady trwały do 25. Października, a wypadkiem ich była deklaracya praw i zażaleń kolonii, którą w podaniach równie stanowczych, jak poważnych wysłano do brytańskiego parlamentu. Również i stanowczém, a w następstwach bardzo ważném było postanowienie, aby wszelkimi środkami uczynić kolonie niezależnemi w potrzebach ich od kraju macierzystego, i rozwijać wszelkimi siłami własny przemysł. Wreszcie zawiązało się stowarzyszenie najpierw w Konektykucie i Nowym Jorku „w celu utrzymania w całości brytańskiej konstytucyi w Ameryce“. Wybrany przez stowarzyszenie wydział, zawezwawszy najznakomitsze osoby do udziału, wkrótce nadzwyczajny w koloniach wpływ i znaczenie pozyskał. Członkowie tego stowarzyszenia przybrali nazwę „Synów wolności“.

Uspokojenie to, wcale nietajone, kolonii nie wykraczające z granic prawem zakreślonych, poruszyło poważniejsze i w Anglii umysły, i to aż do sfer najwyższych. Wasyngton pisał wówczas do jednego z przyjaciół: „Mogę panu donieść jako fakt stwierdzony, że niepodległość nie jest ani życzeniem ani interesem kolonii. Ale możesz pan być pewnym, że żadna z nich nie pozwoli na utratę owych drogocennych praw, tak niezbędnych do szczęścia każdego wolnego państwa, bez których wolność, własność i życie nie mają żadnego bezpieczeństwa“. Że znaczna część obywateli amerykańskich życzyła sobie rzetelnie, aby nie przyszło do zerwania z Anglią, już i z tego widać, że na intencją pokojowego załatwienia sprawy odprawiano po kościołach nabożeństwa, a liczne w tym duchu do króla i parlamentu wysłano prośby. A Wasyngton pisał w tej sprawie do jednego z członków angielskiego parlamentu: „Zniesienie ustawy o stemplach, jakiegokolwiek zawdzięczalibyśmy przyczynie, byłoby dla nas radośnem zdarzeniem; bo w razie, gdyby parlament Wielkiej Brytanii trwał w postanowieniu wykonania tej ustawy, obawiam się, aby skutki tego zdzierstwa nie stały się dla kraju macierzystego i kolonii straszniejszymi, aniżeli teraz przewidywać można. Dlatego

też wszyscy, którzy głosować będą za zniesieniem onęj ustawy, mogą być pewni wdzięczności każdego poddanego korony brytańskiej, a ja z całego serca pana o swojej zapewniam“.

Usposobienie to stanowcze kolonii z jedną, tudzież prośby zatrwożonych angielskich kupców i przemysłowców z drugiej strony, wpłynęły nakoniec na króla; jakoż na uroczystém posiedzeniu d. 18go Marca 1766 w Westminsterze zniósł ustawę o stemplach, wszelako z deklaracją przyznającą Wielkiej Brytanii „prawo panowania pod każdym względem nad koloniami i nadawania im ustaw.“

Na wiadomość o tém pokojowém zwycięstwie wielka nastąpiła radość; ale trwała tylko krótko, bo owa do zniesienia ustawy stemplowej dodana „deklaracya“ nie zgadzała się z dotychczasowém życiem konstytucyjnym kolonii, które rozwinięte w poszczególnych prowincjach na wzór angielski, opierało się na jak rozleglejszym samorządzie. Z téj przyczyny Samuel Adams, jeden z najgłośniejszych obrońców praw kolonii, który zyskał był sobie zaszczytną nazwę „Katona północnej Ameryki“ wcześniej przekonał się o niemożliwości zachowania nadal dotychczasowego między koloniami a Anglią prawnopolitycznego stosunku; i dlatego całe swe życie poświęcił walce o niepodległość północnej Ameryki.

Król Jerzy ubolewał nad zniesieniem ustawy stemplowej, uważając krok ten za „nieszczęsne ustępstwo“. Myślano więc znowu w Anglii nad sposobem zmuszenia Amerykan do opłacania jakiegoś podatku, bo wiadano, że byle raz poddali się jakiegokolwiek z Anglii nałożonej opłacie, tedy będą musieli przyjąć wszelkie opodatkowanie, straciwszy prawo do oporu. Wiedzieli to wszyscy Anglicy, ale również i wszyscy Amerykanie debrze to rozumieli; totóż i jedni i drudzy stosownie do tego rzeczy pojmowania postępowali aż do nieuniknionego zerwania stosunków.

Zaraz w roku następnym, w Maju 1767, parlament angielski nałożył koloniom opłatę od herbaty, szkła, papieru i farb malarzkich. Opłata od tych artykułów była bardzo mała. Oznaczono ją tak nisko naumyślnie, czyli, jak to lud nasz mówi, na podrywkę; przypuszczano bowiem, że jako nieznaczną, nie wywoła powszechnego oporu; a obywatele pragnący pokoju zapewne przyjmą ją w przekonaniu, że o rzecz tak drobną nawet sporu wszczynać nie warto. Prócz tego podatek ten miał być użyty nibyto na płace gubernatorów, sędziów i innych urzędników w koloniach, zatem miał pozo-

stać w kraju. Ale pomylił się dowcipny rząd angielski. Nie w ciemę bici Amerykanie poznali się na podstępie. Kupcy bostońscy i całej prowincyi Masachusetu, odpowiedzieli na tę nową ustawę postanowieniem nie kupowania żadnych angielskich towarów — prócz najniezbędniejszych — dopóki cło nie będzie zniesione. Ażeby nie działać tylko na swoją rękę, lecz w wspólnym celu połączyć wszystkie kolonie, Samuel Adams pozakładał w najznacniejszych miastach tak zwane „biura korespondencyjne“, które o wszystkich zajęciach i potrzebnych wspólnych postanowieniach, miały jak najspieszniej podawać wiadomości. Służbę w tych biurach pełnili jak najgorliwiej „synowie wolności“.

Ponieważ Boston uważano zawsze za ognisko rewolucyi, więc rząd skorzystawszy z zamieszki, do której dało powód sekwycenie przez celników statku przemytniczego, obsadził miasto dwoma pułkami, a port fregatą i kilkoma innymi uzbrojonymi statkami zabezpieczył. Rozdrażnienie przez to wywołane, powiększyła jeszcze nadeszła z Londynu oburzająca wiadomość. Wysłannik polityczny prowincyi Masachusetu do rządu angielskiego, sławny Benjamin Franklin, wyjawiał był oszczerczą o téj prowincyi korespondencyą gubernatora Hutchinsona i wicegubernatora Olivera i zażądał oddalenia obudwu z posad. Za to zelżył go rzecznik korony Wederburne nazywając go buntownikiem i najniebezpieczniejszym Anglii wrogiem, tego samego Franklina, którego Pitt sławił jako „zaszczyt Anglii i rodu ludzkiego.“

Ale w chwili téj, kiedy kolonie oczekiwały nowego przez rząd angielski pogwałcenia praw, niemałej doznały niespodzianki, gdy na wniosek ministra lorda Northa 5go Marca 1770 parlament zniósł ustawę cłową z r. 1767. Ale i tym razem ani dobroć, ani miłość ku koloniom były powodem wniosku i uchwały. Interes własny był tego przyczyną; dowiedziano się bowiem z niemałym przerażeniem, że w skutek postanowienia kolonii, aby nie kupować towarów angielskich, handel wywozowy do Ameryki w r. 1769 w porównaniu z rokiem ubiegłym zmniejszył się o 724.000 funtów szterlingów; a w kasach cłowych równie bardzo znaczny ukazał się ubytek. Jednakowoż i tym razem dziwnie sobie postąpił parlament angielski, bo zniosłszy ustawę cłową z 1767, przecież dla utrzymania zasady i. w nadziei, że bardzo małą opłatą zachęci do kupowania, nałożył znów trzy pensy *) cła od funta herbaty. I istotnie niewiele brakło,

*) Pieniądz angielski, jeden penny wartości trzech krajcarów.

aby ponęta była skutkowałą; przynajmniej w prowincjach południowych i środkowych zaczęto już sprowadzać angielskie towary, ale z wyjątkiem herbaty. Ustępstwo w tym punkcie mogło niebawem pociągnąć je za sobą i pod innymi względami; trzeba więc było zapobiedz niebezpieczeństwu w narodzie. „Bacność!“ zawołał Samuel Adams, a „bióra korespondencyjne“ i „synowie wolności“ wyteżyli wszystkie siły, aby utrzymać poprzednie postanowienie względem towarów angielskich. I znów prowincya Masachuset ze stolicą swą Bostonem stanęła na czele, ale też i pierwszych doznała ciosów. W Bostonie przyszło do walki ulicznej z wojskiem. Nazajutrz zgromadził się lud w tak zwanym „starym kościele“ w południowej części miasta i uchwałą swą zmusił gubernatora do cofnięcia dwóch pułków, w mieście załogą stojących, do twierdzy Wiliamsburga. Uroczysty pogrzeb zabitych powiększył rozdrażnienie i opór mieszkańców.

Aby przyprowadzić wolę króla Jerzego, że cło od herbaty ma być dowodem prawa Anglii do opodatkowania kolonii, chwycono się podstępny, do którego zmuszał bardzo krytyczny stan handlu herbatą kompanii wschodnioindyjskiej. Miała ona za monopol herbaty opłacać rządowi angielskiemu rocznie 2,400.000 funtów szterlingów; a tymczasem na składach jej leżało nie mniej jak 17 milionów funtów herbaty, dla których główne targowisko, Ameryka, było dziś zamknięte. Kompania więc oświadczyła gotowość zapłacenia rządowi, byle zniósł cło od herbaty, podwójnego dochodu cła tego. Rząd jednak nie zgodził się na to; natomiast zaś pozwolił jej wywozić herbatę bez cła, przez co można było za bezcen dostarczyć Amerykanom ulubionego ich napoju. Pokusa była więc bardzo wielka. Kupcy w wielu miastach nadbrzeżnych zaczęli się wyłamywać z pod powziętego przez kolonie postanowienia; karność i solidarność w obronie praw chwiać się poczęła. Znów więc potrzeba było wyteżyć wszystkie siły, poruszyć wszelkie sprężyny najgorętszej wymowy, użyć najstraszniejszych groźb, nawet chwycenia za broń, aby zatrwożyć kupców i agentów, a zarazem skłonić wszystkie kolonie do popierania Masachusetu w walce o prawa przeciw Anglii.

A kiedy po twardych przeprawach w zgromadzeniach ludowych wreszcie powszechnie się zobowiązano i nadal nie wpuszczać do kraju herbaty angielskiej, postanowiono także, odprawić liczne statki z zapasami tego artykułu. Powiodło się to w Nowym Jorku i Filadelfii, gdzie kapitanowie okrętów z herbatą, zląkwszy się gro-

źnej postawy mieszkańców, nie wpływając do portów, bezzwłocznie odpłynęli.

W Bostonie sprawa inny przybrała obrót. Tu pierwszy statek z herbatą, „Dartmouth“, zarzucił d. 28go Listopada 1773 w porcie kotwicę. Ludność sprzeciwiała się wylądowaniu; ale gubernator widocznie myślał tylko o zyskaniu czasu. To też ciągnęły się rokowania z miastem aż do 16go Grudnia, czyli dwadzieścia dni od przybycia statku, t. j. do terminu, w którym według prawnych przepisów służyło celnikom prawo wziąć w posiadanie okręt i herbatę przenieść do magazynu. Tymczasem i dwa inne statki z herbatą przybyły do portu. Nastąpiła więc stanowcza chwila. Czuł to każdy, nikt też nie pozostał w domu. Ulice były przepełnione; tłumy ludu, do których z okolicy przybyło 20.000, zebrały się podług zwyczaju w „starym kościele“, aby się porozumieć i przygotować na wypadki najbliższych godzin. Cały dzień upłynął na naradach. Najenergiczniej występował tu Adams i Joziasz Quincy, mowca potężny; a kiedy zapytano obecnych, azali zgromadzenie pozostaje przy dawniejszém postanowieniu, zagrzmiało ze 7000 piersi jednogłośnie: „Tak!“

Natychmiast więc dano właścicielowi statku „Dartmouth“ rozkaz, aby w towarzystwie ośmiu świadków udał się do gubernatora, zażądał paszportu i port opuścił. Zmrok zapada, a odpowiedzi nie ma. Już od godziny znacznie się ściemniło; w kościele, posępnie oświeconym, ludzi jak nabito; usposobienie zgromadzenia coraz groźniejsze. Wreszcie przed szóstą zjawia się właściciel statku ze świadkami i donosi, że gubernator odmówił mu paszportu. Kiedy skończył, powstał Samuel Adams i oświadczył: „To zgromadzenie nie może nic więcej uczynić dla ocalenia kraju!“ W tej samej chwili dał się słyszeć w przedsionku kościoła sygnał wojenny indyjski. Około pięćdziesięciu ludzi, ubranych i pomalowanych nakształt Indyan plemienia Mohawka, od Adamsa i innych z uniesieniem powitanych, przeszło poprzód bramę kościoła ku portowi. Tłum ludzi powalił się ogromną falą za nimi. Mohawkowie skoczyli do łodzi, dostali się na statek „Dartmouth“, którego załoga na widok tłumów na brzegu zgromadzonych, ani myślała o oporze, porozbijali w przeciągu trzech godzin wszystkie paki — było ich 342 — i herbatę w wartości 18.000 funtów szterlingów do morza wrzucili. Taki był czyn nocny „Bostońskiego towarzystwa herbatego“; to owa najdroższa na świecie herbata zaprawiona „w naj-

większym dotychczas czajniku: w zatoce bostońskiej“; to „szturm na herbatę“, który odbył się tak cicho i spokojnie, tak bez wszelkiego krzyku i hałasu, że na brzegu słyszano każde uderzenie siekierą w paki odbijane. Nie naruszywszy zresztą nic na okręcie, Mohawkowie wskoczyli znów do łodzi i znikli tak jak przyszli. W Bostonie, po prowincyi i wszystkich koloniach wywołała wiadomość o tem zdarzeniu radość powszechną, jak żeby każdemu wielki ciężar spadł z serca. Skończyło się wahanie; kolonie „spaliły za sobą okręty“. Iskra wpadła do beczki prochu! Wszędzie brzmiała piosnka ludowa:

„O matko! droga matko! — woła córka z płaczem
Nie obciążaj, proszę, herbaty haraczem.
Zapłacę rzetelnie wartość twój herbaty,
Ale nadto nie dam trzech pensów opłaty.“

„Musisz!“ — krzyknie matka, z złości zaperzona —
„To bunt przeciw matce, ty córko szalona!
Bo czyż można pragnąć własnej matki straty?
Zapłaćże trzy pensy od funta herbaty!“

Po tém zajściu rząd angielski zamknął zupełnie port bostoński. Był to ciężki cios dla miasta, którego handel od chwili zamknięcia komunikacyi z morzem był prawie zniszczony. Bostończycy nie ustąpili. Następnie przełożył rząd angielski parlamentowi w Londynie wniosek, aby z mieszkańcami Masachusettsu wolno było postępować jak z buntownikami. Odzywały się głosy za wnioskiem i przeciw niemu. Jeden z generałów, który z największem oburzeniem ganił postępowanie Bostończyków, oświadczył, że z pięciu pułkami gotów jest przepędzić wszystkich amerykańskich buntowników z jednego końca świata na drugi. Inni, nie tak pochopni do korda, jak ów pałaszowy Bramarbas, przemawiali za Amerykanami. Tak np. dowodził Wilkes, że postępowanie Anglii z koloniami było całkiem niesłuszne i niesprawiedliwe. „Nasi to ministrowie, rzekł on, chcą rozerwać węzły, łączące północną Amerykę z Wielką Brytanią, kiedy koloniści niczego więcej nie żądają, jeno pokoju, wolności i bezpieczeństwa.“ Zaklinał więc parlament, aby zmienił swą względem Amerykan politykę. „Wierzę“, kończył Wilkes, „że możecie doprowadzić do spalenia Bostonu i obsadzenia silną załogą; ale stracić przytém całą prowincyą. Od tej chwili widzę już rodzącą się i wzmacniającą niepodległość Ameryki; widzę, że oparta na swój

wolności, dosięga wielkości państw najzamożniejszych i najpotężniejszych. Chcecież Amerykan popchnąć do rozpaczyny? Dobrze! Ale ujrzycie ich broniących swęj wolności i własności z owęm męstwem, jakie wywołuje nienawiść przeciw tyranii, z męstwem, jakiego nasi sławni przodkowie dowiedli broniąc praw swych zagrożonych.“

Niestety był to głos wołającego na puszczy! Większość parlamentu była tak zaślepiona jak ministeryum; przyjęła więc wniosek, ogłaszając nietylko mieszkańców Bostonu, lecz i całej prowincyi za buntowników t. j. zaprowadzając w nięj tak zwany stan obłężenia.

Uchwała ta parlamentu znaczyła tyle, co wypowiedzenie Ameryce wojny.

Skoro o tej uchwale dowiedziano się w Masachusecie, zgromadzili się reprezentacyi prowincyi w Salemie i wydali odezwę do wszystkich amerykańskich kolonii, aby się zebrały na kongres walny. Wezwaniu temu, prócz reprezentantów Georgii, którzy dopiero później przystąpili, uczyniły zadosć wszystkie kolonie. Kongres zebrał się w Filadelfii *d. 4go Września 1774.*

Ludzie poważni i poważani stanowili większość w tém zgromadzeniu złożoném z 51 członków; między nimi Wasyngton nad wszystkiemi górował znaczeniem. Pisał on już niedługo przed zebraniem się kongresu do przyjaciela w tych słowach: „Przeciw czemu chcemy właściwie walczyć? Czy może przeciw nałożonęj opłacie trzech pensów od funta herbaty, jako trudnemu do ponoszenia ciężarowi? Bynajmniej. O prawo nasze nam się rozchodzi, o które już tak długo spór toczymy.“— „Gdybym miał najmniejszą wątpliwość o prawie angielskiego parlamentu nakładania nam bez naszego przyzwolenia, bez naszych swobód i konstytucyi, podatków, tedy prośby i tylko prośby uważałbym za jedyny środek do szukania pomocy. Ale mam to niezachwiane przekonanie, że parlament brytański tyle ma prawa do sięgania ręką swą do mojęj kieszeni, ile ja do sięgania swoją do kieszeni mojego sąsiada.“

Wniosek, aby obrady rozpocząć nabożeństwem, przyjęto jednomyślnie. Kaznodzieja rozpoczął modlitwę o pomoc bożą dla słusznęj sprawy słowami psalmu 35go:

„Osądź Panie szkodzące mnie, zwalcz walczące przeciwko mnie. Porwij broń i tarczą, a powstań mi na pomoc. Dobądź miecza i zawrzyj przeciwko tym, co mnie prześladują.“

Przystąpiwszy do obrad, kongres uchwalił najpierw „deklaracyą kolonii“, w której jasno i zwięźle wyłożył uzasadnione ich prawa. Poczem ponowiono postanowienie niekupowania towarów angielskich, dopóki nieprawnie nałożone cło nie będzie zniesione. Nakoniec przyjęto adres do narodu angielskiego, memoriał do mieszkańców Ameryki i prośbę do króla. Nie chciano bowiem wykluczyć możność załatwienia sporu jeszcze w ostatniej godzinie na drodze pokoju, a kiedy niektórzy zażądali stanowczego zerwania z Anglią, znaczna większość się przeciw temu oświadczyła. Stanowczo i z godnością odzywał się adres do narodu angielskiego. „Sprawa Ameryki jest teraz przedmiotem powszechnéj uwagi i stała się bardzo groźną. Obowiązek względem siebie samych i potomków naszych, względem was i całej naszej ojczyzny nakazuje, abyśmy pomówili z wami o sprawie tej najważniejszej. Powiedziano wam, że jesteśmy buntownikami, którzy sprzykrzywszy sobie posłuszeństwo władzy, dążymy do niepodległości. Bądźcie przekonani, że tylko oszczerstwo nas o to pomawia. Wiedźcież zatem, że uważamy się za wolnych zarówno z resztą obywateli Wielkiej Brytanii; że żadna na ziemi potęga nie ma prawa zabierać nam własności bez woli naszej, że domagamy się dla siebie wszystkich dobrodziejstw, z konstytucyi angielskiej wypływających; że odmawiamy rządowi waszemu prawa zaprowadzania u nas rządów samowolnych. Czyż sądzicie, że posiadacze ziemi amerykańskiej mniej są panami swéj własności, aniżeli wy swój? Czyż może ocean, który nas dzieli, znieść równość prawa? Mająż poddani angielscy, o trzy tysiące mil od pałacu królewskiego oddaleni, mniej mieć wolności od tych, których tylko kilkaset mil od niego oddziela? Rozum wzdryga się na takie różnice, a wolny człowiek brzydzi się niemi. Pozwólcie nam być tak wolnymi, jak wy jesteście, a związek z wami uważać będziemy za największy zaszczyt, za największe szczęście. Będziemy zawsze gotowi wszystko, o ile nam sił stanie, poświęcić dobru państwa; będziemy wrogów waszych uważać za swoich, interesa wasze za swoje interesa.— Ale jeżeli macie odwagę pozwolić swoim ministrom, aby igrali z godnością ludzką; jeżeli ani głos sprawiedliwości, ani przepisy prawa, ani podstawa konstytucyi, ani uczucie ludzkości nie powstrzymają was od krwi rozlewu: tedy winniśmy wam oświadczyć, że nigdy nie poniżymy się na niewolników ani żadnego ministra, ani żadnego narodu w świecie.“

Ale i król i ministeryum i parlament pozostali w swém zaślepieniu. Nadarmo upominał ziomek swych lord Chatham, największy angielski mąż stanu, napróżno w słowach pełnych zapału słauił słuszną i uszanowania godną sprawę Amerykan. „Jeżeli panowie — rzekł on — przegładnicie nadeszłe z Ameryki dzienniki i pisma, jeżeli weźmiecie pod rozwagę godność, mądrość i stanowczość w postępowaniu kongresu, tedy niepodobna, abyście nie szanowali sprawy Ameryki i nie pragnęli, uczynić jej własną sprawą. Co do mnie, winienem wyznać i oświadczyć, że między największemi państwami świata starożytnego nie znam ani narodu ani państwa, które w tak trudnych i zawiłanych stosunkach byłoby wzniosło się wyżej, niż zgromadzeni na kongres walny w Filadelfii zastępcy Ameryki.“ A przy innój sposobności rzekł Chatham: „Z przyjemnością widzę, że Ameryka stawia nam opór. Trzy miliony równych nam obywateli, którzyby byli gotowi dobrowolnie stać się niewolnikami, byłiby się stali wyborcami narzędziami do zamienienia i nas na niewolników.“

Wszelako słowa te pełne prawdy i godności przebrzmiały bez skutku.

Ale wróćmy do Ameryki. Tu Wasyngton zwraca na się przed innymi uwagę swych ziomek. Nie tylko całe jego życie dotychczasowe, lecz osobiwie zachowanie się na kongresie sprawiło, że ziomekowie w nim największe pokładali zaufanie. Patrycy Henry, jeden z najznakomitszych członków kongresu, zapytany po powrocie do domu, kogo uważa za najznakomitszego męża w kongresie, odpowiedział: „Jeżeli chodzi o wymowę, Rutledge z południowej Karoliny jest niezawodnie pierwszym mowcą; jeżeli zaś macie na myśli gruntowne wiadomości i sąd zdrowy, w takim razie pułkownik Wasyngton bez wszelkiej kwestyi najprzedniejsze w całym zgromadzeniu zajmuje miejsce.“

A że Wasyngton posiadał nietylko znakomite zdolności polityczne, lecz także odznaczył się był i na polu bitwy, więc wszyscy, którzy nabyli przekonania, iż zbliża się czas walki, w nim upatrywali przyszłego obrońcę praw i godności ojczyzny.

VIII. Chrzest ogniowy.

Najlepsi mężowie w Anglii na próżno odwoływali się do uznania słuszności i sprawiedliwości rządu i parlamentu. Nad prowincją Masachusetem zawiśł stan wojenny. Nastąpił potem rozkaz zabrania wszelkich amerykańskich magazynów broni; w Bostonie uczyniono początek. Krzyk oburzenia rozległ się po całym kraju. Teraz trudno było nie widzieć, że tyrania na prawdę zabiera się do zgnięcia Ameryki. Patryoci łączyli się ślubując, że życie dadzą w obrońnię praw kraju. Zabór drugiego składu broni w Konkordzie doprowadził do krwi rozlewu. Przewaga była po stronie Anglików; było ich bowiem 800, Amerykan tylko 80. Dokonawszy swego, Anglicy wracali do Bostonu. Ale odwrót ten stał się dla nich fatalnym; Amerykanie bowiem, którym przybyło nieco pomocy, trapiłi i niepokoiłi ich ciągłymi a niespodziewanymi napadami, dotkliwie zadając straty. Rosły one w rozmiarach zastraszających i z owych ośmiuset ani jeden nie byłby doszedł do Bostonu, gdyby dowódca angielski nie był im przysłał na pomoc oddziału liczącego tysiąc ludzi.

Składu w Konkordzie nie zdołali wprowadzić ocalić Amerykanie; ale ów wypadek odwrotu Anglików, podnosząc w nich zaufanie, wielkie miał dla nich znaczenie. Mieszczanie i wieśniacy, uzbrojeni, jak kto czém miał, stoczyli walkę z oddziałem wojska doborowego i dobrze wyćwiczonego. Strzelali dobrze, umieli podsuwać się pod nieprzyjaciela, korzystać na prędce z lada jakiego wzgórza, z każdego poszczególnego drzewa, kamienia, jako zasłony i z poza niej strzałami trapiłi nieprzyjaciela. Był to sposób wojowania zwany tyralerką, który później powszechnie w wojnach zastosowano.

„Do broni!“ Wezwanie to brzmiało od jednej odosobnionej osady do drugiej, od wsi do wsi, od miasta do miasta. Komu tylko biło serce do niepodległości kraju, kto w poczuciu sprawiedliwości brzydził się tyranią, brał ze ściany strzelbę, przypasywał kordelas i żegnał się ze swoimi. Prości ludzie zamiast mundurów wdziewali na suknie koszule jakby bluzy, od czego nazwano ich koszulnikami; zamożni szli w białych perukach. Niedawno jeszcze drwili sobie angielscy żołnierze z „koszulników i perukarzy“, ale podczas owego powrotu z Konkordu do Bostonu, który bardzo podobny był do ucieczki, odeszła ich chęć drwinek. Ze wszech stron Amerykanie nadciągali ku Bostonowi, który obsadził był nieprzyjaciel. Nieza-

długo 15.000 Amerykan otoczyło od lądu miasto. Pilnowano bacznie nieprzyjaciela, aby go nie wpuścić w głąb kraju. W przykrém położeniu byli Bostończycy, którzy pod okiem nieprzyjaciela ruszyć się nie mogli. Komendant angielski, Gage, obawiając się, aby Bostończycy przy pomyślnéj sposobności nie powstałi przeciw niemu, przyrzekł, że, byle tylko broń oddali, pozwoli im wyjść z miasta i połączyć się ze swymi. Bostończycy uwierzywszy złożyli broń; ale generał postąpił sobie podle, bo zatrzymał ich w mieście jako zakładników.

Na pociechę nieprzyjacielowi, a na zmartwienie Amerykanom, zjawily się pewnego dnia okręty angielskie w porcie Bostońskim. Przywiozły one 4000 żołnierzy pod dowództwem generała Howego, człowieka zarozumiałego, który się przechwalał, że nie masz łatwiejszej sprawy w świecie, jak nauczyć rozumu hołotę amerykańską. Jemu też powierzono naczelne dowództwo angielskiego wojska w Ameryce. Zdaje się, że to, czego się wylądowawszy dowiedział o odwrócie Anglików z Konkordu, zachwiało nieco jego pewność siebie, gdyż nie uderzył od razu, jakby to po jego przechwałkach należało się było spodziewać, na ochotników amerykańskich, obozujących w pobliżu Bostonu. Natomiast ci dali pierwsi nowy znak życia. W nocy usypali szançe blisko miasta. Howe wyruszył z całym swym wojskiem, aby wziąć szançe. Obie strony walczyły z największą pogardą śmierci. Dwa razy strzelcy amerykańscy odparli nieprzyjaciela, i zapewne dalsze byliby wytrzymali natarcia, gdyby nie było im zabrakło naboju. Toż przy trzecim ataku cofnąć się musieli. Odwrot ten wykonali w największym porządku; zresztą i nieprzyjaciel był nadto znużony, aby mógł być myśleć o ich niepokojeniu.

Anglicy utrzymali pole bitwy; ale jakżeż świetnie walczyli niewyćwiczeni ochotnicy przeciw wojsku regularnemu i dowodzonemu przez wodzów doświadczonych! Stracili oni 453 ludzi, Anglikom ubito 1054. „Nigdy — powiadał generał Howe — nie słyszałem o takim rozlewie krwi w tak krótkim czasie!”

Była to bitwa pod Bunkerhilem; chrzest krwawy Amerykan, którzy najzupełniej zasłużyli sobie na pomnik, jaki im później tam postawiono. Każdy czuł to dobrze, że ludzie, takim ożywieni duchem, będą umieli wywalczyć ojczyźnie niepodległość! Wasyngton, usłyszawszy o tej walce, zawołał z radością: „Wolność kraju zabezpie-

czona!“ Szańce zajęli Anglicy; ale to nie uwolniło od obsaczenia miasta, bo Amerykanie pozostali w jego pobliżu.

IX. Wasyngton naczelnym wodzem.

Dnia 10go Maja 1875 zebrał się znowu kongres kolonii. Naradzano się nad środkami obrony dla wszystkich prowincyi. Najczynniejszym w téj sprawie był Wasyngton; jego też obrano przewodniczącym wszystkich komitetów, ustanowionych do spraw wojskowych.

Położenie kraju pociągało za sobą mianowanie naczelnego wodza. W kongresie zasiadali dzielni ludzie, którzy, jako oficerowie różnych stopni, służyli dawniej w wojsku angielskiem. Niejeden z nich miał nadzieję otrzymania naczelnego dowództwa. Już i w pierwszych walkach podczas odwrotu z pod Konkordu i w krwawej potrzebie pod Bunkerhilem, dali się poznać dzielni dowódcy. Nie brakło więc kandydatów, żywo ubiegających się o dowództwo, kiedy tymczasem Wasyngton, tak jak to czynił przez całe życie, niczem i nikomu nie dał poznać, jakoby miał jakie do tego zaszczytu pretensye; tém mniej też wpływał na kogo w swoim interesie.

Wreszcie dnia 15go Czerwca kongres przystąpił do wyboru naczelnego wodza; a kiedy obliczono kartki, okazało się, że wszystkie głosy padły na Wasyngtona, z wyjątkiem jednego t. j. jego własnego głosu. Wasyngton podziękował zgromadzeniu za ten dowód zaufania; przyrzekł, że wiernie będzie służył ojczyźnie; ale zarazem dodał, iż się obawia, czy podoła temu zadaniu. W końcu rzekł: „Jeżeliby nieszczęście udaremniło moje usiłowania, proszę każdego z obecnych w tém zebraniu panów, aby sobie przypomnieli moje otwarte i szczere wyznanie, które tu czynię, że nie myślę, abym siłami memi podołał stanowisku, którem mnie zaszczycono.“ Przyjął on wybór jako wolę Opatrzności, której nieusłuchanie uważał za grzech ciężki; toż postanowił wyteńczyć wszystkie swe siły w nadziei, że Bóg mu dopomoże. Wolny od ambicyi, pojmujący jasno cały ogrom zadania, którego spełnienia po nim oczekiwano, Wasyngton przyjmując wybór spełniał wielką dla ojczyzny ofiarę. Wiadomo nam już, jak lubił spokojne w kole rodzinném pożycie

i ciche wiejskie zatrudnienia, w nich upatrując prawdziwe szczęście; teraz zaś miał stanąć na czele ruchu wojennego, który w razie pomyślnego skutku, na długi czas wyrwał go z koła rodzinnego i siedziby rodzinnej. Ale w duszy męża tego górowała bogobojność i świadomość obowiązku; poddał się woli narodu bez szemrania; a tylko jakby lekki powiew tęsknoty przebija z listów, które pisał tuż po wyborze. „Możesz mi wierzyć — pisze on do żony — jeśli cię najuroczyściej zapewnię, że nie tylko nie ubiegałem się o to stanowisko, lecz ile tylko mogłem, starałem się go uniknąć, raz dla tego, żeby się z tobą i rodziną nie rozłączać, powtóre w przeświadczeniu, że stanowisko to za wielkie na moje zdolności. Miesiąc pobytu w domu więcójby mi przyniósł prawdziwego szczęścia, aniżeli je znaleźć mogę w odmęcie świata, nawet gdyby jakie były po temu widoki. Położę z wiarą zaufanie w Opatryności, która mnie dotychczas ochraniała i wspierała swą łaską, a nie wątpię, że w jesieni w dobrém zdrowiu wrócę do ciebie. Trudy i niebezpieczeństwa wyprawy wojennej nie sprawią mi przykrości. Uczucia przykre pochodzić będą z niepokoju, jakiego ty, jak mi to wiadomo, doznawać będziesz, pozostawszy sama. Toteż proszę ciebie, abyś użyła całej swój stałości i przepędzała czas ile możności najprzyjemniej. Nie mnie prawdziwiej nie uspokoi, jak wiadomość o tém, zwłaszcza gdy mi sama ją doniesiesz.“ — Do przyjaciela pisał Wasyngton: „Sprawa ojczyzny powołała mnie do ciężkiego i niebezpiecznego obowiązku; ale mam nadzieję, że Opatrzność boska, która kieruje losem człowieka, da mi możność, dopełnić go wiernie i szczęśliwie.“

Jako wodzowi naczelnemu wyznaczono Wasyngtonowi pięćset dolarów miesięcznej płacy; ale on stanowczo odmówił przyjęcia wszelkiego wynagrodzenia. O wydatkach, które mam czynić w sprawie publicznej — rzekł Wasyngton — zdam rachunki, a jeśli mi będą zwrócone, tedy stanie się wszystko, czego sobie życzę. Jeden z najznakomitszych członków kongresu, mąż głębokiego wykształcenia, Jan Adams, pisał do przyjaciela: „Dla mnie tkwi coś czarującego w postępowaniu Wasyngtona; jest on panem jednego z największych majątków na stałym lądzie, a przecież porzuca swoje miłe zacisze, rodzinę i przyjaciół, poświęca swój spokój i dla sprawy ojczyzny wszystko stawia na kartę. Zamiary jego szlachetne i bezinteresowne.“ W patencie nominacyjnym, wręczonym naczelnemu wodzowi d. 20go Lipca, wspomniano o jego miłości ojczyzny i męstwie, o rzetelności i sumienności, jakich dowiódł we wszelkich sto-

sunkach i o jego czystém życiu. Ponieważ zbliżał się dzień, w którym Wasyngton udać się miał do armii, przeto, ci co go jeszcze nie widzieli, pragnęli ujrzeć wodza naczelnego. Czyniąc zadość życzeniu oficerów kazał on wyruszyć do przeglądu kilku kompaniom ochotników. Wszyscy byli zachwyceni postawą wodza. „Ideał wodza naczelnego, jaki sobie ukształciła publiczność — mówi Irwing — rzadko kiedy tak zupełnie odpowiedział rzeczywistości. Wasyngton był teraz w pełnej sile życia, miał lat czterdzieście i trzy, okazał się postaci, szlachetnego, spokojnego i pełnego godności obejścia. Kiedy z męskim wdziękiem siedział na koniu, postawa jego wojskowa zachwycała oczy wszystkich, a dokąd tylko się zwrócił, powietrze brzmiało od okrzyków zadowolenia. „Odnaczająca się bystrością rozumu żona Jana Adamsa pisała w liście o wodzu: „W osobie Wasyngtona widzisz połączenie zalet pana i żołnierza, godności, spokoju i uprzejmości, tak miłe, jakiego jeszcze w nikim nie widziałam. Skromność tronuje w każdej linii, w każdym rysie twarzy tej prawdziwie szlachetnej i majestatycznej postaci.“

X. Wasyngton pod Bostonem.

Jak rozważnie kongres amerykański postępował sobie w sprawie, mającej rostrzygnąć o przyszłości narodu, i to może posłużyć za wymowny dowód, że w tej stanowczej chwili uważał jeszcze za swój obowiązek odezwać się do serca króla. Uczynił on to w prośbie, której każde słowo technie winnem dla majestatu królewskiego uszanowaniem. „Prosimy o pozwolenie — mówi kongres w tém piśmie — zapewnienia Waszej Królewskiej Mości, że mimo cierpień wiernych W. K. Mości mieszkańców kolonii w czasie obecnego sporu, pierwszą naszą przyjętą jest tak delikatnem pocuciem winnych względów dla królestwa, któremu zawdzięczamy swój początek, że dalecy jesteśmy od żądania załatwienia sprawy, któreby uchybiało godności lub dobru naszego kraju macierzystego.“ Prośba ta raz jeszcze podawała rządowi angielskiemu sposobność wstąpienia na drogę pojednawczą. Rząd tego nie uczynił; kongres nawet odpowiedzi na prośbę swą z Londynu nie otrzymał. Odpowiedź miały mu napisać bagnety Howego; a rząd wcale nie wątpił, że będzie skuteczną,

czyli innemi słowy, że wódz angielski nieza długo doniesie o słumieniu buntu, jak u góry nazywano ten słuszny i godziwy kolonii opór.

Tymczasem Wasyngton stanął pod Bostonem. Obóz wojsk amerykańskich skreślił wówczas kapelań pułkowy w następującym charakterystycznym obrazie: „Namioty są rozmaite, tak jak różny ubiór ich właścicieli; a każdy namiot jest wyrazem charakteru i smaku osób w nim się mieszczących. Jedne zbite są z desek, drugie z płótna żaglowego, a znów inne z jednego i drugiego materiału; tam znowu zbudowano je z kamieni i darni, z cegieł i chruštu; gdzieindzie wkopane w ziemię, lub z pręcia i gałęzi upleciono.“

Przybywszy na miejsce, Wasyngton niemiędo doznał zawodu. Zgromadzona pod Bostonem siła zbrojna nie wynosiła, jak go zapewniano, 20.000, lecz tylko 16.000 ochotników; a i z tych tylko 14.000 zdolnych do pełnienia służby. Znalazł tam ludzi odważnych, ale nie wojsko jednolite. Były to większe i mniejsze oddziały, różnorodnie uzbrojone pod dowódcami, z których każdy działał na swoją rękę. Artylerji wcale nie było, a również brakowało najniezbędniejszych urządzeń wojskowych.

Z masy tej różnorodnej utworzyć wojsko jednolite, to uważał Wasyngton za pierwsze zadanie. A na pierwszy rzut oka zrozumiał także, że spełnienie tego zadania na nadzwyczajne napotka trudności. Wszak miał do czynienia wprawdzie z odważnymi, ale i nieprzywykłymi do uległości wojskowej, synami puszczy leśnych. Toż nie za kilka dni lub nawet tygodni, lecz tylko w znaczniejszym przeciągu czasu można było podołać onemu niezbędnemu zadaniu. A tymczasem w mieście stało 11.000 dobrze uzbrojonego, wyćwiczzonego i we wszystko, czego tylko wojna wymaga, obficie zaopatrzonego żołnierza.

Miał więc Wasyngton od chwili przybycia do obozu roboty co niemiara. Jakieżże to pilności i siły, jakiego zapasu wytrwałości i cierpliwości potrzeba było, aby obudzić ducha, bez którego zbiór ludzi, przeznaczonych do wspólnego działania, nie zdoła osiągnąć znaczniejszych skutków! Ale na czele stał tu człowiek, który od młodości zaprawił się do tego, że, czego się tylko jął, wszystko wykonywał należycie, że do każdej pracy z właściwej zabierał się strony, a na rozpoczętą zwracał podczas całego jej toku potrzebną uwagę i obracał się.

Rozpatrzywszy się w położeniu, w jakim znajdowało się wojsko, nad którym miał dowództwo, Wasyngton zrozumiał, że nic mu innego nie pozostaje, tylko pójść za przykładem Fabiusza Kunktatora. Tak upłynął rok, a z obu stron nic nie przedsięwzięto. Pod koniec Grudnia zażądała część wojska amerykańskiego, która tylko na rok była się do służby zobowiązała, odprawy celem powrotu do domu. Żołnierze ci mieli za sobą prawo; Wasyngton więc uwolnił ich od służby. Tym sposobem zaledwie jeszcze 10.000 pozostało w obozie pod Bostonem, kiedy nieprzyjaciel w mieście otrzymał tymczasem świeże posiłki.

Patryoci w kraju ani przeczuwali, z jakimi to trudnościami miał Wasyngton do walczenia. Jaki taki mniemał, że już w pierwszych dniach dowództwa Wasyngtonowego dzienniki będą miały co donosić o walkach i zwycięstwach. A tu tymczasem i rok upłynął, a nic jeszcze się nie stało!

Dwa listy Wasyngtona do pułkownika Reeda, w owym czasie pisane, dostatecznie malują ówczesny stan rzeczy. „Bardzo wątpię — pisze on w pierwszym liście — aby się w całej historii znalazł choć jeden przykład podobny do naszego położenia, w którym utrzymaliśmy, prochu nie mając, stanowisko nasze przez sześć miesięcy przeciw sile wojsk brytańskich, i w którym rozwiązano wojsko, aby złożyć nowe w obec nieprzyjaciela, na strzał zwykłej strzelby oddalonego. Jak się skończy ten ostatni manewr, tylko przyszłość okaże; ja ze swjej strony pragnąłbym, abyśmy byli o miesiąc starsi.“ W liście drugim z Lutego następnego (1776) roku pisze Wasyngton: „Ja, bardziej aniżeli ktokolwiek, znam to nieszczęsne położenie, w którym się znajduję; wiem, czego to wymagają po mnie; ale i o tém wiem także, że bez żołnierzy, bez broni, bez amunicyi, mało co da się zrobić. Co mnie najbardziej przygniała, to właśnie ta nieszczęsna okoliczność, że nie mogę się przed światem wytłómaczyć bez wyjawienia naszego kłopotliwego położenia, a tém samém i zaszkodzenia własnej sprawie. Dlatego też postanowiłem, donosząc o naszych potrzebach, uczynić to tylko o tyle, ile mnie zmusza nieodzowna konieczność. Położenie moje jest nie raz tak przykre, że gdybym mniej zważał na dobro publiczne, aniżeli na własny spokój, dawnobym był wszystko ważył na jedną stawkę. Zamiast 20.000 wojska, dobrze uzbrojonego, mniej niż połowę tej liczby mam do rozporządzenia, w co wcale nie wliczam chorych, urlopowanych, z powodu posyłek nieobecnych i źle uzbro-

jonych. Położenie moje jest takie, że wszelkich muszę używać sposobów, abym je ukrył przed własnymi oficerami.“

Niez mordowanie pracował Wasyngton około organizacyi wojska. A nie tylko stronę jęj zewnętrzną, uzbrojenie, żywienie itp. miał na uwadze, lecz chodziło mu również o przekształcenie jego wewnętrzne, o wyrobienie ducha karności, o wzbudzenie w niém ducha poświęcenia i poczucia godności w przeświadczeniu, że służy tak poważnej i szlachetnej sprawie. Nie żołdactwem, uważającem wojnę za proste rzemiosło, lecz rycerstwem na usługach ojczyzny, w obronie praw najdroższych walczącęj, chciał wojsko swe mieć szlachetny wódz, całą uwagę swego zadania jasno pojmujący. Tymczasem w szeregach znajdowało się niemało hultajstwa, gorszące wiodącego życie. Wasyngton wydał więc rozkaz dzienny, w którym następujący mieścił się ustęp: „W czasach tych powszechnęj biedy mogą ludzie, służąc Bogu i ojczyźnie, dość znaleźć zajęcia, zamiast oddawania się występkom i rozpuście; sprawa, za którą walczymy, jest sprawą cnoty i ludzkości. Wypadek walki, korzyść dla naszych potomków, zależy na powadze i sumiennosci naszego sił wytężenia; a wypadkiem tym musi być wolność lub niewola. Czyż dla mężów może być silniejsza pobudka do życia uczciwego? Przytém mają wiedzieć żołnierze, że każdy, ktoby w walce w tyle pozostawał, krył się, cofał bez rozkazu dowódców, jako tchórz, dla przykładu natychmiast będzie rozstrzelany; tchórze bowiem ohydńm swém postępowaniem zdemoralizowały już nieraz wojsko najlepiej wyćwiczone.“

Z rozkazu tego wielu w obozie wносиło, że wódz postanowił uczynić w krótkim czasie stanowczy krok przeciw nieprzyjacielowi. I w samęj rzeczy myślał o tém; zamierzył bowiem obsadzić wzgórze, blisko miasta się wznoszące. Jakoż, aby odwrócić uwagę nieprzyjaciela, Wasyngton utrzymywał w nocy z 3go na 4ty Marca silny na miasto ogień; a tymczasem zabrał i natychmiast obwarował wzgórze. Roboty około okopów postępowaly z taką szybkością i skutkiem, że generał Howe, spojrzawszy z rana ku wzgórzom, nie mogąc wyjść z podziwienia, zawołał: „Buntownicy dokonali przez noc takiej roboty, jakiej nasza armia za cały miesiąc nie byłaby podołała.“

Wasyngton musiał być przygotowanym na najzaciętszy nieprzyjacielski atak, bo wzgórze owe, zwane Dorczeterskiemi, panowały nad całym miastem. Trzeba więc było spodziewać się powtó-

zenia krwawej, jak pod Bunkerhilem walki. Ale deszcz i burza przeszkodziły w dwóch dniach następnych dowódcy angielskiemu w przedsięwzięciu ataku; Amerykanie zaś równie pilnie i wytrwale krzatali się około dalszych na wzgórzach robót. Kiedy wreszcie ustała niepegoda i Howe znów przypatrzył się dziełu nieprzyjaciół, nie ważył się więcej myśleć o szturmie na szanice amerykańskie. Ale i dalszy pobyt w mieście uważał za daremny, a nawet wobec panującego nad miastem stanowiska nieprzyjacielskiego, za niebezpieczny. Nie pozostawało mu tedy nic innego, tylko opuścić miasto i wsiąść z wojskiem na okręty.

Wasyngton zajął Boston.

Wiadomość o tém zdarzeniu wywołała w całym kraju największą radość. Kongres uchwalił na pamiątkę oswobodzenia Bostonu wybić złoty medal z wizerunkiem Wasyngtona. Wasyngton w pokorze serca dziękował Bogu za ten zwrot rzeczy; a cieszył się tym pomyślnym wypadkiem w przeświadczeniu, że zwrot ten pokrzepi ufność patryotów. Nie tyle cieszył go zaszczyt, jakim go uczcić postanowiono; nawet byłby go się zrzekł chętnie; wiedział bowiem dobrze, że do zupełnego ukończenia walki i wyswobodzenia kraju długa jeszcze i ciężka czeka go i naród droga.

XI. Ogłoszenie niepodległości.

Amerykanie przekonawszy się, że wszelkie ich prośby i przedstawienia o wymiar sprawiedliwości i słuszności pozostały bez skutku, uznali wreszcie za rzecz potrzebną i porę za stosowną do ogłoszenia wobec świata, iż uważając się za uwolnionych od wszelkich względem Anglii obowiązków, postanowili własne i niepodległe utworzyć państwo. Nastąpiło to dnia *4go Lipca 1776 roku*.

Była to chwila uroczysta, kiedy zgromadzonemu przed gmachem kongresu w Filadelfii ludowi ogłoszono, iż „trzyście zjednoczonych Stanów Ameryki zgodziły się na ogłoszenie niepodległości“, i kiedy uderzono w dzwon, na którym wyryty były słowa: „Wolność całemu krajowi i wszystkim jego mieszkańcom!“ Na odgłos dzwonu tego odezwały się dzwony najbliższe, te obudziły dalsze; bito więc w dzwony od wsi do wsi, od miasta do miasta, a tym

sposobem w krótkim czasie uwiadomiono kraj cały, na znaczenie dnia tego przygotowany, że nastąpił wielki, co do następstw tak ważny, krok zupełnego i nieodzownego oderwania się od kraju macierzystego, krok, do którego tyrania Anglii popchnęła mieszkańców Ameryki.

Lud i wojsko wszędzie głośno oświadczało się za kongresem. Usposobienie chwili ówczesnej wyraża wybitnie mowa Samuela Adamsa, jaką miał dnia 1. Sierpnia wobec zgromadzonych obywateli Filadelfii. „Bądźcie zgodni, a nie potrzeba nam reszty świata. Kraje nasze północne dostarczają nam środków do zaspokojenia potrzeb codziennych, a nawet do dogodzenia zachceniom wybredniejszym; dają one żelazo, drzewo na budowy i maszty, len i zboże, Georgia i obie Karoliny mają na własny użytek i na wywóz indygo, ryż, konopie i obfitość drzewa na budulec i okręty, Wirginia i Maryland obfitują w pszenicę, kukurydzę i tytoń. Z ochotą każdy naród, niepewny swych zbiorów lub nieposiadający naszych płodów, zamieni je na wyroby swego przemysłu. Handel zagraniczny dostarczył nam już kilkakrotnie całych ładunków odzieży, zapasów wojennych itp., mimo wynoszonej morskiej potęgi Anglii, długo jeszcze będziemy korzystali z tych stosunków, a niebawem nadejdzie czas, w którym wyspy zachodnioindyjskie szukać będą naszej opieki. Tak więc warunki i korzyści przyrodzone zabezpieczają naszą niepodległość, a mocarstwa europejskie dla własnej korzyści szukać będą naszej przyjaźni. Kto więc ze słabości lub nیکczemności przenosi panowanie brytańskie nad życie wolnego narodu, ten niech wie, że teraz nakazuje konieczność to, co dawno już nakazywały szlachetne miłości ojczyzny zasady. Nam pozostaje tylko wybór między niepodległością a haniebną, uciążliwą niewolą. Bandy naszych wrogów najeżdżają nasze pola, zniszczenie i śmierć znaczą krwawą ich drogę, kiedy rozszarpane naszych ziomków ciała, jakby głosem z nieba wołają na nas i upominają: Chcecież cierpieć, aby potomkowie nasi jęczeli w ciężkich kajdanach naszych morderców? Czy krew nasza na darmo przelana? Maż jedyną nagrodą naszej do śmierci wierności być coraz cięższa ojczyzny niewola? „Pomnijcie, jacy to ludzie żądają od was posłuszeństwa! Ludzie, którzy bez względu na związki krwi i długoletnią naszą cierpliwość, ułożyli sobie wydrzeć wam nawet małą waszą własność, jakby z łaski tylko wam daną. Pomnijcie, że ludzie, którzy was chcą uciemiężyć, rozerwali święte umowy, z ojcami waszymi zawarte,

naślali do miast waszych tłumy żołdactwa, aby szyderstwem i mordem wymódlili posłuszeństwo; cierpliwość waszą nazwali tchórzostwem, a bogobojność obłudą.“

Wszędzie uroczyste obchodzono dnia tego znaczenie, aby tym sposobem jawnie przyznać się do udziału w tym wielkim akcie publicznym. Wszędzie poniszczone godła władzy królewskiej. W Nowym Jorku obalono posąg Jerzego III., a z porąbanéj masy kruszcu lano kule. Mieszkańcy Sawany w Georgii urządzili kondukt pogrzebowy i pogrzebali przed ratuszem obraz króla Jerzego III. Jeden ze zgromadzonych miał przy tej sposobności mowę pogrzebową, w której między innemi powiedział: „Król złamał w najhambniejszą sposób przysięgę swą koronacyjną; zdeptał konstytucyą naszego kraju i święte swobody człowieka. Dlatego też składamy do grobu byłego polityczny, zepsucie do zgnilizny, w pewnej i niezawodnej nadziei, że nigdy nie doczeka się zmartwychwstania, aby kiedykolwiek znów panował nad tymi wolnymi i niepodległymi krajami Ameryki.“

Wszyscy przyjaciele wolności w Europie spoglądali z współczuciem na tok sprawy téj zaatlantyckiej. Trwożliwe umysły miały wprawdzie, że przykład ten pociągnie za sobą wszędzie wybuch przeciw monarchicznej formie rządu. Ale czyż Amerykanie nie dali także przykładu wielkiej cierpliwości? Czyż nie dali tytułów, że chcieli zatrzymać dawny swój do Anglii stosunek, a z nim i rząd monarchiczny? Czegoż to żądali od króla? Wszak tylko szanowania dawnych praw kraju. Prawa są podwalinami każdego państwa, zatem i monarchii. Kto nie chce w żywe oczy zaprzeczać prawdzie, ten musi przyznać, że król Jerzy III. i jego ministrowie rozerwali węzeł, który łączył kolonie z Anglią, a kolonie wtedy dopiero ogłosiły się państwem niepodległym, kiedy wszelkie ich najrzetelniejsze usiłowania, aby prawu przywrócić uznanie, rozbiły się o nieprzełamany upór angielskiego rządu, kiedy im miasto chleba sprawiedliwości, rosnącego na gruncie pojednania, o który prosili, dawano kamień tyranii, a na ich uniżone prośby odpowiadano prochem i ołowiem.

Akt zawierający ogłoszenie niepodległości jest tak co do treści, jak formy dokumentem po mistrzowsku napisanym. Amerykanie nie wzywają w nim do naśladowania; przeciwnie upominają nawet, „aby rządów długo istniejących nie zmieniać dla jakichś przemijających powodów.“ Zato w ogłoszeniu obok wyłożenia rzeczywistych celów

życia publicznego przebija się zamiar usprawiedliwienia kroku tego przed światem.

„Historja teraźniejszego króla Wielkiej Brytanii“ — powiada ogłoszenie — „jest historją samowoli i ciągłych bezpraw, które wszystkie miały na celu nieograniczone panowanie przemocy nad tymi krajami. Na dowód przykładamy uczciwemu światu fakta następujące:

„Połączył on się z drugimi do narzucenia nam władzy ustawodawczej, obcej tak naszej konstytucyi, jak przez prawa nasze nieuznanęj, a to przyzwalając na wrzekome prawne uchwały, aby na ich podstawie

„bez naszego współudziału nakładać nam podatki —

„w wielu razach pozbawić nas dobrodziejstwa sądów przysięgłych;

„wysyłać nas za morze i sądzić nas tam za rzekome przestępstwa;

znieść w prowincyi sąsiedniej wolną angielską konstytucyą, a natomiast zaprowadzić rząd na samowoli oparty;

„odjąć nam nasze przywileje, nasze najdroższe prawa i zupełnie przekształcić nasze władze rządowe;

„pozbawić nasze ustawodawcze zgromadzenia prawa obradowania, aby sam się ogłosił jedynie uprawnionym do narzucania nam ustaw we wszelkich przypadkach. —

„On sam zrzekł się tu rządu, odkąd ogłosił nas za wyjętych z pod swej opieki i wojnę wniósł do naszego kraju;

„On plądrował po naszych morzach, pustoszył nasze wybrzeża, popalił miasta i niszczył życie naszych współobywateli;

„On w téj chwili wysyła na nas wielkie wojska obcego żołdactwa, aby dokończyć dzieła zniszczenia, nędzy i niewoli.

„On współobywateli naszych, na pełnem morzu schwytanych, zmusił do walki przeciw swéj własnej ojczyźnie, zmusił ich do tego, aby się stali albo katami swych przyjaciół i braci, albo od nich śmierć ponosili.

„On wszczął między nami rozruch domowy i na mieszkańców naszych pogranicznych okolic nasyłał dzikich Indyan, których znany sposób wojowania polega na mordowaniu wszystkiego, co żyje bez różnicy wieku, płci i stanu.

„Na każdym stopniu ucisku prosiliśmy w najuniżeńszych sło-

wach o zaradzenie krzywdom naszym; ale na ponawiane kilkakrotnie prośby nasze ponownemi odpowiadano krzywdami.

„Monarcha, którego naturę tak znamionują czyny, po których poznaje się tyrana, niezdolny jest na władcę wolnego narodu.

„Nie zaniechaliśmy także udawania się do braci naszych w Wielkiej Brytanii. Ale i oni nie usłuchali głosu słuszności i krwi. Zatem nastąpiła dla nas konieczność zerwania z nimi, i uważania ich na równi z resztą ludzi, w wojnie za wrogów, w pokoju za przyjaciół.“

„Zgromadzeni na walnym kongresie zastępcy zjednoczonych Stanów Ameryki, wzywamy więc Najwyższego spraw ludzkich Sędziego na świadka czystych naszych zamiarów, a w imieniu i z pełnomocnictwa uczciwego tych kolonii mieszkańców ogłaszamy i uroczystie oświadczamy, że te zjednoczone kolonie są i podług prawa i słuszności mają być wolnymi i niepodległymi Stanami; że wolne są od wszelkich względem korony brytyjskiej obowiązków poddaństwa; że wszelki między nimi a państwem Wielkobrytańskim związek jest i ma być zupełnie rozwiązany. — A do dotrzymania tego oświadczenia, pełni silnej ufności w opiekę Opatrzności boskiej, zobowiązujemy się wzajemnie naszym życiem, mieniem i naszym honorem.“

Akt ten ogłoszenia niepodległości, a zgoda całe zachowanie się kongresu, zyskało sobie uznanie i wzbudziło podziwienie u najznakomitszych mężów w Europie.

XII. Ciężkie czasy.

Chorągiew gwiazdzista — bo trzynastcie gwiazd jako znak trzynastu amerykańskich kolonii na niej jaśniało — została podniesiona. Wywalczyć pod nią wolność lub zginąć, stało się hasłem narodu.

Wiele trudności już pokonano, ale nierównie większe zostały do przyzwyciężenia. Anglia skupiała wszelkie siły, aby upokorzyć wrzekomych buntowników; posyłała generałowi Howemu nowe wojska, a między nimi Niemców, kupowanych u książąt mniejszych państw niemieckich, którzy jako czuli „ojcowie swych krajów“ („Landesvater“) — tak się zwykle lubili tytułować, — nie wstydzi

się tego kupczenia krwią ludzką. Sprzedawali więc poddanych Anglikom, którzy ich wiezli do Ameryki, aby walczyli w sprawie całkiem obcej, jako proste i mimowolne despotyzmu narzędzia!

Handel ten ludźmi przypada na czas rozkwitu władzy niemieckich książąt państwowych. Trudnili się nim książęta Heski, Brunszwicki, książę na Bajrajcie i Anspachu i Anhaltko-Zebrski. Heski najwięcej ludzi dostarczał, dla tegoteż sprzedanych do Ameryki Niemców nazywano pospolicie Hesami. Kto w Hesyi od takiej sprzedaży chciał się ratować ucieczką, a wpadł w ręce siepaczy książęcych, tego zakuwano w kajdany i kneblowano. Na zażalenia rodziców odpowiadano wtrącaniem ojca do ciężkiego więzienia, zamknięciem matki do domu poprawy. Na targu w Kaselu angielscy kupcy płacili za poddanych heskich po sto talarów głowa na głowę. Fryderyk II, pruski sztyks sobie wówczas, mówiąc, że panowie „ojcowie krajów“ nie powinni by zapominać także o poborze cła od bydła! Niemiecki pisarz Seume, którego wówczas także pochwycono i sprzedano, powiada: „Nikt nie mógł być bezpiecznym pod tym przekupniem dusz (księciem panującym). Namowy, podstęp, oszustwo, wszystko było dobre, byle schwycić ludzi. Toż napadano i swoich i cudzoziemców wszelkiego rodzaju, chwymano i wysyłano.“ Książę na Bajrajcie i Anspachu, kiedy wsadzano jego poddanych na statki, stał z nabita bronią na brzegu Menu, aby strzelać do tych, którzyby próbowali ucieczki. Tym sposobem sprzedano Anglikom 29.000 Niemców „jako żer armatni“. — „Nie bez westchnienia — powiada pewien lord angielski — będzie mógł myślący podróżnik patrzeć na wspaniały park w Wilhelmshöhe pod Kaselem; założono go bowiem za pieniądze, zyskane ze sprzedaży synów mieszkańców Kaselu i miejsc okolicznych.“

Wspomnieliśmy już nieco wyżej, że generał Howe opuściwszy Boston, wojsko swe wsadził na okręty, aby na inném wylądować miejscu. Wasyngton domyślał się tego, a mianowicie, że Howe zamierzał zająć Nowy Jork; dlatego też posłał tam część wojska pod drugim dowódcą, sam zaś za nim pospieszał.

Tymczasem flota Howego połączyła się z okrętami świeżo przybyłymi, przezco siły angielskie znacznie przewyższyły liczbę wojska amerykańskiego. Howe wylądował więc na Long-Island, niedaleko Nowego Jorku, skąd chciał zająć to miasto, aby z tego punktu przeciąć połączenie między południowemi a północnemi prowincjami amerykańskimi. Tuteż przyszło do walki, w której Hesi odzna-

czyli się wielką odwagą. Nacierali oni na Amerykan z taką zapamiętałością, iż zdawało się, jakoby z rozpacz, że gwałtem wyrwani byli z ojczyzny, sami szukali śmierci. Amerykanie ponieśli klęskę; a nawet groziło im niebezpieczeństwo, że w następnych dniach będą na wyspie otoczeni i dostaną się do niewoli. Wasyngton więc postanowił korzystać z nocy, aby pod jej zasłoną wsadzić na statki swe niewielkie wojsko. Ale kiedy z nocą zapadającą zabierał się do wykonania swego postanowienia, a dla złudzenia nieprzyjaciela rozkazał pozapalać i podtrzymywać wielkie ognie w obozie, o mało że cały plan jego nie został udaremniony. Czego bowiem nikt nie przeczuwał, zdrada w tym samym czasie knuła zgubę wojska amerykańskiego. Jedna z Amerykanek, sprzyjająca Anglikom, posłała niewolnika do wodza angielskiego z doniesieniem o zamiarze i przygotowaniach Wasyngtona. Przypadek chciał, że niewolnik wpadł w ręce żołnierzom heskim, stojącym na przednich strażach. Murzyn przysięgał się, że ma bardzo ważną dla generała Howego wiadomość; ale na szczęście Niemcy hescy nie rozumieli ani słowa z mowy jego. Uważając go za szpiega związali go, wzięli pod straż, i dopiero nazajutrz rano odstawili do głównej kwatery. Łatwo pojąć, że nie był wdzięczny Hesom generał Howe, bo wiadomość, która w nocy byłaby mu oddała w ręce wojsko amerykańskie, teraz żadnego nie miała znaczenia. Wasyngton bowiem wykonał swój zamiar, odpłynął z wojskiem, a tym sposobem nadzieja Howego, że ma nieprzyjaciela w rękę, spełzła na niczym.

Z przykrego swego położenia Wasyngton wydobył się, jak można było, najszcześliwiej, dokonawszy odwrotu z przezornością podziwienią godną. Sam, dopóki wojsko całe nie wsiadło na statki, przez czterdzieści ośm godzin z konia nie zsiadał.

Tym sposobem rdzeń sił amerykańskich został ocalony; ale jakżeż małe były one w stosunku do liczby nieprzyjaciela! Niejeden z patryotów smutnie spozierał w przyszłość, a i sam Wasyngton miewał godziny i dni, w których przyjmowała go obawa, że słuszną sprawą upadnie. Nie tracił jednak ducha; owszem stale trwał w postanowieniu raz powziętym: służyć jej wiernie do końca, chociażby wierność tę przyszło przepłacić życiem.

Kto się poświęcił na usługi ojczyźnie, tego wierność najświetniej jaśnieje w chwili niebezpieczeństwa i biedy. Od nieszczęśliwej walki na Long Island rozpoczął się dla Amerykan czas ciężkich kłopotów i udręczeń, o czém wyraźnie świadczą listy Wasyngtoan.

Pisał on do prezydenta kongresu: „Położenie nasze w saméj rzeczy jest dość przykre. Klęska na Long Island zniechęciła całe wojsko; opanowała je bojaźń i rozpacz. Pospolite ruszenie, zamiast się ocknąć, aby powetować klęskę, upadło na duchu i chce wracać do domu. Część nawet już to uczyniła. Połowy, ba nawet całe pułki już nas opuściły, odchodząc czasem całemi kompaniami. Do czego-to doprowadzi taki stan karności wobec znacznie przeważających sił nieprzyjaciela, dobrze wyćwiczonego i wybornie uzbrojonego! — Dlatego też wracam do zdania, które częstokroć przedtém wypowiedziałem. Nasze prawa są w niebezpieczeństwie, jeśli mają ich bronić wojska, na krótki czas zaciągane. Potrzeba nam armii, któraby przez cały przeciąg wojny w służbie pozostawała. Posłuszeństwo, porządek, karność tylko w takiém wojsku dadzą się utrzymać.“ W dwa dni później pisze on: „Położenie nasze jeszcze się pogorszyło. Całe oddziały wojska odeszły; jestem przekonany, że z pozostałych niezadługo mało wytrwa.“ A mimo to zachował on cały spokój umysłu, i nawet usprawiedliwiał tych, którzy upadali na duchu. Pisał on w téj sprawie do przyjaciela: „Ludzie dopiero wyrwani z zacisza domowego życia, nie przyzwyczajeni do służby wojskowej, bez wprawy w nią, łatwo wobec żołnierza wyćwiczonego tracą ufność w siebie, a do tego zmiana trybu życia, do którego byli przyzwyczajeni, tłómaczy także naturalną chęć nieprzyzwyczajoną powrotu do tego zwyczajnego życia.“

Ale kiedy za dni kilka spotkawszy się z nieprzyjacielem najlepsze dywizye amerykańskie pierzchnęły przed małym oddziałem Hesów, Wasyngton sam stracił krew zimną, jaką się zawsze odznaczał. On, przejęty świętym względem ojczyzny obowiązkiem, oburzył się na brak odwagi obrońców ojczyzny w stanowczej chwili. Wpadł więc między pierzchających, a dobywszy pistoletu strzelał do własnych żołnierzy wołając: „Czy to są ludzie, z którymi bronić mam ojczyzny?“ Rozpacz opanowała wodza. Zdawało się, że szuka śmierci; w chwili bowiem, kiedy opuszczali go własni żołnierze, a nieprzyjaciel zaledwie na pięćdziesiąt kroków był oddalony, on z miejsca się nie ruszył. Dopiero adjutant schwycił konia za cugle i prawie przemocą uprowadził wodza.

Odwrót odbywał się dalej. Wasyngton znów zdał raport o stanie rzeczy kongresowi, który wreszcie zgodził się na zaciąg żołnierzy w warunkach, przez wodza podanych. Ale wykonanie tego postanowienia wymagało czasu. Ludzi nie było tuż na zawołanie,

a jeżeli nawet zgłosili się ochotnicy, trzeba było przynajmniej jakotako zaprawić ich do służby wojskowej, kiedy tymczasem nieprzyjacieli, ostatnimi powodzeniami poczuwszy się na siłach, myślał o jak najspieszniejszym uderzeniu. Do pogorszenia sprawy i pomnożenia trudności przyczyniła się jeszcze i ta okoliczność, że w koloniach było wielu rządu angielskiego zwolenników. Jedni stanowczo stali po stronie jego; drudzy sprzyjali wprawdzie sprawie ojczyzny swojej i radziłoby byli jej niepodległości, gdyby tę za jednym zamachem powiodło się było uzyskać. Ale gdy się rzecz przeciągała, gdy nasuwały się wielkie trudności, gdy wypadek ostateczny stawał się wątpliwym, patrioci ci małoduszni, podobni do chwiejącej się trzciny, jak niegdyś owi Żydzi z Egiptu na puszczy zaprowadzeni, poczęli żałować dymiących się garnków, zrazu narzekać poczęli na sprawców nieszczęścia, aby potem w stosownej chwili stanąć otwarcie po stronie „dawnego rządu“, a ciskaniem obelg na „wichrzycieli“ czołgać się przed tym, kto posiadał władzę.

Wszyscy więc, i ci i tamci, podnieśli teraz głowę, a gdzie tylko nadarzała się sposobność, starali się dopomagać wojsku angielskiemu. Ba co więcej, z niektórych prowincyi przysłano nawet posiłki generałowi Howemu.

Cóż więc w takich okolicznościach miał czynić wódz naczelny? Znów przyszło mu grać rolę Fabiusza, unikać nieprzyjaciela, a stanowcze rozstrzygnięcie do stosowniejszej odwlekać chwili. Ale to także sprawiło, że wielu, którzy całkiem stali po stronie kongresu, nie znając prawdziwego narodowych sił zbrojnych stanu, którego wódz nie mógł podawać do publicznej wiadomości, aby bardziej jeszcze nie rozstrajać patriotów, a dodawać większej otuchy nieprzyjacielowi, z niezadowoleniem patrzyło na postępowanie Wasyngtona. Co gorsza, najwierniejszy ten syn ojczyzny i tego się doczekał, że poza jego plecyma ambitni i rzeczy nieświadomi połączyli się, aby go strącić ze stanowiska i wynieść na nie innego. Dla ojczyzny zgryzł on i ten orzech i w tém okazując wielkość swęj duszy, gdyż nigdy i w niczém nie dał uczuć swym przeciwnikom ich pokrywomęj roboty. Owszem tém usilniej pracował nad powierzonym mu wielkiem zadaniem. Największą część spraw głównej kwatery załatwiał on bez czyjśkolwiek pomocy. Już korespondencya z kongresem wiele zajmowała czasu. Uchwały kongresu szły do rządu każdej prowincyi, a sposób ich przeprowadzenia pociągał za sobą nowe rokowania z trzynastoma władzami naczelnymi. Można więc wysta-

wieć sobie, ile tryb ten przyczyniał pracy wodzowi naczelnemu i jakiej to potrzeba było niezmordowanej pracowitości, jakiej mocy nad sobą, ile cierpliwości, aby nie spuścić z oka celu pożądanego i z pospiechu lub przeoczenia nie pominąć jakiego szczegółu. O rozległości korespondencji Wasyngtona z czasów wojny i pokoju świadczy przeszło dwieście tomów in folio listów i odpowiedzi, jego własną ręką pisanych. Są one dziś drogą po wielkim człowieku puściźną dla obywateli Stanów zjednoczonych. „Kto chce poznać całą wielkość tego ojca ojczyzny — woła jeden z jego wielbicieli — jego majestatyczną prostotę i spokój, jego niezmiennie cele i olbrzymią siłę, ten niech czerpie z tego pierwotnego źródła jego listów i raportów.“

To były prace piórem. A ileż prócz tego było do czynienia! Narady z biegłymi w najróżnorodniejszych gałęziach nie miały końca; prace w różnych kierunkach zajmowały mu czas i siły wytężały. Niejednemu cudem się to wydawało, że jeden człowiek mógł równocześnie tylu podołać zadaniom, że ani niesłuszne nie drażniły go sądy, ani nie zniechęcało położenie, które wielu uważało za stracone. Nowy Jork i warownia Wasyngton dostały się w ręce nieprzyjaciela; wódz naczelny musiał jeszcze dalej cofnąć swe wojsko; generał Lee, który z nim chciał się połączyć, dostał się do niewoli.

XIII. Przejście przez Delawarę. Zwycięstwo.

Bywają w dziejach każdego narodu czasy, w których „serca wielu się otwierają“; w których na jaw występuje myśl i uczucie społecznych, dotychczas głęboko ukryte. W czasie takim, pełnym znaczenia, znajdowało się tworzące się państwo amerykańskie. Thomas Paine, który na polu literackim bardzo skutecznie popierał sprawę Ameryki, w następujących o tém odzywa się słowach: „Są to czasy, w których doświadczą się serc ludzkich. Żołnierz-diletant i patryota-diletant w stanowczej chwili odmówią usług ojczyźnie. Toteż kto teraz się nie zachwieje, zasługuje na miłość i wdzięczność wszystkich. Zadziwiająca to rzecz, jak prędko powstaje strach i jak szybko obiega po całym kraju. Na każdy naród w pewnych

czasach padał strach taki. Mają one i dobrą swą stronę. Strach trwa krótko; poczem sereu przybywa mocy i odwagi. Strach taki jest probierzem szczerości i obłudy“. W samą rzecz i te ciężkie czasy wyszły o tyle krajowi na dobre, że dały sposobność poznania wątpliwych i prawdziwych patryotów.

Kongres dał wyraz uczuciu zaufania w dzielność Wasyngtona, mianując go na sześć miesięcy niezawisłym dyktatorem sił zbrojnych. Ale nim o tém Wasyngton otrzymał uwiadomienie, już przystąpił był do wykonania planu, którego pomysłny wypadek miał u jednych podnieść odwagę i ufność, drugich uwolnić od trwogi. Zima już na dobre była zawitała. Początek Grudnia był śnieżny i mroźny; Anglikom odeszła ochota do bezzwłocznego wyzyskania odniesionych nad nieprzyjacielem korzyści. Howe rozpuścił swe pułki na leże zimowe myśląc, że zupełne stłumienie oporu już gasnącego może wygodnie odłożyć na początek lepszej pory roku. Leże zimowe tak rozdzielono, że Hesi jak zwykle stanowili straż przednią. Wasyngton, który o stanowiskach nieprzyjaciela zasięgnął najdokładniejszych wiadomości, wiedział, że Hesi stali na cztery do pięciu mil za rzeką Delewarą, naokoło Trentonu. Wszystkiego wojska miał on pod sobą 7000. Podzielił je na trzy oddziały, które równocześnie w trzech miejscach miały przejść rzekę i natrzeć na nieprzyjaciela. Na wykonanie planu wybrano noc Bożego Narodzenia. O zmroku pierwszy oddział, 2400 ludzi wynoszący, pod dowództwem samego Wasyngtona, stanął nad rzeką. Silny wiatr północny miotał śnieg w oczy Amerykanom; rzeką szła wielka kora. Przejście rzeki było nietylko trudne, ale i bardzo niebezpieczne. Wasyngton zamierzył był o północy stanąć na drugim brzegu rzeki. Ale kora i burza czyniły to niepodobnem; zaledwie o godzinie trzeciej z rana dostała się reszta oddziału na brzeg przeciwny. O czwartej wszystko było w porządku, oddział ruszył ku Trentonowi. Ale tam stał nieprzyjaciel o sile dziesięć razy większej, który, jeśli wiedział o zamiarze Wasyngtona, zapewne wszystko zarządził na przyjęcie należyte Amerykan; Wasyngton zaś nie był pewny, azali i drugie dwa oddziały w punktach oznaczonych przebyły rzekę. Później dowiedział się, że przejście to nastąpiło dopiero w kilka godzin. Około godziny ósmej Anglicy przyjęli przednią straż pierwszego oddziału strzałami broni ręcznej, i zaalarmowali oddział Hesiów, w Trentonie umieszczonych. Ale zaledwie zebrali się Hesi, Wasyngton stał już pod miastem i natarł na nich. Hesi z początku

dzielnie się trzymali, ale gdy poległ ich pułkownik, złożyli broń. Około 1000 ludzi, między nimi 23 oficerów, dostało się w ręce Amerykan. Kilkaset ratowało się ucieczką; coby nie było nastąpiło, gdyby inne amerykańskie oddziały wcześniej były przeszły rzekę i obsadziły mosty.

Przezorność kazała poprzestać na teraz na tym pomyślnym skutku. Nieprzyjaciel stał w pobliżu z główną swą siłą; można więc było się spodziewać, że jęj wnet użyje dla powetowania klęski. Wasyngton cofnął się za Delaware.

Śmiały ten czyn — przejście rzeki i pomyślna pod Trentonem walka — jakby czarem ożywiła znowu tysiące. Wszędzie, którędy wiedziono jeńców heskich, mnóstwo zbierało się ludu. W dotychczasowej walce najdzielniej z całego angielskiego wojska bili się Hesi; byli więc najniebezpieczniejszymi dla Amerykan przeciwnikami, a zdziczali przez życie wojenne, nadto nieraz biedą przyciśnieni, przy sposobności dopuszczali się gwałtów po wsiach i miastach. Otóż wszystko to sprawiło, że teraz jako jeńcy w rękach Amerykan w niemałym znaleźli się niebezpieczeństwie; łatwo za to, czego bądź sami jeńce, bądź ich towarzysze byli się dopuścili, lud gromadzący się mógł zapragnąć zemsty. Aby temu zapobiedz, Wasyngton wydał odezwę, w której zwrócił na to uwagę, że żołnierze ci nie przybyli z własnej woli do Ameryki, aby mieć udział w walce przeciw narodowi, praw swych najświętszych broniącemu lecz że to ofiary tyranii swego panującego, który jak bydło ich sprzedał. Są to więc nieszczęśliwi, którzy zamiast na zemstę, zasługują na polutowanie. Odezwa ta nie pozostała bez pożądanego skutku.

Tymczasem dowiedział się Wasyngton, że zamiast go ścigać, cofnął się nieprzyjaciel; postanowił więc po raz wtóry natrzeć na niego. W cztery dni po pierwszém przejściu znów przebył Delaware. Howe wysłał przeciw niemu lorda Kornwalissa w 8000 wojska. Wasyngton zajął bezpieczne stanowisko i odparł kilka natarć Anglików. Lord Kornwallis był swego pewny, raz że rozporządzał siłami znacznie przewyższającemi oddział Wasyngtona, powtórze, że szły za nim nowe posiłki; sądził więc, że, jak się wyrażał, schwyta lisa w jego norze. Tylko o tém nie pomyślał, że lis nie będzie dopóty czekał, dopóki Jego lordowskięj Mości nie podoba się, uderzyć na niego siłami wzmocnionemi. Wprawdzie paliły się przez całą noc szeroką łuną ognie obozowe w miejscu, które dzień przedtém zajmowali Amerykanie; ale skoro zaświtało, szlachetny lord dowiedział

się, że lis wymknął się „z nory“, a Wasyngton obszedłszy go, stanął o kilka mil pod Princeton, tyłom nieprzyjaciela zagrażając. Tam napadł na trzy pułki posiłków Kornwallisowi przeznaczonych. Wszczęła się zacięta walka. Anglicy bronili się zapamiętale; przez dłuższy czas chwiała się szala zwycięstwa. Niebezpieczeństwo dla wojska amerykańskiego ciągle się wzmagало. Opuszczony przez nich z rana obóz, a do tego oddalony huk dział, dawno zapewne oświecił lorda o zamiarach nieprzyjaciela. Nuż lord, mający pod sobą znaczny oddział jazdy, natrze z tyłu na Amerykan, zaprzątniętych jeszcze walką z oddziałem, na który byli uderzyli! Trzeba więc było zwyciężyć, i to zwyciężyć jak najspieszniej. Amerykanie, ośmieszeni zwycięstwem, które przed czterema dniami odnieśli pod Trentonem, z podziwienia godném walczyli męstwem. Prócz tego zagrzewał ich przykład wodza. Gdzie najgorętsza wrzała walka, tam zawsze zjawiała się jego wysoka, imponująca postać, ogniem męstwa opromieniona. Chwilami znikwała w gęstych kłębach dymu przed wzrokiem szeregów; wówczas drżały serca na myśl, co się stanie z całą sprawą, gdyby go śmierć zmioła! Ale Opatrzność czuwała nad wybranćem swoim. Olbrzymie sił natężenie uwieńczył pomyślny skutek. Nieprzyjaciel pierzchnął; zostawiwszy 500 poległych i rannych, a 300 jeńców w rękach zwycięzców. Jaki wpływ wywarło na usposobienie wojska amerykańskiego wtóre to w krótkim czasie zwycięstwo, okazują listy pisane z pola bitwy. Jeden z walczących w téj bitwie pisze wkrótce po niej: Uczuliśmy się jakbyśmy zmarłychwstali. Mnóstwo zgłosiło się rekrutów; starzy żołnierze na nowo wstąpili w służbę.“ Drugi pisze o zachowaniu się Wasyngtona w bitwie: „Wojsko bardzo kocha wodza. Ale ma mu także coś do zarzucenia. Podczas bitwy mało dba on o bezpieczeństwo swojej osoby. Męstwo jego osobiste i chęć przyświecania żołnierzom własnym przykładem, nie pozwalają mu myśleć o niebezpieczeństwie.“ Po bitwie ostatniej udał się Wasyngton na zimowe leże w górską okolicę koło Moristownu; zajął tam nieprzystępne stanowisko, zkąd ciągłymi podjazdami trapiąc nieprzyjaciela, zmusił go do cofnięcia się w dalsze strony.

Europa, która ze współczuciem śledziła toku sprawy młodej Ameryki, uważała ją przed wyprawą przez Delaware za straconą. Trenton i Princeton i tu ożywiły i wzmocniły zachwianą w przyszłość kolonii wiarę. We wszystkie serca, sprzyjające uczciwój sprawie, wstąpiła otucha, że Ameryka zdobędzie niepodległość. We Fran-

cyi, tej lekkomyślnej, ale do wszystkiego, co szlachetne, tak lekko zapalającą się Francyi, współzucie dla ludu amerykańskiego i jego bohatyrskiego wodza rozplómięło się w gorący zapal; a nawet w samolubnej Anglii zaszczytano często Wasyngtona nazwiskiem amerykańskiego Fabiusza.

XIV. Lafajet. Kościuszko. Pułaski. Steuben.

! We Francyi najwcześniej zapłonął zapal dla usiłowań kolonii amerykańskich. Sprawa narodu, o niepodległość walczącego, obudziła już dlatego tak żywe współzucie, że i we Francyi pod panowaniem Burbonów doznającą pokrzywdzenia i dotkliwej obrazy poczucia godności narodowej, zbierały się żywioły na wytworzenie tej atmosfery, z której o kilka lat później uderzyły te straszne gromy; coto zatrzęsły podwalinami nietylko jej samą, lecz i wszystkich prawie państw stałego europejskiego lądu.

Następstwo to czasowe rewolucyi francuskiej po wojnie Ameryki o niepodległość zrodziło w niektórych głowach mniemanie, jakoby oba te wielkie zdarzenia dziejowe jeśli nie z jednego, to przynajmniej z bardzo podobnego wypłynęły źródła. Toteż są tacy, którzy je kładą na równi. Tymczasem tak się rzecz nie ma; między jednym a drugim dziejowym faktem ogromna zionie przepaść. Przyczyna tu i tam prawie ta sama: despotyzm poniewierający najświętszymi prawami narodu; ale między objawami ruchu, między celem a skutkiem, ogromna zachodzi różnica. Nie można wprowadzić twierdzić, żeby powodzenie Amerykan w niczem nie przyczyniło się do przyspieszenia wybuchu wulkanu rewolucyi francuskiej; wszelako już ta okoliczność, że Amerykanie, jako mieszkańcy kolonii zamorskich, od samego początku do rządu angielskiego w innym, znacznie swobodniejszym, aniżeli Francuzi do rządu swego, zostawali stosunku, nie małą stanowi różnicę. Sama już przestrzeń wpływa na odmienny tegoż stosunku rozwój; większą zaś różnicę stanowi ustalenie się i jakby wnিকnienie w krew Amerykan rządów konstytucyjnych. Toteż widzieliśmy, jak to Amerykanie przez czas dłuższy usiłują na drodze prawa utrwalić dawny swój z rządem angielskim stosunek, który rząd ten naruszył i zachwiał w swém zaślepieniu. Dopiero,

kiedy wyczerpali wszelkie środki z prawa⁷⁷ wypływające, kiedy Anglia zamknęła im wszelkie drogi prawne, uczynili oni krok stanowczy i zerwanie węzłów dawnych ogłosili. Inaczej rzecz się ma we Francyi. Tu samowola despotycznego rządu, który od czasów Ludwika XIV skupiał wszelkie prawa w osobie monarchi, i monarchizm absolutny jako bożyszcze wyniósł wysoko ponad poziom życia i prawa całego narodu, na każdym kroku dawała się we znaki narodowi. Niechęć, a później oburzenie rosły, ale dłuższy czas kryć się musiały; toteż tłumione w sobie, tém silniej wrzały, aż nareszcie wybuchły strasznym naraz pożarem, któremu już nikt tamy położyć nie zdołał, dopóki sam do szczytu się nie wypalił i nie zniszczył nagromadzonych w ciągu czasu żywiołów. Toż pochłania on wszystkie kierunki życia narodowego. W Ameryce ruch cały tyczy się tylko prawnego stosunku kolonii do rządu angielskiego; ani sprawy wewnętrznego porządku społecznego, ani spraw sumienia, wiary i religii ruch ten w niczem nietylko nie narusza, ale ich nawet nie dotyka. Owszem w religii Amerykanie szukali uświęcenia usiłowań swoich, w niej miary wytycznej w porządkowaniu nowego stanu rzeczy. Francuzi krusząc pęta niewoli, obalają i ołtarz religii i szalejąc wynoszą na ołtarz boginią rozumu, ci sami, którym w onęj chwili właśnie już brakło było rozumu. Ameryka drogą godziwych usiłowań i ciężkiej pracy narodowej, oddając sprawę swą opiece Opatrzności, wolność sobie zdobyła, kiedy Francya, szaleńcem rozwścieklona we własnych srożyła się wewnątrznościach, z niewoli królewskiej popadła w gorszą stokroć niewolą wściekłych bohaterów chwili i służącego mu za ślepe narzędzie szalejącego motłochu; znosiła więc najstraszniejszą tyranią, mimo wszelkich świetnych tytułów, jakie nadawała temu nowemu stanowi rzeczy. Toteż usiłowania Amerykan były godziwem dobijaniem się o prawa, konstytucją państwa i kraju obywatelom zabezpieczone; a gdy ta droga legalna nie doprowadziła do celu, zamieniły się na walkę o niepodległość; kiedy ruch we Francyi już w swym zarodzie był wybuchem strasnej choroby organizmu, długim rozstrojem nękanego; wstrząś więc od razu wszelkiemi podwalinami bytu społecznego, od razu wystąpił z karbów wszelkiego porządku i stał się rewolucją w najpotworniejszych objawach, jakich na próżno szukamy w dawniejszych rodu ludzkiego dziejach. Całe postępowanie Amerykan cechuje rozwaga i powaga; Francuzów szalał i rozkielznanie.

Rzekło się na wstępie tego rozdziału, że we Francyi najwcześniej obudziło się żywe dla sprawy kolonii amerykańskich współczucie i zapał. Wielu znakomitych Francuzów z sercem, życzliwością przepełnioném, śledziło toku walki, wiedzionę w lasach amerykańskich. Pierwsze między nimi miejsce zajmuje dziewiętnastoletni oficer, Lafajet (Lafayette); mężczyzna piękny, bogaty, szczęśliwy w życiu małżeńskiem, należący do najznakomitszych we Francyi rodzin. U dworu czekały go najświetniejsze stanowiska, największe zaszczyty. Ale Lafajet gardził próżniactwem życiem dworskiem; oburzał się patrząc, w jaki sposób trwoniono tu podatki, wyciskane z biednego ludu; brzydził się także lekkomyślném z dnia na dzień życiem Paryżan. Toteż unikał stolicy, żyjąc w zaciszu życia rodzinnego w majątku swym, od stolicy znacznie oddalonym. Tu w towarzystwie młodej, szlachetnej i światłej żony pędził dni najszcześniejsze. Sam przejęty najszlachetniejszymi zasadami, miłujący gorąco wolność, a nieprzyjaciół despotyzmu, powziął myśl oddania usług sprawie amerykańskiej. Piszze o nim jeden z biografów: „Ożywiony zapałem, jakim zazwyczaj wielkie zdarzenia napawają szlachetne serca, zajął się z ogniem, właściwym prawie wszystkim szlachetniejszym owęj epoki ludziom, a zwłaszcza Francuzom, sprawą amerykańską, a przeświadczony o jej słuszności i świętości, za własną ją uważał. Żywo więc zapragnął czynnego w niej udziału i zwierzył się pełnomocnikom amerykańskim, bawiącym w Paryżu, z zamiarem udania się do ich ojczyzny. Ci utwierdzili go w szlachetnym jego zamiśle. Ale kiedy otrzymawszy wiadomość o niepowodzeniu na Long Island, sami zwątpili o pomyślnym usiłowań Ameryki skutku, sami mu odradzali wykonania zamiaru, oświadczając nawet, że wobec tego zwrotu rzeczy nie mieliby środków na wyprawę statku, któryby go przewiózł do Ameryki. Na to miał im odpowiedzieć niezrażony młody Lafajet, że teraz najstosowniejszą pora do służenia ich sprawie; czém większe bowiem zwątpienie opanowywa ludy, odjazd jego tém większe sprawi wrażenie; a jeżeli oni nie mogą dostarczyć mu statku, tedy on na własny koszt go sobie sprawi; co też na prawdę uczynił. Publiczność się zdumiała; krok ten człowieka, zajmującego w społeczeństwie tak znaczne stanowisko, powszechną na się zwrócił uwagę i różne wywołał zdania. Rząd francuski, czyto nie chcąc narazić się Anglii, czy że nie pochwalał postanowienia młodego markiza, zabronił mu wyprawy. Twierdzą nawet niektórzy, że wysłał był okręty z rozkazem schwytania go na morzu Karaibskiem.

Mimo to wszystko Lafajet opuścił młodą, kochającą i ukochaną żonę i puścił się na morze.“

Wylądowawszy szczęśliwie w Ameryce, udał się najpierw do prezydenta kongresu; a gdy przybyli już przedtém do Ameryki oficerowie francuscy, występowali z wygórowanemi pretensjami, żądając stopni i płac wysokich: Lafajet oświadczył, że służyć chce o własnym koszcie jako prosty żołnierz. Wystąpienie jego, a zgoda całe zachowanie się, zjednało mu od razu serca poważnych członków kongresu. Przyznano mu stopień generała-majora; Wasyngton przyjął go otwartemi ramionami, i między oboma zawiązał się stosunek bardzo serdecznej przyjaźni, który dopiero śmierć rozerwała. Lafajet miał często sposobność okazania dzielności swój na polu bitwy.

„Także szlachetny Polak, sławny Tadeusz Kościuszko — pisze Niemiec Ferdynad Szmidt — poświęcił swą szpadę walce o niepodległość Ameryki. Już od wczesnej młodości szlachetność przenikała wszystkie jego uczynki. W instytucie kadetów w Warszawie najusilniejszą własną w naukach pracą pierwsze między towarzyszami zdobył sobie miejsce.“ Później jako oficer służył w wojsku narodowém. W końcu Grudnia 1777 r. Kościuszko przybył do Ameryki. O tém przybyciu jego pisze M. B. Jullien. „Bez wszelkich środków i pism polecających stanął on przed Wasyngtonem. Cóż pan zamysłasz począc? zapytał wódz naczelny, który zawsze mówił bardzo zwieźle. Przychodzę jako ochotnik, aby walczyć o niepodległość Ameryki, również krótko i stanowczo odpowiedział Kościuszko. Cóż pan umiesz? spytał następnie Wasyngton; na co odrzekł z właściwą sobie szlachetną prostotą Kościuszko: „Racz mnie doświadczyć generale!“ Stało się temu zadość, a Wasyngton wkrótce przekonał się o dzielności szlachetnego Polaka.“ Oddano mu najpierw kompanię; a kiedy podczas odwrotu Anglików z Filadelfii ścigali ich Amerykanie, Kościuszko na czele kompanii ochotników cudów waleczności dokazywał. Lafajet, który dowodził oddziałem ścigającym nieprzyjaciela, w wieczór po dniu krwawym dowiadywał się o dowódcę owych ochotników. „Jestto młody Polak, szlachetnie urodzony, ale ubogi, i jeśli się nie mylę, nazywa się Kościuszko“ odpowiedział Wayne. Ochotnicy biwakowali o pół mili od obozu; Lafajet dosiadł konia, pospieszył do ochotników i kazał się zaprowadzić do Kościuszki. Wszedłszy do namiotu, zastał go jeszcze obryzganego krwią i kurzem okrytego. Kościuszko siedział wsparty na rękę przy stole, na którym mapa była rozłożona. Tu się po-

znali obaj młodzi bohaterowie, i od téj chwili ścisła łączyła ich przyjaźń.

Lafajet doniósł o waleczności Kościuszki Wasyngtonowi, a ten odtąd pilną na niego zwracał uwagę. Kościuszko odznaczył się w wyprawie na Rode Island i przy oblężeniu Nowego Jorku. Kiedy Wasyngton, objeżdżając szeregi, zbliżył się do oddziału Kościuszki, ten wystąpiwszy naprzód, zawołał z zapalem: „Wodzu! jutro w wieczór zdobędę baterią nieprzyjacielską lub zginę!“ W saméj rzeczy korzystając z ciemnej nocy, Kościuszko podsunął się pod baterią; ale pomimo ostrożności odkryty, krwawą musiał stoczyć walkę. Ciężko rany w prawą rękę, chwycił w lewą pałasz i wiódł oddział swój do szturm. Odwagą i zapalem jego zagrzani żołnierze wyparli wroga; Kościuszko zdobył trzy działa i dwa sztandary, i znaczną liczbę zabrał jeńców. Jak go żołnierze kochali, świadczy następujące zdarzenie. Żołnierz trafiony kulą, kiedy go towarzysz podnosząc z ziemi, chciał ratować, rzekł: „Zostaw mnie, ja tylko prostym jestem żołnierzem; raczej ratuj naszego kapitana i zdobyte armaty!“ Kiedy po zdobyciu Nowego Jorku Wasyngton dziękował oficerom, ujął Kościuszkę za zranioną rękę, i wobec zebranych chwalać jego zasługi i męstwo, wyniósł go na stopień podpułkownika i swego adjutanta; a gdy go bliżej poznał, synem swoim nazywał. Umiał cenić ten zaszczyt Kościuszko, bo w liście do Niemcewicza tytuł ten „uważał za swoje najwyższe na ziemi dobro, które najbardziej szanuje“.

Kościuszko w charakterze swym wiele podobieństwa miał do Wasyngtona; waleczny w boju, był zarazem ludzkim dla nieprzyjaciela. Dał tego dowód, kiedy jeden z generałów amerykańskich rozkazał mordować zwyciężonych Anglików. Kościuszko oparł się temu rozkázowi i pod karą śmierci nakazał swym żołnierzom, aby szanowali życie nieprzyjacioł. Toteż tak męstwem swém, jakoteż ludzkością zjednał sobie miłość i uszanowanie żołnierzy. Wojsko amerykańskie zrazu tylko na pewien czas przyjmowało służbę, po którego upływie oddziały wracały do domu lub na nowo się zaciągały. Tak sobie postanowił być postąpić pewnego razu oddział, którym dowodził Kościuszko; a ponieważ służył nawet nad czas oznaczony, głośnie wznosił przeciw temu skargi. Co słysząc Kościuszko i przyznawszy uzalającym się na to słusność, wreszcie w te do nich odezwał się słowa: „Przyjaciele! słowo uwolnienia was od służby jest wam dane, a to słowo jest dla mnie święte i niezłomne. Jeżeli dobrowolnie nie chcecie zostać, tedy idźcie w pokój, ja was ze służby

uwalniam. Co się zaś mnie tyczy, nie opuszczę powierzonego mi miejsca, i zostanę się z tymi, którzy razem ze mną chcą walczyć.“ Słowa te cudownie działały na wzburzone umysły; zabrzmiał też jednomyślny okrzyk: „Zostaniemy przy tobie; nie opuścimy naszego wodza!“

Po skończonej wojnie niepodległa Ameryka, wdzięczna za tyle usług, ozdobiła piersi Kościuszki orderem Cyncynata, wyniosła go na stopień generała brygady, nadała mu prawo obywatelstwa i prócz pensyi rocznej, wyznaczyła znaczne obszary ziemi.*). A kiedy Kościuszko w r. 1817 umarł w Solurze, Stany zjednoczone uczciły pamięć jego pomnikiem w mieście Westpoint.

Pierwój, nim Kościuszko, przybył do Ameryki Kazimiérz Pułaski, aby walczyć za wolność Stanów zjednoczonych. Pułaski, średni syn Józefa Pułaskiego, starosty Wareckiego, marszałka konfederacyi Barskiej, w której i sam i synowie jego najczynniejszy wzięli udział, zpomiedzy braci, stał się najgłośniejszym; w różnych stronach kraju uganiał się za wrogiem, i jak niegdyś Czarnecki trapił go podjazdami. „Pełen ognia i poświęcenia się, stał się wzorem dla młodzieży, która przepadała za nim. Miły w pożyciu towarzyskiem, w bitwie był jako lew, przytomny i dzielny; to życie pełne znoju i niebezpieczeństw, rychło rozwinęło w nim niepospolite zdolności. Nasz Artur, nasz Roland — szukał bojów za swoją damę, to jest wolność, którą ukochał w idealnym posagu, jaki w płomieniu swojej duszy wyrobił. Piękność to ogólnego wielkiego typu: i duchem i ciałem zarówno silny podług wzoru homerycznych czasów; gdyby był żył w czasie wyprawy pod Troją, byłby drugi z niego bohater, coby Achillesową dzidą potrzęsnał.“ Po upadku konfederacyi Barskiej Pułaski ze Stambułu popłynął do Francyi, tam widział się z Franklinem, poczem do Ameryki się udał. Dnia 20go sierpnia 1777 przybił do stałego lądu Ameryki w towarzystwie przyjaciela, nieodstępного, niejakiego Macieja Rogowskiego. Wasyngton przyjął go uprzejmie i stopień generała brygady w kawalerii mu nadał. Pułaski wnet wziął udział w walce. Później osobnym dowodził korpusem, na którego czele bił się przez dwa lata (1778 i 1779) na wybrzeżach wschodnich Ameryki i na niepospolite imię sobie zasłużył. Zginął w bitwie pod Sawaną 1779.

*) K. Wł. Wojcieckiego: „Kościuszko“, artykuł w Encyklopedyi powszechnej Orgelbranda.

Pamięć jego do dziś dnia żyje w Ameryce; popiersie znajduje się w galerii kongresu w Wasyngtonie; portretów jego mnóstwo. Okręty i hotele w Sawanie noszą jego nazwisko, stoi tam i pomnik, obelisk kamienny na wysokiej podstawie. Poeta amerykański Longfellow poezią uczcił Pułaskiego. *)

I Niemiec baron Sztajben (Steuben) wziął także udział w walce o niepodległość Ameryki i znakomite w niej zajął stanowisko. Wyszedł on był z pruskiej szkoły wojskowej, pierwszej, jak się Wasyngton wyrażał, w Europie. Ameryka zyskała w nim generała, który osobiście pod względem karności bardzo wiele zdziałał. Nie rozumiejąc ani słowa po angielsku, objął ofiarowany mu urząd jeneralnego inspektora i umiał ludzi, do wolności przywykłych, tak ująć w karby karności wojskowej, że na słowo, a nawet na samo spojrzenie jego, ślepo pełnili rozkazy. Później wyznaczył mu rząd amerykański „za usługi oddane podczas wojny Zjednoczonym Stanom“ 16,000 akrów ziemi, na których Sztajben osiadł i gospodarstwo założył. Prócz niego wielu Niemców udawało się do Ameryki, aby nieść pomoc narodowi w dziele wyswobodzenia się z niewoli. Niemcy ci, jakoteż synowie dawniejszych niemieckich osadników tworzyli całe pułki, które Wasyngton zaliczał do najodważniejszych i najpewniejszych swych żołnierzy.

XV. Do zawarcia pokoju.

Lat kilka trwała już walka, w ogóle jeśli się zważy na położenie Amerykan, dla nich dość pomyślna. Ale miały jeszcze nastąpić czasy przykre; czasy, w których i najdzielniejsi synowie Ameryki tracili wiarę w pomyślny walki wypadek. Karność w wojsku zawsze jeszcze wiele pozostawiała do życzenia, bo to, czego w tym względzie szczęśliwie dokonał baron Sztajben, nie od razu przyjęło się w całej armii. W ogóle cała organizacja wojska na stopę regularną odbywała właśnie epokę przejścia w swym rozwoju; a do tego cały ówczesny stan rzeczy niesłychanych od żołnierzy wymagał

*) Jul. Bartoszewicz: Pułaski Kazimierz w Encyklopedyi Orgelbranda.
— Pułascy — powieść historyczna przez Stanisława i Leona Chrzanowskich.

ofiar. Tak uzbrojenie jak zaopatrywanie armii w niezbędne potrzeby, było jeszcze niedostateczne; często brakło najzwyczajszego pożywienia; trudno było o broń i odzienie. Kongres, aby pokryć wydatki, uciekł się do papierowych pieniędzy. W Anglii zaraz je podrabiano i w wielkiej ilości wywożono do Ameryki, przezco znacznie się zniżyła wartość asygnat amerykańskich. Prócz tego nieprzyjaciół był panem na morzu; miał więc w swym ręku przystęp do kraju, a zajmując to tę, to ową część kolonii, zabierał wszystko, co tylko znalazł. Podupadł więc handel, przemysł i rolnictwo; niedostatek i nędza zaczęły dotkliwie dokuczać ludności. Do czego stan ten rzeczy mógł doprowadzić, łatwo było przewidzieć. Na szczęście jednak naród miał w Wasyngtonie wodza, który wszystkim przyświecał przykładem, a którego mądre słowo prawie zawsze trafiało do serca i głowy! Żołnierz w wojnie, zwłaszcza gdy cierpi niedostatek, bardzo bywa pochozny do używania przemocy, jeśli chodzi o zaspokojenie potrzeb. Historia wojen uczy, że nieraz spokojni we własnym kraju mieszkańcy zarówno od swoich jak od nieprzyjaciela ciężkie ponosili krzywdy. Nawet sam kongres słuchał tylko jednem uchem wiadomości, że oddziały amerykańskie przemocą zabierały dla siebie żywność. Inaczej rzecz tę pojmował wódz naczelny. Starał on się i w tym względzie o stosowne i godziwe urządzenie. Stanowczo więc zażądał od kongresu uporządkowania dostaw dla wojska, wyłożywszy szkodliwe skutki, jakieby koniecznie nastąpiły, gdyby w wojsku rozpowszechnił się i ustalił zwyczaj dostarczania sobie potrzeb przemocą i na własną rękę. „Postępowanie takie — pisze on w raporcie — „choćby na chwilę sprawę ułatwiło, pociągnie za sobą najzgubniejsze na przyszłość następstwa. Szerzy ono bowiem niezadowolenie, nienawiść i trwogę między ludnością, a oraz zawsze, nawet w wojsku najkarniejszém, obudza chęć do nadużyć, grabieży i rabunku, które później trudne do powściągnięcia, nie tylko mieszkańcom, lecz przedewszystkiém wojsku stają się niebezpiecznymi i szkodliwymi. Co do mnie, konieczność uciekania się do takich środków uważać będę za największe nieszczęście.“ Mimo to jednak, a może właśnie dla téj na każdym kroku rzetelności, trafiały szlachetnego wodza i później często pociski oszczerstwa. Głupi nie poznawali się na nim, a chciwi wyniesienia kusili się o jego stanowisko. Jak przedtém generał Lee, tak teraz generał Gates wicherzył potajemnie celem wyparcia Wasyngtona i objęcia po nim naczelnego dowództwa. Przyszło także do rokoszów w poszczegół-

nych oddziałach wojska. Dotkliwy niedostatek był temu przyczyną. Kongres domagał się najsurowszego ukarania winnych; na co odpowiedział Wasyngton: „Nie należy zapominać, że żołnierze nie są z drzewa lub kamienia, nieczuli na mróz i śnieg.“ Zdarzało się bowiem, że po drogach, któremi przechodziło bose nawet wojsko, spostrzegano na śniegu liczne krwi ślady! Ale wystawiwszy kongresowi prawdziwy stan rzeczy, Wasyngton zwrócił się także do wojska, wystawiając mu w gorących słowach położenie kraju, wzniosłość zadania i to, czego ojczyzna słusznie po niém może wymagać. „Nasze położenie“ — rzekł Wasyngton między innemi — „jest ze wszystkich najczystsze; nawet cień przestępstwa zaćmiewa jasność naszych świetnych czynów.“ Zwracając się tym sposobem do szlachetniejszej strony natury ludzkiej, Wasyngton doznał tego zadowolenia, że postępowanie jego pożądaný osiągnęło skutek. Żelaznej surowości i nieodstępnej od niej grozy używał on w razach ostatecznych; a wtedy prawu wojennemu pozostawiał bezwzględne wykonanie wyroku. Zdarzało się więc, że buntowników kulą, szpiegów stryczkiem karano.

W tym czasie pozwolił nareszcie kongres na zmianę co do służby wojskowej, czego już od dawna domagał się Wasyngton; powiodło mu się bowiem przynajmniej o tyle przewyciężyć wstręt ziomków do armii stałej, że dotychczasową służbę jednoroczną przedłużono do lat trzech, podwyższono żołd, a oficerom i żołnierzom wynagrodzenie w ziemi obiecano. Zmiana ta i na poprawę karności wpłynęła, a nadto i w tém się okazała skuteczną, że teraz mnóstwo zgłaszało się ochotników.

Tymczasem nie zasypiali sprawy i Anglicy. Dwa wielkie wojska ciągnęły przeciw Amerykanom. Howe prowadził jedno od Nowego Jorku, z drugim szedł Bourgoyne z Kanady. Przeciw Howemu działał Wasyngton, który unikając większej walki, tylko podjazdami mu się naprzykrzał. Dopiero kiedy Howe rozpoczął już pochód na Filadelfią, Wasyngton mając około 15.000 wojska przyjął bitwę nad rzeką Brandiwinem, aby ocalić miasto, będące siedzibą kongresu. D. 11go Września 1777 nastąpiła walka, dla Amerykan niepomyślna. Droga do Filadelfii była otwartą. Chciał wprawdzie Wasyngton raz jeszcze spotkać się z nieprzyjacielem, ale długa ulewa zniszczyła mu zapasy wojenne; poprzestał więc na zajęciu bezpiecznego stanowiska. Howe zajął Filadelfią, prawie pustą, bo i kongres i największa część obywateli opuściła miasto.

Daléj nie mógł się posunąć Howe, bo lekkie oddziały amerykańskie wszędzie mu drogę przecinały.

Bourgoyne ciągnął w 10.000 od Kanady. I on walczył po-myślnie pod Hubertonem, gdzie Amerykanie stracili 2000 ludzi. Ale na tem się też skończyło jego powodzenie. Rycerz ten nie po-przestał na Niemcach, z których się składało jego wojsko. Miał on ze sobą i oddział dzikich krajowców, którzy wcale nie po europejsku walczyli. Topór i nóż do skalpowania skóry z głów nieprzyjacielskich, to jedyna była broń sprzymierzeńców generała angielskiego. Łatwo się dorozumieć, jakich dzieł ta dopu-szczała się gwałtów. Ale też i oburzenie ztąd wynikłe sprowadzało wodzowi amerykańskiemu ochotników. Wasyngton, sam zajęty Ho-wem, wysłał przeciw Bourgoynemu znaczny oddział, którym dowo-dzili zdolni wodzowie Arnold i Gates. Ostatniemu przypisywał Ko-ściuszko więcej wojennych zdolności niż Wasyngtonowi. Ośmielony powodzeniem Bourgoyne puścił się naprzód, ale wkrótce znalazł się w okolicy, pełnej bezdennych moczar wśród lasów pierwotnych. Amerykanie, pościnawszy olbrzymie drzewa, zamykali mu co chwila drogę. Przybywszy pod Saratogę, generał angielski rozłożył się obo-zem; bo sam nie wiedział co począć. W około miał do 14.000 Amerykan na karku, którzy go ze wszech stron otaczali, żadnego nie dopuszczając dowozu. Usiłowania, aby się przebić przez nie-przyjaciela, nie powiodły się i raz Arnold i Gates na czele swoich wdarli się już byli do obozu angielskiego, a tylko noc zapadająca i rana ciężka, którą otrzymał Arnold, przeszkodziła zdobyciu obozu. Od téj chwili Amerykanie unikali wszelkiej większej bitwy, a nato-miast coraz więcej otaczali go ze wszech stron. Wreszcie brakło wojsku angielskiemu żywności. Zwołana rada wojenna głosowała za poddaniem się. Bourgoyne to uczynił, zawierając z wodzem amery-kańskim Horacyuszem Gatesem kapitulacyą. Senat amerykański otrzymał raport tej treści: „Szczęśliwy ten dzień wydał w ręce nasze sześciu generałów, 5000 żołnierzy, tyleż karabinów i 27 dział z potrzebną do tego amunicyą. Prócz tego podczas tej wyprawy ujęliśmy 2000 jeńców; między nimi kilku oficerów stopni wyż-szych.“

W dziejach téj wojny nie masz wielkiej liczby bitew, ani też znacznych mas walczących; toteż kapitulacya Bourgoynego znaczyła tyle, co w innych wojnach zniszczenie wielkiej armii.

Poddanie się Anglików pod Saratogą stanowi główny zwrot w wojnie o niepodległość Stanów zjednoczonych; ono bowiem sprawiło, że dwór francuski czynnie wystąpił po ich stronie. Dnia 6go Lutego 1778 Ludwik XVI zawarł przyjaźną ze Stanami umowę, a nadto tajemnie przymierze zaczepno-odporne. Franklin, jako wysłannik Ameryki, w téj sprawie pośredniczył. D. 17go Marca oświadczył król Jerzy III w parlamencie, iż uważa umowę Ludwika XVI z Ameryką za krok względem Anglii nieprzyjaźny i wniósł wypowiedzenie wojny. Karol Fox, wówczas już znakomity mowca, przemawiał za uznaniem Ameryki, zwracając uwagę na niebezpieczeństwo drugiej grożącej wojny. Poczém zabrał głos siedmdziesięcioletni lord Pitt, dawniejszy lord Chatham, ten sam, który dawniej, gdy naruszano prawa kolonii, silnie stawał w ich obronie, teraz wycieczony i o kulę wsparty, mając godność narodu na względzie, w te odezwał się słowa: „Z bojaźni wojny z Francją uznać Amerykę niepodległą, to nie zgadza się z godnością Wielkiej Brytanii.“ Pitt rozwijając myśl swą, z wysilenia padł na krzesło, a usiłując zwalczyć kurcz w piersiach i dobyć głosu, zemdłał; niezadługo zaś potém życie zakończył. Parlament uchwalił wojnę przeciw Francji. Obie strony czyniły wielkie przygotowania. Francya wysłała 18 okrętów do Ameryki. Hiszpania na mocy istniejącej wówczas umowy familijnej między Burbonami francuskimi i hiszpańskimi, wypowiedziała Anglii wojnę, nie kierując się wprawdzie współczuciem dla Ameryki, lecz antagonizmem przeciw Anglii.

Ale i Anglia także nie zaniechała przygotowań do walki. Do Ameryki^a wysłała nowe siły, oddając je pod naczelne dowództwo generałowi Klintonowi z poleceniem, aby widownią wojny przeniósł w południowe zjednoczonych Stanów prowincye. Jakoż przeważnie w obojój Karolinie i Georgii główna teraz toczyła się walka. Tu bowiem najwięcej było tak zwanych lojalistów czyli zwolenników Anglii; zaciętą więc z obu stron w trzech tych krainach staczano walkę.

Na téj to widowni wojennej uganiał się Kazimierz Pułaski za Anglikami, odparł ich z pod Charlestownu, stolicy Karoliny, a potem w bitwie pod Sawaną zginął 9go Października 1779.

Wr. 1780 Klinton zajął Charlestown, a następnie podbił kraj cały.

Tymczasem wylądowało (w Czerwcu 1780) 6000 Francuzów pod dowództwem generała Rochambeau (Roszambo) ze znacznymi zasobami wojennymi. W obozie francuskim widziano kwiat szlachty

francuskiej i tutaj pierwsze próby wojenne odbywali głośni w późniejszych czasach we Francji: Noailles, Karol Lameth, Mateusz Dumas, Aleksander Berthier, Custine, Segur, Biron i wielu innych. Wkrótce za wojskiem przybyła od Ludwika XVI i znaczna pomoc w pieniądzech, zarówno z wojskiem Amerykanom pożądana. W krótkim czasie armia Wasyngtona wynosiła 20.000 ludzi; najliczniejsza w całym przeciągu tej wojny.

Ale na południu, nim armia się ta zebrała, walka coraz straszniejszy przybierała charakter. Jenerał angielski Kornwallis żądał od mieszkańców nie tylko poddania się i biernego zachowania, lecz zmuszał ich do służby w wojsku królewskim, a wzbraniających się najsrożej prześladował. Srogość ta wywołała powstanie mieszkańców, co pociągnęło za sobą najwyszukańsze gwałty. Anglicy bowiem na większy rozmiar, aniżeli przedtem, użyli do walki, a raczej do napadów w posiadłości Stanów zjednoczonych, nadgranicznych plemion indyjskich. Nie tylko ajenci angielscy pobudzali ciągle Irokezów i Kreków do takich napadów, ale nawet sami ucywilizowani synowie i obywatele konstytucyjnej Wielkiej Brytanii stawali na czele band tych dzikich, a mordów chciwych rabusiów. Łupieże, pożogi, mordy bez różnicy płci i wieku, pastwienie się najokrutniejsze nad bezbronnymi, gwałty brutalne nad kobietami, to były czyny zwykłe tej dziczy, z wolnymi synami Albionu sprzymierzonej, a jak się rzekło, przez nich nawet dowodzonej. Cierpiały więc nie mało pograniczne ziemie kolonii, ale i ten środek taktyki angielskiej wręcz przeciwny, niż się spodziewano, wywarł skutek. Tak bowiem srogość Kornwalisa, jakoteż gwałty band dzikich, przekonały nawet najuporniejszych lojalistów, że nie ma co dalej stać po stronie rządu, takich mającego się środków; każde serec, w którym nie wygasła ostatnia życia ludzkiego iskra, zawrzeć musiało do głębi oburzeniem na to cywilizowanego narodu gospodarstwo. Toteż nawet dotychczas najobojetniejsi stanęli po stronie własnego kraju; wzmógł się zapał dla świętej sprawy; nawet kobiety działały w swym zakresie, okazując wzgardę młodzieńcom i zdolnym do broni mężczyznom, skoro który odciągał się od służby w obronie kraju.

Krwawe to więc były te zapasy młodej Ameryki przeciw potężde pierwszorzędno mocarstwa.

Młoda Ameryka wiele przeszkód miała do zwalczania; a nawet, jakżeby przeznaczonej pić z wszelkich kielichów goryczy, przyszło jej spotkać się u siebie ze zdradą, która na szczęście wcze-

śnie odkryta, wprawdzie nie przyniosła szkody, wszelako nie pozostała bez wpływu demoralizującego; na wszelki zaś przypadek zakrwawić musiała serce każdego uczciwego patryoty.

Arnold, który, jak się wyżej rzekło, z Gatesem dowodził wojskiem przeciw Bourgoynemu i w znacznej części przyczynił się był do tegoż w Saratodze kapitulacyi, z czego urósł w znaczenie i wziętość u narodu, otrzymał był dowództwo nad załogą w Filadelfii, aby tém łatwiej z ran mógł się wyléczyć. Ale tu się okazało, że patryotyzm tego, zresztą dzielnego oficera, bardzo lichego był gatunku. W kasie wojennej dostrzeżono braku pieniędzy, a śledztwo wykazało dowodnie, że ukradł je sam Arnold. Czyn ten haniebny pociągał za sobą karę jak najsurowszą; wszelako ze względu na usługi, jakie Arnold oddał był ojczyźnie, odstąpiono tym razem od słusznego prawa surowości, a winnemu dano tylko z urzędu naganę. Pokazało się jednak, że złodziej nie wart był względów. Arnold bowiem myślał o zemście i w tym celu potajemnie wszedł w stosunki z nieprzyjacielem. Ambicya i chciwość grały tu główną rolę; za ich zaspokojenie obiecał on wydać Anglikom twierdzę Westpoint, w której teraz dowodził, 4000 żołnierzy, a nawet i samego wodza naczelnego Wasyngtona. Umowa między zdrajcą a nieprzyjacielem przyszła do skutku, a wykonanie zdrady było bliskie, kiedy na szczęście przypadek wszystko zniweczył. Major André, angielski w tej sprawie pośrednik, wracając od Arnolda, dostał się w ręce żołnierzy amerykańskich, którzy go odstawili do obozu. Papiery u niego znalezione wydały zdradę. Arnold dowiedziawszy się o ujęciu Andrego umknął, ale ten zato smutnie skończył. Każdego, kto przebrany i pod cudzém nazwiskiem znajdował się w ziemi nieprzyjaciela, prawo wojenne uważało za szpiega. A tak się rzecz miała z André; toż amerykański sąd wojenny na tej podstawie wydał nań wyrok śmierci, a biedny major, którego młodość, odwaga i piękność męska wzbudzały powszechne współczucie, zginął na stryczku. Arnold dostał się do Anglików i stał się prawą ręką Kornwalisá, pustoszącego Karolinę i Wirginią; Anglicy zaś mszcząc się śmierci Andrégo, tém większych dopuszczali się okrucieństw.

Wojska obu stron wojujących często spotykały się ze sobą. I jedna i druga walczyła naprzemian szczęśliwie i niepomyslnie; do stanowczego wypadku nie przyszło. Dopiero kiedy Kornwalis przybył do Wirginii, aby się połączyć z Klintonem, zmieniła się postać rzeczy. Przybywszy do Jorktownu, otrzymał on od Klintona posiłki.

Ale pod koniec Września przybył Wasyngton z wojskiem swoim i Francuzami; poczem obległ Jorktown. Równocześnie flota francuska zamknęła przystęp od morza.

Siły Wasyngtona były od załogi Jorktownu znacznie większe. Arnold podszedł pod Nowy Londyn sądząc, że przez to zniewoli Wasyngtona do pospieszenia zagrożonemu miastu na odsiecz. Wasyngton jednak nie ruszył się z miejsca. Flotę angielską, którą Klinton wysłał dla uczynienia dywersyi, pobiła francuska. Tymczasem obleżenie Jorktownu postępowało dalej szybkim krokiem. Kornwalis ze wszech stron zamknięty pisał do Klintona: „Długo trzymać się tu nie mogę. Jeżeli mnie pan nie zdołasz uwolnić, proszę być przygotowanym na najgorszy koniec.“ Pomoc nie przybywała, żywność wyszła, a tymczasem Wasyngton coraz ciasniejszym kołem otaczał miasto. Podczas szturmów na szaniec Jorktownu odznaczyli się najbardziej Lafajet i Kościuszko; artylerya francuska reszty dokonywała. Kornwalis nie mogąc się dłużej opierać, uczynił to, co przed czterema laty Bourgoyne w Saratodze; d. 19go Października 1781, poddał się z załogą. Szpady swój nie chciał nikomu oddać tylko Lafajetowi. 8000 Anglików i 200 dział dostało się Amerykanom. Wasyngton obszedł się z jeńcami po ludzku, pomimo że niedawno przedtém Anglicy mordowali jeńców amerykańskich.

Poddanie się Kornwalisa rozstrzygnęło sprawę niepodległości Stanów zjednoczonych. Na wiadomość bowiem o téj klęsce Anglików wszędzie wypowiedano głośno przekonanie; że już zdobyto niepodległość Ameryki. Lafajet pisał do hrabiego Maurepas: „Sztuka odegrana; właśnie co skończono akt piąty.“ Franklin rzekł temu, który mu oddał depeszę o kapitulacyi Kornwalisa: „Serdecznie dziękuję za tę tak słynną nowinę. Młody Herkules zdusił drugą swą żmiję w kolebce!“

I w Anglii zaczęło teraz brać górę przekonanie, że niepodobna przywrócić w koloniach poddaństwa. Nowe ministerym stanęło u steru rządu; rozpoczęło rokowania, a wreszcie d. 3go Września 1783 stanął między Wielką Brytanią a Stanami zjednoczonymi właściwy pokój, uznający tychże niepodległość.

XVI. Rozstanie się z wojskiem.

Stany zjednoczone były wolne. Wolność tę zdobyły one bohatyryjskiem wszystkich sił wyęczeniem; a zwłaszcza nieznużoną w poświęceniu wytrwałością. Bo też wedle świadectwa dziejów tylko twardą a krwawą pracą dochodzą narody do tego wielkiego zaszczytu, który się nazywa niepodległością, z prawem rozporządzania samym sobą. Dotychczas jedni tylko Włosi za naszych czasów byli tak szczęśliwi, że doznawszy w ostatniej z Austryą wojnie tak na lądzie jak na morzu klęsk znacznych, otrzymali w nagrodę Wenecyą!

Wolność czyli niepodległość mieli już Amerykanie. Ale na tém nie skończyła się jeszcze praca narodu. Następował właśnie czas, w którym po pomyślnéj pierwszej próbie młody naród miał odbyć drugą, równie ważną. Pierwsza była próbą odwagi, wytrwałości i poświęcenia; druga miała być próbą rozumu i męskiej dojrzałości w użytkowaniu zdobytej swobody. A wedle świadectwa dziejów próba ta wtóra bywa czasem trudniejsza nawet od pierwszej, chociaż zazwyczaj bardzo trudnej. Wprawdzie tym razem już cały tok sprawy amerykańskiej wskazywał, że naród, który z taką rozwagą postępował w obronie praw swoich, zdobywszy je, także nie zawiedzie powziętego o nim oczekiwania, zwłaszcza, że między innemi, Bóg i tą szczególniejszą obdarzył go łaską, iż w tak stanowczej chwili dał mu człowieka, wyposażonego we wszelkie przyimoty, jakich w takiej chwili koniecznie potrzeba przywódcy narodu. Nie był to ani samozwaniec narzucający się z pretensją, że sam posiada przywilej lub sekret zbawienia narodu; ani pęcherz nadęty próżnością, — ani ambitny intrygant, wicherzący potajemnie, aby za pomocą ślepych narzędzi wypłynąć na wierzch i dogodzić swemu samolubstwu, chociażby kosztem rzetelnéj drugich zasługi, a może i klęską narodu — ani potomek antenatów, w dziejach niegdyś zasłużonych, który nie o swe własne lecz o ich zasługi się oparłszy, radby odegrać rolę, chociaż własna przeszłość do tego nie daje mu prawa. Przeciwnie był człowiek skromny, który sam nigdzie nie pchał się naprzód; człowiek, który nigdzie nawet cieniem samolubstwa nie przyćmił żadnego w życiu swém czynu; człowiek prawy i szczerzy, sam sobie wszystko winien, pełen poczucia obowiązków i miłości kraju, stający w obronie praw jego w pełném przekonaniu krzywd mu wyrządzanych, z jasną świadomością wielkiej odpo-

wiedzialności, jaką naród nań wkłada, ale również ufny w pomoc Bożą, która nie opuszcza tego, kto jęj się powierzywszy, bierze na się za wolą narodu spełnienie najdroższej i najświętszej powinności. Zresztą człowiek to, który wyniesiony na najzaszczytniejsze w kraju stanowisko, wiernym sobie pozostaje; z tym samym jasnym na sprawę poglądem, z tém samém, co przedtém cenieniem siebie, dalekiem od wszelkiego zawrotu w głowie, jaki tak często opanowywa ludzi wyniesionych na wysokie stanowiska, jakby na świadectwo, że już z przyrodzenia nie są przeznaczeni na zajmowanie miejsc wyniesionych, kiedy im się tam w głowie zawraca. Takiem to błogosławieństwem Opatrzności, takim szczególniejszym jęj darem dla narodu w tak stanowczej chwili jego życia, był Wasyngton, wódz i wielki obywatel, o którym jeden z nowszych dziejopisarzy następujące zapisał słowa: „Zaufanie, jakie miał do słusznej sprawy, jego wytrwałość i stanowczość, jego przytomność umysłu, czyto wobec grożącego niebezpieczeństwa, czy po klęsce odniesionęj, przedewszystkiém jego niezmordowana praca około utworzenia i utrzymania wojska, stanowiły w stosunkach najprzykrzejszych dla chwiałających się nadziei współobywateli jedyną kotwicę. Bez tego jednego człowieka, kto wie, czy Ameryka byłaby zdobyła wolność. Nie ilość wielkich, na polu bitwy odniesionych, a blaskiem jaskrawym olśniewających, zwycięstw, nie mnóstwo zdobytych na nieprzyjacielu chorągwi i dział, wielbią w nim dzieje, lecz cnota jego obywatelska twórcza i wszystkich ożywiająca, ta cnota, którą umiał pokonać podłą, samolubną obojętność i zgubną wielu ziomków ospałość, a zamienić ją w żywy dla dobra powszechnego współudział, ta w nim jak najświetniej jaśnieje. U żadnego z wielkich ludzi czasów nowszych nie splótl się tak ściśle wawrzyn sławy wojennej z liściem dębowym wieńca zasług obywatelskich.“

Takiegoto męża potrzeba było młodemu narodowi w chwili po osiągnięciu niepodległości, bo właśnie niemałe we własném łonie groziło mu niebezpieczeństwo. Rdzeń armii składali ludzie, którzy przez czas dłuższy odwykli byli od zatrudnień pokojowych. Kongres przyrzekł im jeszcze na lat kilka wypłatę żołdu; ale i tak miało się to raz skończyć, a ostatecznie trzeba było znów wrócić do zajęć dawniejszych, o czém z przykrością bardzo wielu myślało. Prócz tego koleżeństwo wojenne z wojskiem francuskim samo nasuwało porównanie ich położenia z położeniem francuskiego żołnierza. Tu stan oficerski był zarazem zaopatrzeniem dla znacznej liczby mło-

dzieży szlacheckiej. Jakżeżto odbijały mundury, złotymi galonami i haftami błyszczące, francuskich markizów, hrabiów i kadetów od prostych i skromnych mundurów oficerów wojska amerykańskiego! Ci pod tym względem nawet z prostym francuskim muskietierem i grenadyerem równać się nie mogli. Toteż żołnierze amerykańscy mając bardziej interes stanu swego, aniżeli dobro pospolite na oku i mniemając, że stan wojskowy daleko świetniejsze stanowisko zajmuje w kraju o rządzie monarchicznym, zapragnęli usunięcia formy rządu, która się w ciągu wojny była wykształciła, a zaprowadzenia zamiast niej rządów monarchicznych. Życzenie to byłoby uzasadnione, gdyby było wyrazem powszechnej woli narodu. Spór bowiem o to, która forma rządu, republikańska czy monarchiczna, jest lepszą, do niczego nie prowadzi. Historia uczy, że w jednej i drugiej narody szczęśliwy wiodły żywot i pomyślnie zdążyły do urzeczywistnienia celów, społecznościom uporządkowanym wytkniętych. Stwierdziła ona wielokrotnie, że forma rządu, chociażby najwięcej bezwzględny wymogom rozumu odpowiadała, sama przez się nie uszczęśliwiła narodu, jeśli nie było ducha, któryby ożywiał formę, jeśli nie było ludzi, dorosłych do wysokości zadania. „Republikę łatwo zadekretować; ale gdzie znaleźć prawdziwych republikańców?“ wołał już jeden z najwybitniejszych zwolenników republiki podczas wielkiej rewolucji francuskiej. Szczęście narodu nie na pewnej formie rządu zależy; polega ono raczej na uszanowaniu prawa, na poświęceniu samolubstwa na ołtarzu dobra pospolitego, na urzeczywistnieniu celów społecznych najodpowiedniejszym, tak danym warunkom jakoteż siłom i zasobom narodu. Wszak Francya w przeciągu niespełna wieku po raz trzeci jest rzecząpospolitą. Po raz pierwszy rozpręgała wszelkie żywioły; wystawiła dziejom widowisko najpotworniejszej gospodarki stronnictw górę biorących, a w końcu z republiki zamieniła się w despotyczny cezaryzm. Poraz wtóry w r. 1848ym po krótkim istnieniu pogrzebał ją sam jej wiarołomny prezydent; a naród do powszechnego powołany głosowania, milionami głosów zaspiewał jój: uroczyste requiem. Poraz trzeci, lat temu kilka, ogłoszono ją w chwili wielkiego narodowego nieszczęścia. Ale republika cudu nie zdziałała; upadłego moralnie pokolenia nie przetworzyła na bohaterów; Prusaków i Niemców nie wyparła z kraju, Lotaryngii i Alzacyi nie odzyskała, a nawet nie ocaliła honoru narodowego. A i dziś, chociaż istnieje, niepewna siebie z trwogą oczekuje, azali między Burbonami nie przyjdzie do porozumienia, lub

dorastający drugiego Cezara potomek nie oswaja w zaciszu swém na nowo orła, aby powtórzyć za przykładem ojca sceny strasburską i bulońską, a potém republikę zamienić na cezaryzm. I Hiszpanii skołatanej nie ocaliła republika Kastelara. Nie forma więc, lecz duch, a duch zapełniający umysły; ludzie więc dzielni, stanowią szereg narodu!

W Ameryce oswobodzonej nie w świadomości narodu, jak się już rzekło, lecz w samolubstwie jednego stanu, tak łatwo Ignącego do blichtru zewnętrznej wystawności, wylęło się pragnienie rządów monarchicznych. Rzecz prosta, że ci, którzy żywili to pragnienie, chcąc je zamienić w rzeczywistość, oglądać się musieli za człowiekiem, w którym stałoby się ciałem to życzenie ich samolubne. A któż mógł tego dokonać, jeśli nie ten, który przez cały czas stał na czele armii i z nią dokonał oswobodzenia ojczyzny? Toteż jednego ze znakomitszych oficerów, pułkownika Nikole, wybrała armia na tłumacza swych życzeń. Nikola uczynił to w piśmie, bardzo zręcznie ułożoném, dowodząc, że konstytucya z królem na czele najwłaściwszą dla młodej Ameryki jest formą rządu, czego łatwo można dokonać, jeżeli Wasyngton, zwolna zmierzając do celu, najpierw pod skromnym tytułem naczelnika przyjmie władzę, a po jakimś czasie królem się ogłosi. Zjawiała się więc w tak ponętniej, ambicyą tak łechcącój formie, pokusa nielada! Ilużto wodzów na stanowisku Wasyngtona byłoby się jój oparło! Ilużto słuchałoby tego głosu Syreny, niedoznawszy zawrotu głowy! Jedno słowo, chociażby nie całkiem wyraźne, przyzwolenia, ba nawet giest jeden mógł wystarczyć, a wojsko byłoby wodza ogłosiło królem. A дума mogła szeptać do ucha: Śmiało naprzód! wszakto tobie zawdzięcza naród swą niepodległość; tobie i armii, którąś ty stworzył, o którąś się tak gorliwie starał, którąś ty w chwilach niepowodzenia ożywiał swym zapalem, którąś ty wiódł do zwycięstw! Ona, to narzędzie twego geniuszu, ofiaruje ci koronę, która ci się słusznie należy!“ Chwila, a bohater mógł spaść ze swój wysokości moralnej, na której tak długo utrzymał się bez skazy, i powiększyć szereg ludzi głośnych nazwisk, zwycięzców w wielu bitwach, wielkich wodzów, sławą opromienionych, a podziwianych, ale niestety! nie umiejących zwyciężyć samych siebie. Syn nieznanego świata adwokata korsykańskiego, pomimo, że miał już wspaniały w Wasyngtonie przykład, nie nmiął się utrzymać na téj wysokości. Purpura i korona, znać, zupełnie go olśniły, kiedy odepchnął kochaną niegdys

żonę, a zapragnął córy cesarskiej, by się zrównać z dynastjami panującymi! Ale jest i Nemezis w dziejach: po tronie najświetniejszym w dziejach nowszego świata, skały wyspy św. Heleny!

Jak czarownice Makbetowi okazały złotą przepaskę, tak Wasyngtonowi zabłysła przed oczyma korona. Ale on nie był Makbetem; żądza ambicyi nie znalazła miejsca w jego wielkiej duszy. „Dam ci to, jeżeli zgrzeszysz; wielkość szczęścia za wielkość zbrodni!“ Tak mniej więcej, w słowa zwykłego rozsądku ujęty, brzmiał głos owego odwiecznego kusiciela, węża samolubstwa, owego kłamcy i niszcyciela szczęścia ludzkiego. Wasyngton nie uległ pokusie; bo ani na chwilę nie dał się omotać w jej sidła. Zaraz bowiem po odebraniu pisma odpisał autorowi jego, pułkownikowi Nikoli, w słowach następujących: „Pismo pańskie przeczytałem z uwagą. Wyłożone w niem zapatrywania wywoływały we mnie naprzemian to niespodziankę, to zdumienie. Spoglądałem na te zapatrywania z największą odrazą i jak najsurowiej potępiał. Na teraz doniesienie pańskie utonę w głębi mej piersi; krok w tej sprawie naprzód, czyniłby naturalnie koniecznym jego wyjawienie. Niepodobna mi zrozumieć, czém mogłem ośmielić do takiej, do mnie wystosowanej odezwy, która według mego zdania zawiera w sobie największe niebezpieczeństwa, jakie kiedykolwiek spaśćby mogły na moję ojczyznę. Jeżeli nie myli mnie znajomość samego siebie, tedy nie mogłeś pan znaleźć nikogo, komu plany pańskie większą niż mnie sprawiłyby przykrość. Zarazem, aby dać prawdziwy uczuciom swym wyraz, winienem dodać, że nikt szczerzej odemnie nie pragnie wymierzenia armii zupełnej słuszności. Użyję na to całego wpływu swojego i wszystkich sił swoich, o ile uczynić to można na drodze konstytucyą przepisanej. Otóż zaklinam pana, abyś, jeśli cię obchodzi los ojczyzny, jeśli chcesz dbać o dobro swoje i przyszłego pokolenia, a mnie okazać szacunek, stłumił w sobie takie myśli i życzenia, a mnie nigdy o nich nie wspominał ani w swoim własnym, ani w cudzém imieniu.“

Taką to odprawę dał prawy syn ojczyzny i najszlachetniejszy jej obywatel onę, dla innych tak ponętnę, pokusie; a każdy uczciwy łatwo zrozumie, że gdyby był jej uległ, byłby na wieczne czasy splamił czystą swą sławę. Krok proponowany, gdyby go był uczynił, byłby gwałtem popełnionym na całym narodzie, a dogadzającym samolubstwu jednego stanu i ambicyi wodza. Ustawa bowiem zasadnicza tworzącego się udzielnego państwa w głównych zarysach

była już gotowa; wyrabiała się ona podczas ciężkiej walki; podpisano ją krwią narodu; a ustawa ta nie mieściła w sobie korony.

Żądanie więc, z którym zwróconu się do Wasyngtona, na prosty i uczciwy przełożone język, czemu było, jeśli nie żądaniem, aby popełnił najcięższą zbrodnię stanu? To, czego się przedtém dopuścił rząd angielski, to jest, pogwałcenia praw, ustawą krajową objętych, to samo miał uczynić najwierniejszy praw narodu obrońca w walce przeciw tak ohydному wiarołomstwu rządu.

Odprawa ta dana zachceniom wojska, to wielki nietylko Wasyngtona, lecz zarazem człowieczeństwa tryumf, odniesiony przez najszlachetniejszego jego przedstawiciela. Tryumf tém większy i świetniejszy, że odniesiony w czasach panowania onéj, wówczas wielmożnej a rewolucyjnej filozofii, która wyszydzała nawet najświętsze rodu ludzkiego świętości; odniesiony w czasach onéj bezczelnej i rewolucyjnej dyplomacji. której najwierniejszym wyrazem był ów król filozof, coto jak sam wyznaje, dla zaokrąglenia państwa i dla dogodzenia ambicji, aby historia miała co o nim mówić, Szląsk najechał i zagrabił; — tryumf odniesiony w czasach, w których uknuty potajemnie i w czasie pokoju dokonany rozbiór narodu nie wywołał nawet oburzenia w publiczném sumieniu Europy.

W podobnym duchu, jak w onéj odprawie, żegnał Wasyngton armią, ogłaszając jój zawarcie pokoju i koniec za kraj walki. Przywiodłszy na pamięć słynne jój w czasie wojny czyny i wyraziwszy się z zaszczytném o nią uznaniem; wspomniawszy także o tém, jak to ona, złożona pierwotnie z najróżnorodniejszych żywiołów, z czasem pozbyła się wyniesionych z domu miejscowych przesądów, a zrosła się w całość harmonijną i stanowiła patryotyczny związek braci, upominał, aby i w pokoju zachowała sławę nabytą. Prosił towarzyszy swych i przyjaciół, aby pamiętali, że oszczędność, rozum i pilność, cnoty w obywatelskiém i domowém życiu na równą zasługują chwałę, jak odwaga, wytrwałość i dzielność w wojnie. Oficerowie i żołnierze niech żyją w zgodzie z resztą obywateli i niech wszelkich dokładają starań około utrzymania i wzmocnienia rządu Stanów zjednoczonych; gdyż w razie przeciwnym zginie i teraz i na wieczne czasy cześć i godność narodu.

Z oficerami pożegnał się Wasyngton na wspólnéj uczcie. Podniosłszy kielich rzekł: „Teraz żegnam was sercem, pełném miłości i wdzięczności. Pragnę serdecznie, aby wasze dni późniejsze były równie pogodne i szczęśliwe, jak dawniejsze były zaszczytne i pełne

chwady. A wypiwszy ich zdrowie, dodał: „Niepodobna mi przyjść do każdego, aby go z osobna pożegnać. Jeżeli chcecie przyjść do mnie i dłoń mi uściśnąć, wdzięcznym będę za to.“ Wzruszony w głębi serca wystąpił generał Knox, *) najbliżej wodza stojący, i podał dłoń drżącą. Rozczulony Wasyngton nie mogąc przemówić słowa, rzucił się na szyję generałowi. Po kolei przystępowali oficerowie. Z tego pożegnania nikt z suchém nie odszedł okiem.

W kongresie byli także członkowie, którzy pomnąc na przykłady w dziejach, niezupełnie byli pewni, czy Wasyngton po ukończeniu wojny zechce się pozbyć wszelkiej władzy. Nie bez trwogi więc oczekiwali téj stanowczej chwili; przekonali się jednak, że niepokoili się bez potrzeby. Na uroczystém posiedzeniu kongresu złożył on naczelne dowództwo. Między innemi rzekł Wasyngton przy téj sposobności: „Niedowierzenie własnym siłom ustąpiło u mnie tylko przeświadczeniu o sprawiedliwości naszej sprawy i nadziei w pomoc niebios. Zaszczytny wojny téj koniec spełnił wszystkie nasze nadzieje. Wdzięczność moja względem Opatrzności boskiej i myśl o pomocy, jaką mnie wspierali ziomkowie, stają się żywszemi, gdy sobie przypomnę wszelkie trudności naszego zadania.“ Zakończył zaś przemówienie temi słowy: „Uważam za konieczny obowiązek, abym ostatni ten akt swego publicznego życia zakończył prośbą do Wszechmocnego o błogosławieństwo dla naszej drogiej ojczyzny i dla tych, którym powierzono jéj rządy. Sprawa, którąście mnie byli powierzyli, skończona; powracam do mojej domowej zagrody; raczy więc prześwieatne Zgromadzenie, które tak długo kierowało moimi krokami, przychylić się do méj prośby o odprawę z wojska i uwolnienie mnie od piastowanego urzędu, który pełniłem z jego polecenia.“ Po tych słowach Wasyngton złożył prezydentowi łaskę wodza naczelnego.

Prezydent odpowiadając rzekł między innemi: „Kiedy w Nowym świecie powiewa sztandar wolności, pan dawszy ciemnościom i uciemionym wielką naukę, ustępujesz z widowni walki, unosząc ze sobą błogosławieństwo wszystkich ziomków. Ale nie sądź, że sława cnót i zasług Twoich zgaśnie razem z władzą Twą wojskową;

*) Tak rzecz opowiada Ferdynand Schmidt; Wojcicki zaś w życiorysie Kościuszki, powyżej przytoczonym, pisze: „Kościuszkę, który stał przy nim (Wasyngtonie) najbliżej, obrócił się pierwszy ku niemu, nie mogąc słowa przemówić i tłumiąc łzy, które rosły mu oblicze. Wtedy Wasyngton ujął go za rękę, przyciągnął i przycisnął do piersi.“

nie — zapalać ona będzie po wszelkie czasy serca naszych najpóźniejszych potomków. Łączymy modły nasze z Twojami, polecając sprawy drogiej naszej ojczyzny opiece Najwyższego. Oby uczynił serca i umysły naszych ziomeków skłonnemi do korzystania ze wszystkich środków, w jakie nas zaopatrzył, abyśmy się stali narodem szczęśliwym i godnym poważania!”

Wynagrodzenia za czas służby Wasyngton stanowczo nie przyjął; zażądał tylko zwrotu wydatków, których złożył bardzo szczegółowy rachunek, udowodniony właściwymi dokumentami.

Uwolniwszy się tym sposobem ze służby publicznej, wielki ten, mądry i zacny człowiek wracał na Mount Vernon dla przepędzenia reszty życia w tak ulubioném mu zaciszu życia rodzinnego. O życiu tém pisze on w liście do Lafajeta: „Teraz zdala od zgiełku świata, od zamętu spraw publicznych, oddaję się z rozkoszą tym miłym zajęciom i wrażeniom, które unikają tak wojownika, dążącego do odznaczenia się, jak ministra, dzień i noc pracującego nad uszczęśliwieniem własnego kraju, a może i nad zgubą państw sąsiednich, jakżeby na téj kuli ziemskiej mało było dla wszystkich miejsca. Dworak, który przyszlą swą dolę czyni zależną od łaskawego uśmiechu swojego władcy, nie może mieć wyobrażenia o szczęściu, jakiego teraz dostąpiłem. Nie zazdroszczę nikomu, sam każdemu rad będę. Pod tém hasłem zamierzam zwolna płynąć z tokiem mojego żywota, dopóki nie spocznę z moimi przodkami.“ A dalej pisze on do niego: „Szkłanka wina i kawał jagnięcia znajdują się zawsze. Kto na tém przestanie, temu z duszy rad będę; kto czegoś więcej się spodziewa, dozna zawodu.“

Podobnie jak rząd, tak i ludzie prywatni naprózno usiłowali nakłonić Wasyngtona do przyjęcia jakiej nagrody. Towarzystwo akcyjne, które za jego poradą było się zawiązało w celu urządzenia spławów na dwóch rzekach, otrzymało potwierdzenie kongresu. Przy téj sposobności znów próbowano nakłonić Wasyngtona, któremu towarzystwo zawdzięczało wypracowanie planu bardzo praktycznego, do przyjęcia za udział ten wynagrodzenia. Zgromadzenie ustawodawcze postanowiło zostawić do jego rozporządzenia 150 akcji, w wartości po sto funtów szterlingów. Sprawie tej nadano taki obrót, że Wasyngton, gdyby był odmówił przyjęcia, obawiał się, aby mu tego nie poczytano za brak należytego dla ustawodawczego zgromadzenia względu. Oświadczył więc, że przyjmuje akcyje pod tym jednak warunkiem, żeby mu wolno było użyć ich na rzecz

dobra publicznego. Jakoż tak się stało, bo testament po jego śmierci ogłoszony, przeznaczał kwotę tę na założenie uniwersytetu w środkowej części Stanów zjednoczonych.

XVII. U kresu życia.

Cztery lata spokojnego życia domowego upłynęło od tego czasu Wasyngtonowi wśród zajęć gospodarskich, kiedy ojczyzna znów zażądała usług jego dla dobra pospolitego. Jednomyslnie obrano go prezydentem Stanów zjednoczonych. Wasyngton wątpił o swęj zdolności do sprawowania najwyższego w państwie urzędu. Utrzymywał on, że powodzenie na polu walki nie jest jeszcze rękojmią dostatecznej zdolności do kierowania sprawami państwa. Ale naród innego był w tym względzie zdania. W rozlicznych podczas długiej wojny rozporządzeniach i zarządzeniach Wasyngton nietylko okazał się być wielkim wodzem, lecz i znakomitym mężem stanu. A właśnie teraz, kiedy poprawiona tymi czasy konstytucya miała odbyć pierwszą swą próbę, powszechne było przekonanie, że w takiej chwili tylko Wasyngton najlepiej pokieruje sterem rządu. Przyjaciele napierali, aby raz jeszcze zamiłowanie życia wiejskiego poświęcił na jakiś czas ojczyźnie. Nie bez wahania się przystał on na to. „Dziś“ — pisze on w swym pamiętniku d. 16go Kwietnia 1789 — „pożegnałem życie i szczęście domowe. Czuję się tak przygniecionym troskami i przykrém uczuciem, że mi brak słów na ich wyrażenie. Wybrałem się w podróż do Nowego Jorku, czyniąc zadość wezwaniu i z najlepszym postanowieniem oddania krajowi mojemu wszelkich możliwych usług, ale z małą nadzieją zadośćuczynienia oczekiwaniom.“

Podróż jego była prawdziwym pochodem tryumfalnym. Szczególniej uczcili go mieszkańcy Trentonu na pamiątkę jego przed dwunastu laty przeprawy przez Delawarę. Na moście ustawiono bramy tryumfalne z stosownymi napisami; dziewczątka w bieli sypały kwiaty pod nogi wybrańca narodu. Barka świątecznie ustrojona, a na niej trzynastu pilotów w imieniu trzynastu Stanów, zawiozła go do Nowego Jorku. Miłość [narodu] pokrzepiała go; nie zdołała jednak wyprzeć całkiem troski, jaka go trapiła na wspo-

mnienie wielkich przyszłego zadania trudności. Czytać to było można z jego twarzy i z całej jego postawy.

Obejmując władzę nowy prezydent, przemówił w słowach następujących:

„Nie mogę zacząć urzędowania nowego, abym się nie zwrócił w gorącej modlitwie do Pana wszechświata, do Boga wszechmocnego, który władza zgromadzeniami narodów i którego Opatrzność wszystko to uzupełnia, czego duchowi ludzkiemu nie dostaje pod względem rozumu i zdolności. Błagam go, aby zlał swe błogosławieństwo na naród Stanów zjednoczonych i otoczył opieką swą rząd, który sam naród sobie nadał, aby się uczynić wolnym i szczęśliwym; wreszcie błagam o łaskę, aby oświecić raczył wszystkich tego państwa urzędników. Oddając tym sposobem hołd Bogu, temu jednemu wszego dobra twórcy, jestem pewien, że uczucia moje są i waszemi i całego narodu uczuciami. Któryż bowiem naród, jeśli nie nasz, bardziej winien być gotów do uznania téj wszechpotężnej a niewidomej ręki, kierującej sprawami tego świata i do ukorzenia się przed jój potęgą!“

W końcu zaś przemówienia rzekł Wasyngton:

„Jest to jedna z prawd najpewniejszych, że cnota i szczęście nierozzerwanymi są związane węzłami; obowiązek nasz stanowi szczęście nasze, a zasady mądrój i rzetelnój polityki, stanowią zawsze podwaliny dobra narodów. Niebo nigdy nie może sprzyjać narodowi, który znieważa odwieczne prawa porządku i sprawiedliwości. Na pełnieniu tych cnót polega utrzymanie świętego płomienia wolności, który jakby tylko poruczono straży naszój.“

Do Lafajeta pisał Wasyngton: „Zgoda, uczciwość, pilność, pościerność, oto środki do uczynienia nas wielkim i szczęśliwym narodem.“ Droga ta do osiągnięcia szczęścia narodu jest „tak jasna i prosta jak promień światła.“

Placy i teraz Wasyngton jako prezydent nie przyjął pocztując sobie to za wielkie szczęście, że bez wynagrodzenia może służyć ojczyźnie.

Z wybuchem rewolucyi francuskiej nowe dla młodej Ameryki zjawily się trudności. Zajścia w Paryżu uważał Wasyngton za naturalne poprzednich złych rządów następstwo; a poważając poszczególnych Francuzów, których poznał był bliżej w ciągu wojny, był tego zdania, że większości narodu francuskiego brak moralnej powagi i grozy, tak niezbędnej do utrwalenia instytucyi publicznych,

na wolności opartych. Już wówczas, jakby proroczym duchem, przepowiadał koniec rewolucyi francuskiej. Wskazując rozkiełznanie ludu francuskiego i czyny krwawej zemsty, jakich się tenże dopuszczał, rzekł Wasyngton: „Na wszelki przypadek jest dość skał i mielizn, o które rozbić się może łódź; ale tym razem z całego tego ruchu wyłoni się despotyzm, daleko zgubniejszy od tego, na który dotychczas uważał się naród francuski.“ — Co było zdrowego w rewolucyi francuskiej, to Francuzi, uczestniczący w wojnie o niepodległość amerykańską, w znacznej części z Ameryki wynieśli. Ale zdrowe te zasady na nieszczęście nie długo przeważały; toteż nastąpił późniejszy zwrot, nacechowany zupełnem rozpasaniem się i zezwierzęceniem natury ludzkiej. Dola Ludwika XVI wstrząsła Wasyngtona do głębi duszy; nigdy w życiu, jak opowiadali ludzie, w ściślejszej będący z nim zażyłości, nie widziano go tak przybitego i jakby rażonego gromem, jak w chwili, kiedy go doszła wiadomość o ścięciu króla.

Wybryki francuskie znalazły i w Ameryce odgłos; potworzyły się stowarzyszenia, występujące z roszczeniami francuskich Jakobińców. One to puściły w obieg obraz z napisem „pogrzeb Wasyngtona“, wyobrażający prezydenta Stanów stojącego pod gilotyną. Półgłówki te amerykańskie wcale się nie tały z zamiarem pozbycia się Wasyngtona i istniejącej konstytucyi.

Ale w czasie tym szamotania się stronnictw Wasyngton stał tak niezachwiany i nieustraszony, jak niegdyś stał na łodzi podczas przeprawy przez Delawarę, kiedy burza i lody, rzeką pędzone, groziły jęj rozbiciem. Wybitna ta postawa jego moralna i dalszy tok krwawego we Francyi dramatu sprawiły, że skrajne w Ameryce stronnictwo coraz bardziej traciło znaczenie i wpływ na naród, a w końcu znikło w zapomnienia fali.

W r. 1793 naród po raz wtóry obrał Wasyngtona prezydentem. Ośmioletnie jego rządy błogie dla kraju wydały skutki. Sposób, w jaki zastosowywał i wykonywał ustawy, służył później za wzór najlepszym jego na prezydenturze następcom.

Kiedy po upływie wtórego czworolecia Wasyngton się dowiedział, że na prawdę zamierzano poraz trzeci powierzyć mu godność w państwie najwyższą, usilnie prosił ziomeków, aby ster państwa złożyli w młodsze ręce, a w publiczném oświadczeniu całkiem stanowczo odmówił przyjęcia nowego wyboru. Przy téj sposobności,

poniekąd żegnając się z narodem, w te między innemi odezwał się do niego słowa:

„Religia i moralność, to niezbędne podwaliny, na których polega wszelki moralny kierunek i rozwój ducha, a z nim i polityczne powodzenie narodu. Kto podkopyje te potężne filary ludzkiej szczęśliwości, te niezachwiane podpory, na których spoczywają wszelkie obowiązki człowieka i obywatela, ten napróżno żądać będzie ofiar miłości ojczyzny. Nietylko człowiek pobożnej wiary, lecz i roztrotny polityk powinien czcić i szanować te przewodniczki rodu ludzkiego. Trzebaby całe spisać tomy, aby wystawić ów wpływ różnorodny, jaki one wywierają na uszczęśliwienie każdego człowieka z osobna i całych narodów. Jedno tylko zadają pytanie: Gdzież jeszcze znajdzie się bezpieczeństwo własności, czci i życia, jeżeli zaginie uczucie religijnego zobowiązania, do którego wiąże nas przysięga, ten jedyny środek do zbadania prawdy przed trybunałem sądowym! Twierdzenie, że moralność istnieć może bez religii, należy bardzo sumiennie zbadać, nim się je puści w obieg. Bo chociażby kto wpływowi światłego wychowania u umysłów szczególniejszego usposobienia, wielką przypisywał potęgę, przecież rozum i doświadczenie nie pozwalają przypuszczać, żeby u narodu moralność ostać się mogła bez religii.“

Kończąc mówi Wasyngton: „Kiedy w duchu spoglądam na czas moich rządów, sumienie daje mi świadectwo, że nigdy umyślnego nie popełniłem błędu; mimo to jednak dobrze jestem świadom swoich ułomności, abym nie wiedział, że nieraz się pomyliłem. Na czémkolwiek polegałyby te moje pomyłki, gorąco proszę Wszechmocnego, aby zmniejszył i odwrócił możliwe złe ich następstwa. Ustępuję także z nadzieją, że ojczyzna pobłażliwie sądzić będzie moje ułomności, a, gdy czterdzieści i pięć lat życia z najszczerzą na jój usługach spędziłem gorliwością, błędy, jakie popełniłem, przypisze mojej nieudolności i puści w niepamięć temu, który sam niezadługo przeniesie się do wieczności.“

Jeszcze półtrzęcia roku Wasyngton błogiego używał szczęścia w domowém zaciszu. Dnia 12go Grudnia 1799 roku na dalszej przejazdce konnej mocno się przeziębził; użyte środki nie odniosły skutku; dolegliwe cierpienie płuc oddech mu zapierało. Przywołanemu lekarzowi chory, jasnym patrząc nań zwrokiem, rzekł ze zwykłym spokojem: „Od samego początku choroby poznałem, że się

z niej już nie podźwignę. Będę miał śmierć ciężką, ale się jęj nie boję. Oddechu nie nadługo mi wystarczy.“

Wieczorem o godzinie dziesiątej Wasyngton zakończył życie. Działo się to d. 14go Grudnia 1799, w roku życia jego 65tym.

W testamencie darował wolność swym niewolnikom, a starym i do pracy niezdolnym zaopatrzenie zabezpieczył. Znaczne sumy wyznaczył na założenie uniwersytetu i na szkołę bezpłatną dla dzieci ubogich.

XVIII. Cześć jego pamięci.

Drżącym głosem doniósł Jan Marshal izbie reprezentantów o śmierci Wasyngtona. Wrażenie, jakie wiadomość ta wywołała, było tak wielkie, że odroczono posiedzenie.

Zgodnie z ostatnią nieboszczyka wolą pogrzebano zwłoki bez wszelkiej okazałości i mowy pogrzebowej w jego ogrodzie. W Izbie reprezentantów okryto krzesło marszałka kirem; posłowie na cały przeciąg sesyi wdziali żałobę. Jan Marshal w porywającej przemowie oddawszy hołd zasługom zmarłego, złożył następujący, jednomyślnie przyjęty wniosek:

„Wybrany ma być wydział do obmyślenia sposobu, w jaki najgodniej uczcić należy pamięć Wasyngtona, który „pierwszy był w boju, pierwszy w pokoju i pierwszy w sercach narodu!“

„Pierwszy w boju, pierwszy w pokoju i pierwszy w sercach narodu!“

Zaprawdę słowa te krótko i zwięźle streściły żywot i zasługi wielkiego Obywatela Nowego Świata. Wielu wprawdzie przed nim było pierwszych w boju, ale już może nietylu pierwszych w pokoju. Zadanie to nieco trudniejsze do spełnienia; dawno już bowiem i słusznie powiedziano, że łatwiej pokonać nieprzyjaciela,

niż nad sobą samym odnieść zwycięstwo. Do zwycięstwa takiego potrzeba więcej odwagi i męstwa, niż w bitwy odmęcie; innéj téż potrzeba i wojowania sztuki. A wedle dziejów świadectwa wojowanie to i zwycięstwo trudniejsze właśnie dla tych, którzy przywykli do zwycięstwa na polu bitwy.

Być pierwszym w sercach narodu, to zadanie także bardzo trudne, a może nawet najtrudniejsze. Wielu bowiem bohaterom, w dziejach głośnym, powiodło się wbić niezatartymi, a nieraz nawet boleśnymi, śladami w pamięć ziomków, a nawet w pamięć współczesnych i potomności, ale rzadziej już który dostąpił zaszczytu pierwszeństwa w sercach narodu.

Słowa Marshalla nacechowały przedewszystkiém znaczenie i zasługi Wasyngtona wobec młodej Ameryki. Mógłby więc ktoś przypisywać im znaczenie więcej tylko, rzekłbym miejscowe, na jednym kończące się kraju, znaczenie uczuciem narodowém ubarwione. Godzi się przeto jeszcze zastanowić nad znaczeniem Wasyngtona w dziejach rodu ludzkiego w ogólności.

W tym względzie zmarły przed kilku laty historyk niemiecki Gerwinus, który bardzo sumiennie w życiu bohatera amerykańskiego się rozpatrzywszy, dokładny charakteru jego nakreślił obraz, wielu dostarcza punktów oparcia. Jakaż to była, zapytuje Gerwinus, ta w Wasyngtonie ukryta siła, która dawała mu władzę nad ludźmi a moc nad wypadkami? Oto panowanie rozumu nad namiętnością; skromna dla sądu, zdań i praw drugich względność; głęboka jego natury prawda i powaga; zniewalająca do uszanowania nieugiętość woli w działaniu; rozważa w przyrzekaniu i przedsięwzięciach; sumienne obowiązkowi poczucie i wykonywanie; pilna i czujna na boską iskrę sumienia baczość, którą jeszcze młodzieńcem w zasadach swych był sobie przypisał.

Mając przedewszystkiém dobro narodu na oku, wojnę tylko za środek do uzyskania pokoju uważał; tryumfy wojenne, same przez się, były dla niego tylko blichтром, gdyby do uzyskania niepodległości doprowadziwszy, nie zapewniały zarazem narodowi wolności i ustalonego rozwoju dobra pospolitego.

Wasyngton mógł sobie oddać świadectwo, że nadając posady, nigdy nie powodował się względami przyjaźni lub pokrewieństwa; a nawet sami przeciwnicy mu przyznawali, że pod tym względem nikt nie odznaczał się większą od niego bezstronnością i sprawiedliwością.

A jakże pięknie świadczy o całej pełni natury ludzkiej naszego bohatera ów rys jego charakteru, tak wydatnie występujący w stałej do zacisza domowego tęsknocie, która nawet wśród wojny odmętu nie ginie całkiem, lecz odzywa zawsze, na każdym jego sławy stopniu, i z pola bitwy przenosi się go tak łatwo na pole pracy rolniczej, zpod namiotu pod cień winnicy i drzewa figowego nad Potomakiem, z wyżyn publicznego życia na poziom przyjemności i uciech domowych zatrudnień, w miłe zacisze życia wewnętrznego, gotującego mu szczęście, o jakim nic nie wie ani żaden sławy wojownik, ani troskami trapiiony mąż stanu.

Rys ten słusznie podnosi Gerwinus, gdyż rzadko w którym z bohaterów dziejów nowszych występuje on tak wybitnie. Rys ten bowiem, aczkolwiek na pozór, w obec wojennej i politycznej bohatera sławy, mniej znaczny, przecież właśnie obok tych najwydatniejszych, więc i najbardziej uderzających rysów, jakby wonny a skromny w bukacie wspaniałych kwiatów fiolek nie tylko tém wdzięczniej odbija, lecz i owe wydatne wojownika i męża stanu rysy urokiem swym łagodzi, i w pełną, harmonijną całość zlewa. To też w tém uroczém świetle postać bohatera, aczkolwiek zasługami wysoko po nad poziom życia codziennego wyniesiona, przecież i zwyczajnym nam śmiertelnikom, bliższą, dostępniejszą i sympatyczniejszą się staje, bo zpoza bohatera-wojownika i męża stanu, przegląda nam pokrewny: człowiek!

To też tęskny ten a rzewny do życia domowego, w duszy naczelnego wodza i męża stanu tak silny pociąg sprawia, że i historia ze zdumieniem ma tu do czynienia nie z wojownikiem z rzemiosła, dla którego tylko odmęt wojny, albo przynajmniej przeglądy i parady wojskowe są jedynym żywiołem i życia powabem; nie z żołnierzem z rzemiosła, co przyrósłszy do różnobarwnego munduru, sam siebie nie poznaje, jeśli się uczuje lub w zwierciadle ujrzy w zwykłej, jednostajnej sukni obywatelskiej bez błyszczących guzów, galonów, szlif, epoletów i jak tam zresztą tym świecidłom na imię; nie z żołnierzem, któremu do życia, jak młynarzowi turkotu młyna, potrzeba, jeśli nie huku dział, sygnałów trąb lub warczenia bębna, tedy przynajmniej brzęku pałasza, u łoku nieodstępного.

Pociąg ten do życia w kole rodzinném i cichych, podziwieniewywołujących, zatrudnień domowych sprawia, że historia zdumiona znów ma tu do czynienia z mędrem stanu bardzo różnym od mężów

stanu z rzemiosła, którzy raz dobiwszy się stanowiska, chciwi rządzenia, trzymającego się jak pijany płotu, na niém tylko żyć umieją, i tylko w swych gabinetach i u dworów widzą swój świat cały; a przywyklszy do rządzenia, w niém tylko urok i żywot swój znajdują do tego stopnia, że gdy im przyjdzie ustąpić, pełni goryczy do świata otaczającego i tego co się w nim dzieje, bez zewnętrznych władzy oznak i przyborów poruszać się nie zdolni, w najlepszym razie karmią się wspomnieniami dawnych wpływów i stosunków swoich i blasku uroczystości dworskich.

I ci, i tamci, to ofiary jednostronnych życia kierunków; w najlepszym razie specjaliści; ale nie ludzie zupełni z całym prawdziwój człowieczój natury zasobem. Wasyngton zaś, to nie tylko wódz, nie tylko mąż stanu, lecz zarazem człowiek-o-bywatel w całej pełni. Jak ów w starożytném podaniu syn ziemi Anteusz, co to znużony walką nabierał sił, ile razy spoczął na łonie swój matki ziemi, podobnie i nasz nowożytny bohater czerpie siły i odradza się na łonie rodziny, w domowego życia zaciszu.

Również wybitnym a bardzo pięknym w charakterze Wasyngtona rysem jest bezinteresowność, ta służba ojczyźnie bez wynagrodzenia. Prawda, że pan na Monut Wernonie nie potrzebował zapłaty, i za osobliwsze sobie poczytywał szczęście bezpłatną ojczyźnie służbę. Ale iluż to u innych narodów ludzi zajmowało wysokie stanowiska i dostojęstwa, i to także ludzi w równych, a nieraz i w świetniejszych od Wasyngtona majątkowych stosunkach, a przecież nie odmawiali przyjęcia wynagrodzenia, a co gorsza, nieraz nawet wyzyskiwali swe stanowiska! Jakże ta dla ojczyzny ofiarność odbija od tego za dni naszych ubiegania się i gonienia za zyskiem, mimo już znacznych majątków! Jakżeż inaczej staje przed nami ta czysta szlachetnego syna ojczyzny postać, w obec owych rzekomych bohaterów dni naszych, obdzielonych po zwycięstwie łupem wojennym i łup ten bez zawahania się przyjmujących!

A gdzież to, i ile przykładów znajdzie tego kornego woli i praw narodu uszanowania, jako wyrazu najprawdziwszój miłości ojczyzny; onego bez wszelkiego zawahania się odepchnięcia samój tylko insynuacji względem przyjęcia korony, jakich tak świetny dowód złożył Wasyngton?

Świat chrześcijański — powiada Gerwinus — nie tak łatwo znajdzie w życiu człowieka, publicznemi zajętego sprawami, drugi

przykład takiego religijnego przejęcia się i pokory, jak w Wasyngtonie, u którego naśladowanie Zbawiciela w sprawiedliwości, łagodności, miłości bliźniego, stateczności umysłu i spokoju, głęboką i świętą było prawdą. A nie tylko jego wielbiciiele, lecz i przeciwnicy przyznawali mu pod względem intelektualnym, moralnym i obywatelskim, najwyższe przymioty mądrości, umiarkowania i sprawiedliwości.

W którąkolwiek stronę zwrócimy uwagę, życie Wasyngtona badając, wszędzie występuje w naturze jego na jaw prawda, brzydząca się wszelkim pozorem i blichтром; w każdym kierunku żywot jego dostarcza najskuteczniejszych naturze ludzkiej pobudek i przykładów. On powątpiewających o rzeczywistej sile cnoty z błędu wywiódł, a w wierze w nią utwierdził. Życie jego rzetelną prawdą zaćmiło wszelką wrzekomą świetność; ono przywróciło dziejom wyższą do sądzenia publicznych charakterów miarę, która w wiekach panującego despotyzmu całkiem była zaginęła. Olśniewający blask ogromu zwycięstw Napoleona I., mógł na jakiś czas wypaczyć tej miary pocucie, ale na długo stłumić go nie zdołał.

Oto bohater Nowego świata w dziejach człowieczeństwa znaczenie.

Posągi marmurowe, które wizerunek tego wielkiego, mądrego i szlachetnego męża stawiać miały przed oczy, i przypominać następnym pokoleniom, wdzięczna ojczyzna na różnych postawiła mu miejscach. Liczba tych, — powiada pewien Amerykanin — którzyby w mieszkaniach swych nie mieli wizerunku naszego wielkiego dobroczyńcy narodu, który dla nas jest tym, czym był Likurg dla Spartan, a Solon dla Ateńczyków, będzie zapewne bardzo nieznaczna. Gdyby był żył w zamierzchłej starożytności wiekach, a myśl swą i działanie, równie jak dla nas, swojemu poświęcił narodowi, podanie, nieśmiertelnym uwieczyszy mu skronie wieńcem, między bogi byłoby go zaliczyło!

Posągi pięknym są uczuć narodu objawem; bo dowodzą i wdzięczności i świadomości i uznania zasług tego, komu się je stawia. Naród, który czci wielkich swych mężów i pamięci ich publiczny daje wyraz, sam siebie szanuje. Ale posągi same wszystkiego jeszcze nie stanowią; prócz nich, winno płonąć żywe uczucie w sercach, jasna czynów wielkiego człowieka i ich znaczenia świadomość, i żywa ich pamięć. Naród bowiem może zapomnieć tego znaczenia, obojętnie przechodzić mimo posągów, albo tylko na

bezdusznego zamienić się czyczerona, recytującego zasługi wielkiego męża, nie czując ich znaczenia, zatém pobudek do działania w nich nie szukając.

Czy Stany Zjednoczone w żywej pamięci mają dziś cnoty wielkiego bohatera swego? Na to pytanie trudno w tej chwili stanowczą, zwłaszcza ryczytawą, dać odpowiedź. Jeżeli słuszna wierzyć wiadomościom, z za Atlantyku dochodzącym, tedy nie wszyscy, zwłaszcza z powołanych tam do zajmowania wybitniejszych stanowisk, pamiętają dziś o owej dla ojczyzny bezinteresowności, jaką Wasyngton na każdym odznaczał się stanowisku. Gonienie za zyskiem i przedajność, plamą tam dziś wielu z tych, którzy przed wszystkimi stać powinni czysti i nieskazitelni. Widocznie to choroba, która się rozmożła na obu półkulach świata.

Ale i to pewna, że w ciągu stulecia, które właśnie kończy się w chwili, kiedy to piszemy, młode Stany do olbrzymiej, nawet nie przeczuwaną, wzniosły się potęgi i znaczenia. A już za naszych czasów, lat temu zaledwie kilkanaście, młoda Ameryka złożyła dowód, że nie zapomniała jednej z najwybitniejszych w charakterze Wasyngtona cnoty: sprawiedliwości. Uczynienie jej zadość nie obyło się wprawdzie bez ofiar bardzo znacznych; tryumf sprawy słusznej przyszło okupić obfitą krwią bratniej rozlewem i szlachetnego Linkolna życiem; ale sprawa słuszna — a to rzecz główna — przemogła i górę wzięła. Kupczenie bracią czarną, ta ohydna w żywocie rodu ludzkiego, a zwłaszcza wyznawców Chrystusowych, plama, która tyle krwi czarnych kosztowała, krwią zmyta; niewola zniesiona, czarni za ludzi uznani, i do praw ludzkich przypuszczeni; krzywda przez wieki moralności wyrządzana, nareszcie pomszczona, słuszości pokrzywdzonej zadość uczyniono.

Młoda Ameryka przynajmniej w lat kilkadziesiąt czynem spłaciła dług pamięci cnoty Wasyngtona, dokonując tego, co on w testamencie swym uczynił, wolnością obdarzając swych niewolników.

Sprawa słuszna odniosła więc tryumf. A tryumf taki, którykolwiek i gdziekolwiek go odniesie, jest całego człowieczeństwa tryumfem, i moralnego natury ludzkiej gruntu, szlachetnego téjże początku, potwierdzeniem. Służy on bowiem za dowód, że krzywda, chociażby wieki trwająca i w stan zwyczajny, jakoby w prawidłowy zamieniona, przedawnioną być nie może; bezprawie, chociaż długo popełniane, nigdy, jakiegokolwiek, czy to zaślepienie czy przewrotność

gwałcicieli i zgrai ich popleczników, czyniłyby w wymyślaniu środków i głoszeniu teorii wysilenia; nie może zamienić się w prawo. Przeciwnie gwałt zawsze pozostanie gwałtem, krzywda krzywdą, bezprawie bezprawiem, fakt chociaż dokonany, ale dokonany niemoralnie, jako plód wypaczonyj natury ludzkiej, jakiekolwiek nadawałby sobie pozory, nigdy nie zdoła zatrzeć hańby swojego pochodzenia.

Krzywda więc i bezprawie, czém dłużej popełniane, tém tylko większém, sroższém i potworniejszém staje się bezprawiem; a jako rozmyślne prawdy, i moralnej w gruncie swym natury ludzkiej wypaczanie, tém ohydniejszą rodzaju ludzkiego zakałą, tém obfitszém nieszczęść i klęsk publicznych źródłem.

Tryumf ten sprawy słusznej, to sprawiedliwości zadośćuczynie, a długowiecznej naprawienie krzywdy — to prawdziwy młodój Ameryki zaszczyt, a w obec niecnój czasów naszych wolnością frymarki, tém większa nawet około rodu ludzkiego zasługa.

Toż gromadzącym się dziś na wystawę powszechną w Filadelfii, téj długoletniego działania Franklinowego widowni, Europejczykom, czy to obłudnym wolności szalbierzom, czy brutalnej siły zwolennikom, młoda Ameryka w stuletnią niepodległości swój rocznicę prócz płodów i wyrobów przemysłu, jakoby po duchu Franklinowym spadkobierstwa, okazać może znów jako zasad Wasyngtona spadkobierczyni, osobliwość rzadką, nad wszelkie wyroby materyalne wyższą, wyrób, że tak rzeknę, przemysłu moralnego: całą warstwą czarnych wolnych obywateli! A w dodatku może zapytać się chępliwych Europy reprezentantów, azali wszyscy i wszędzie, mimo szumnie głoszonych zasad wolności i postępu, braci swych białych już do równych ze sobą praw przypuścili?

I okazać im może różnorodne w skład jój wchodzące narodowe żywioły, wszystkie zarówno do osiedlania się i nabywania własności w całym państwie uprawnione, wszystkie, własnym jaki im Bóg dał, mówiące językiem, wszystkie o równej prawa opiece bez ciążącej na nich klątwy pochodzenia. A w dodatku zapytać może chępliwój Europy, azali i ona równą miarą wymierza swym żywiołom narodowym prawa i ich używanie; azali zdjęta z nich ich pochodzenia klątwe?

I okazać im może liczne przeróżnych sekt świątynie i sekt tych wyznania wiary a obrzędy, wszelkiej godziwej używające swobody, bez wszelkiego wdawania się władzy, tém mniej zaś przymusowego na

urzędową wiarę nawracania; przewrotnym zaś europejskim sumienia gnębielom, a prawdziwej wolności zaprzańcom i zdrajcom, dodać może, na podobieństwo słów naszego poety, uwagę:

Gdzie już żandarm obrzędów religijnych strzeże,

Żeby w tych krajach wolność była — nie uwierzę.

Oto młoděj, sto lat dopięro niepodległėj Ameryki, wobec dzisiejszėj Europy stanowisko; to także w wybitniejszy punkt ujęta odpowiedź na pytanie powyżej zadane, czy Stany zjednoczone w żywej pamięci mają dziś wielkiego swego bohatera cnoty; bohatera, który kierował walką o niepodległość, a jako pierwszy niepodległych Stanów prezydent, pierwsze także pod ich byt dzisiejszy zakładał podwaliny.

Toż jeśli naród zachowa w sercu i pamięci żywy cnót Wasyngtona obraz, jeśli w cnotach jego szukać będzie wzorów i do działania pobudek, tedy, skoro idąc dotychczas w ślad za tym wielkim swym wzorem, dokonał już czynów, zdumienie i podziw reszty świata wzbudzających, w przyszłości osiągnąć może pomyślności stopień, o jakim dziś nawet i marzyć trudno.

Tegoteż w stuletnią jego niepodległości rocznicę życzymy mu z całego serca; życzymy mu w jego własnej i rodu ludzkiego sprawie. Dlategoż na uczczenie tēj wiekopomnej w dziejach rocznicy najstosowniejszym wydało nam się środkiem podanie dorastającėj młodzieży żywotów dwóch najznakomitszych Nowego Świata mężów, jako tak wydatnych wzorów cnót i domowych i publicznych. Niech służą jēj za jasne przewodnie na drodze żywota gwiazdy i przykłady, czémto dźwigają się narody, czém dorabiają bytu samodzielnego, czém stoją i kwitną!

Franklin niech służy za przykład, czego to o własnych siłach dokonać może człowiek, skoro siłom tym wytknie cel rozumny, a trwałe i stateczne da zajęcie; skoro weźmie sobie za godło: „Nie masz geniuszu bez usilnej pracy!“ Niech służy za dowód, jakieto i na samego pracownika i na dobro pospolite z pracy takiej spływają błogosławieństwa!

Wasyngton niech promienieje jasnością wielkich cnót publicznych, a w obec dzisiejszego w świecie moralnym zamętu, wobec tak często usiłowanego zaprzeczenia istocie ludzkiej wyższego nad materją pierwiastku, zatém i wynikającego stąd tak niewolniczego bałwochwalstwa dla siły brutalnej i przemocy, jakotóż cynicznėj najświętszymi sprawami frymarki, niech służy za żywy dowód rze-

czywistości i moralnej potęgi i wyższego a szlachetniejszego, niż zwierzęca, natury ludzkiej początku!

Praca i cnota, to zdrowie narodu; to lekarstwo nawet na ciężkie w życiu jego choroby; to najskuteczniejszy na podźwignienie się z upadku środek; a „upaść może i naród szlachetny, zgiąć tylko nikczemny!“



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000635186



II 170912

Z Księgarni
KAROLA WILDA
— we Lwowie —
ul. Halicka Nr 21.